NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III | NEW POLAND MONTHLY | ZESZYT 2

LONDYN | LUTY | 1944

ANTONI SŁONIMSKI

DO ROSJAN

Już nie o Wołyń czy Pińszczyznę,
O powiat, gminę czy o las,
Nie o graniczny idzie pas,
Na którym strażnik z psem waruje.
Tu sprawa idzie o ojczyznę.
Czem jest ojczyzna? Każdy z nas
Inną w tym słowie treść znajduje.

Niech posły, dumne generały
Nasze, brytyjskie czy sowieckie,
Taki czy inny piszą pakt.
Niech łamią pakty. Te szpargały
Rozwieje kiedyś dziejów wiatr.
Zostaną ludy dwa. Sąsiedzkie.
I to jest jasny, prosty fakt.

Cóż nam przyniesiesz dziś sąsiedzie?
Czy znów zaświszcze carski knut?
Gdy twoje armje przejdą Prut,
Gdy w miasta pełne zgliszcz i gruzów
Kudłaty koń kozacki wjedzie,
Kto stanie pułkom tym na przedzie?
Suworow znów czy znów Kutuzow?

Patrzy Europa i świat czeka
Co przyniesiecie na sztandarach,
Czy wolność ludów i człowieka,
Czy nowy ukaz nowych carów?
Proletarjusze, których Lenin
Uczył braterstwa ludów wolnych,

Was wzywam — synów dekabrystów,
Więźniów cesarskich turm i twierdz,
Poetów, braci socjalistów
Krwi jednej, walki i cierpienia.
Rosjanie! Znów do waszych serc
Uderza skarga pokolenia.

Patrzcie my słabi. . . My skrwawieni.
Cóż dla was jeden szczodry gest,
Co się wolnością naszą mieni?
Lecz jeśli krew się znów poleje,
Krwią dalej będą płynąć dzieje.
Czy źle czy dobrze. Tak już jest.

WŁADYSŁAW MALINOWSKI

WOLNOŚĆ POLSKI I WOLNOŚĆ W POLSCE

Od przeszło pięćdziesięciu lat polski ruch robotniczy zdaje sobie w pełni sprawę z dwóch podstawowych zasad: z współzależności bezpieczeństwa wszystkich krajów, oraz ze ścisłego związku pomiędzy polityką wewnętrzną i polityką zagraniczną każdego kraju.

Dzięki temu stosunkowo wcześnie uświadomiono sobie, że niepodległość Polski i wolność jej obywateli jest związana z niepodległością i wolnością krajów świata, przede wszystkim krajów europejskich.

Przez cały wiek XIX rewolucjoniści polscy walczyli na całym świecie, wszędzie, gdziekolwiek toczyła się walka o wolność.

Polskie powstania narodowe z lat 1794, 1830, 1846, 1848 i 1863 zostały krwawo stłumione. Polski ruch robotniczy, który powstał w epoce popowstaniowej, zdawał sobie sprawę, że przy całej gotowości do walki narodu polskiego, niepodległość Polsce przynieść może jedynie międzynarodowa rewolucja lub wojna światowa, w której rozbici i pokonani zostaną wszyscy trzej zaborcy i ciemiężcy: Niemcy, Rosja i Austria.

W okresie poprzedzającym pierwszą Wojnę Światową, poczucie łączności międzynarodowej nie było tylko abstrakcyjną ideą dla polskiego ruchu robotniczego. Poczucie to oparte było na głębokim przeświadczeniu o realnej konieczności braterskiego współżycia wszystkich narodów.

Dwadzieścia jeden lat niepodległości Polski postawiło polski ruch robotniczy wobec nowych zagadnień. W nowopowstałym państwie polskim ruch robotniczy stanał wobec konieczności formułowania w praktyce dnia codziennego polityki zagranicznej, co wymagało rozwiązywania wielu problemów i przezwyciężania wielu trudności. Nie powstrzymało to ruchu robotniczego od zachowania swej zasadniczej linii ideowej. Pierwszy rząd Ludowy Rzeczypospolitej Polskiej w słynnym Manifeście Lubelskim z 7 listopada 1918 roku zwracał się do sąsiadujących z Polską ludów tymi słowami:

„Was bratnie narody: litewski, białoruski, ukraiński, czeski i słowacki wzywamy do zgodnego z nami współżycia i wzajemne-

go wspierania się w wielkim dziele tworzenia związku wolnych i równych narodów".

W Europie powersalskiej nie było warunków sprzyjających tego rodzaju rozwiązywaniu zagadnień międzynarodowych. Idea Federacyj, wyznawana i przedstawiana wówczas narodom anglosaskim przez prezydenta Tomasza Masaryka nie uzyskała dostatecznego poparcia.

Polski ruch robotniczy pozostał wierny idei zbiorowego bezpieczeństwa międzynarodowego. Z początkiem 1926 roku dwaj wybitni przewódcy polskiego ruchu robotniczego, towarzysze Herman Lieberman i Mieczysław Niedziałkowski nawoływali do sfederowania Europy. Uważali, że jest to jedyna droga utrzymania w Europie demokracji i postępu. Na zapytanie wydawcy pisma „Paneuropa" w sprawie organizacji Stanów Zjednoczonych Europy, tow. Lieberman odpowiedział:

„Idea ta wydaje mi się sprawą wielce żywotną, realizacja jej — koniecznością, jeśli narody Europy chcą uniknąć ruiny o rozmiarach jakich nie znały dotychczas dzieje ludzkości".

Polski ruch robotniczy, pozbawiony wpływu na politykę państwową przez rządy reakcyjnej kliki wojskowej po roku 1926, prowadził zaciętą walkę o demokrację w Polsce. Nie zapominał jednak nigdy o walce o demokratyczną politykę zagraniczną. W 1937 roku, kiedy ówczesny rząd polski kontynuował politykę współpracy z Niemcami (rząd ten odmówił jednak wzięcia udziału w projektowanej przez Niemców wyprawie przeciw Rosji Sowieckiej), ruch robotniczy jasno i wyraźnie określił swe stanowisko. Szeroko rozpowszechniony w całej Polsce Memoriał ruchu robotniczego (P.P.S., Związków zawodowych i T.U.R.'a) do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej m. in. stwierdzał:

„W takiej chwili polityka zagraniczna państwa nie może dłużej wiązać się z państwami przyszłego odwetu zaborczego także wobec Polski. Od tej decyzji zależy nie tylko bezpieczeństwo Polski, ale przede wszystkim jej niepodległość i całość".

Ruch robotniczy nieustępliwie i nieustannie walczył o współpracę z krajami demokratycznymi. W 1939 roku, zbliżającą się wojnę obronną przeciw agresji niemieckiej uznał on za wojnę narodową. Ale nawet wówczas, jeden z najwybitniejszych przewódców polskich robotników, tow. Adam Próchnik, pisał w artykule p. tyt. „Walka idei", ogłoszonym w połowie sierpnia 1939 w „Robotniku" warszawskim:

„Połączyły nas zatem z krajami demokratycznymi węzły wyraźnie ideologiczne... Wszak węzły te stanowią właśnie naszą siłę... Nie pomniejszajmy więc słuszności i wielkości sprawy, której bronimy. Nie zamącajmy tej harmonii, która istnieje między sprawą wolności zewnętrznej i wolności wewnętrznej".

Ruch robotniczy, najpotężniejszy dziś odłam Polski Podziemnej, wszedł do wojny z pełną świadomością celów o które walczy. Wszedł jako członek wielkiej rodziny demokratycznych narodów. Te same idee rozwija dziś w pracy podziemnej. Są one starannie opracowywane i ogłaszane w robotniczej prasie podziemnej i w specjalnych broszurach, ogłoszonych nielegalnie w Kraju.

* * *

Międzynarodowy charakter celów wojny i pokoju został jasno ujęty w „Manifeście Wolności", pierwszym nielegalnym wydawnictwie podziemnego ruchu robotniczego, już w listopadzie 1939 roku.

„Walka o taką Polskę jest walką o wolność, sprawiedliwość i pokój... W walce tej masy ludu pracującego nie są odosobnione. Zbiega się ona z walką mas pracujących całego świata przeciwko totalizmowi niosącemu ludom Europy kajdany i zagładę...

„...Zwycięstwo Aliantów nie może oznaczać hegemonii jednych państw nad innymi. Z chaosu wojny wyłonić się musi nowa Europa, zorganizowana na zasadach wolności politycznej i sprawiedliwości społecznej..."

Programowe robotnicze wydawnictwo podziemne „Trybuna Ludów", z września 1940 roku stwierdza jasno:

„Do starej Europy powrotu nie ma. Wczoraj to Europa... miotana sprzecznościami gospodarczymi i społecznymi, przeżarta faszyzmem, Europa wobec ustawicznego widma wojny, bezwolna i bezradna".

W tym samym wydawnictwie idea bezpieczeństwa zbiorowego przy pomocy federacyj została nazwana „Związkiem wolnych ludów Europy".

Podstawy praktyczne polskiej polityki zagranicznej sformułował również Manifest Wolności:

„Polityka zagraniczna Polski opierać się musi na ścisłym i braterskim porozumieniu ze wszystkimi wolnymi ludami świata, w szczególności z narodami, z którymi Polska powołana jest do zgodnego sąsiedzkiego współżycia..."

Znacznie później (1942 r.) został opracowany przez przedstawicieli podziemnego ruchu robotniczego, chłopskiego i pracowniczego wspólny program, znany jako PROGRAM POLSKI LUDOWEJ. Podziemny ruch robotniczy stworzył specjalne komórki, które opracowują konkretne plany i propozycje oparte na tym ramowym programie. Uzgodnione memoriały, poświęcone poszczególnym zagadnieniom, są ogłaszane w tajnych broszurach pod ogólnym tytułem „Materiały do Programu Polski Ludowej", w celu umożliwienia przedyskutowania ich w całym Kraju. W jednej z tych broszur rozwinięte jest stanowisko polskiego ruchu robotniczego w sprawie zagadnień międzynarodowych (1943 r.).

Pierwszą zasadę, uważaną za kamień węgielny organizacji międzynarodowej, jest przyjęcie za podstawę systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Autorzy krytykują koncepcję sfer wpływów wielkich mocarstw, twierdząc:

„Koncepcji hegemonii wielkich mocarstw w Europie przeciwstawiamy ustrój, oparty na prawie narodów do niepodległości na zasadzie łączenia się państw w imię tradycyjnego hasła polskiej demokracji „wolni z wolnymi, równi z równymi"."

Polski podziemny ruch robotniczy uważa za rzecz oczywistą że „Związkom wolnych narodów państwa przekażą część swych uprawnień suwerennych. Wszystkie państwa i narody, wchodzące w skład takich związków winny wyrzec się dążeń do przewagi gospodarczej lub politycznej oraz aspiracji do przewodnictwa uzasadnianego względami kulturalnymi, politycznymi, historycznymi itp., na rzecz korzyści płynących ze szczerej współpracy".

Najstarsze podziemne pismo robotnicze „Wolność" w jednym z ostatnich numerów „Związek Wolnych Ludów" nazywa „nową polityczną organizację świata", która będzie nadbudową państw i federacji regionalnych. Organizacja ta, w poprzednio wspomnianej broszurze jest nazywana „Związkiem Państw". Broszura ta wylicza najbardziej istotne funkcje tego Związku:

„Organizacja zbiorowego bezpieczeństwa i zabezpieczenie pokoju w oparciu o zasadę, że pokój jest niepodzielny, i że każda

wojna lub groźba wojny stanowią niebezpieczeństwo dla wszystkich członków Związku.

„Konstytucja Związku przyjmie zasadę przymusowego rozjemstwa pomiędzy państwami w sporach, grożących zakłóceniem pokoju i będzie automatycznie stosować sankcje przeciwko państwu,które zostanie uznane za napastnika i nie podporządkuje się decyzjom rozjemczym.

„Związek będzie posiadał moc przeprowadzenia swych decyzji w zakresie utrzymania pokoju.

„Związek przeprowadzi całkowite rozbrojenie państw napastniczych, w szczególności Niemiec, Włoch i Japonii. Polska i inne kraje, wchodzące w skład Federacji Środkowo-Wschodniej Europy będą miały zapewniony udział w kontroli Niemiec".

W specjalnym rozdziale omawiającym sposoby zapobieżenia przyszłej agresji państw osi, zagadnienie to jest szeroko dyskutowane. Czytamy tam między innymi:

„Celem zabezpieczenia świata przed możliwością nowej agresji ze strony Niemiec zastosowane być winny następujące środki, które przekreślą hegemonię Prus i ułatwią wybicie się zdrowych moralnie i kulturalnie elementów niemieckich.

„Niemcom nie będzie wolno utrzymywać żadnych sił zbrojnych, nie wyłączając nawet uzbrojonej policji, ani też formacji czy organizacji paramilitarnych. Służbę bezpieczeństwa pełnić będzie policja międzynarodowa.

„Produkcja niemiecka, zwłaszcza przemysłowa, musi osiągnąć taki stopień jednorodności, aby uniemożliwić odbudowanie aparatu wojenno-gospodarczego. W tym celu produkcja zostanie poddana nadzorowi międzynarodowemu.

„Wychowanie publiczne. prasa, radio, teatr i kino muszą być wolne od charakteru nacjonalistycznego i od propagandy militaryzmu. W tym celu powyższe działy niemieckiego życia kulturalnego zostaną poddane nadzorowi międzynarodowemu.

„Niemiecki majątek narodowy, tak prywatny jak i publiczny, zostanie przekazany na odszkodowania wojenne i okupacyjne. Odszkodowania udzielone przez Niemcy będą wyłącznie rzeczowe i natychmiastowe. O podziale odszkodowań niemieckich między poszczególne kraje decydować będzie wysokość poniesionych szkód ludności cywilnej i szkód kulturalnych".

Nadanie organizacji światowej siły wykonawczej jest, w poprzednio wymienionym numerze pisma „Wolność" dyskutowane osobno: „międzynarodowa siła zbrojna leży na linii projektów stworzenia międzynarodowych warunków wykluczających wojnę". W okupowanej Polsce znane są wyniki ankiety Gallupa w tej sprawie (74 procent odpowiedzi na ankietę, zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Anglii było za stworzeniem międzynarodowej siły policyjnej). Polski ruch robotniczy popiera tę myśl, a pismo podziemne „Wolność" dodaje:

„W tych warunkach, przy aktywnym udziale w organizacji wszystkich narodów, międzynarodowa siła zbrojna będzie strażnikiem pokoju bez możności przekształcenia się w żandarma strzegącego przewagi silniejszych państw nad słabszymi".

Specjalny rozdział wydanych w Kraju „Materiałów do Programu Polski Ludowej" poświęcony jest problemom ekonomicznej i społecznej współpracy (finanse, surowce, transport, warunki pracy, emigracja itp.) jak również współpracy kulturalnej i innym zadaniom Związku Państw (np. ustawodawstwo międzynarodowe itp.). Autorzy broszury są zwolennikami stworzenia międzynarodowych gwarancji demokracji w każdym kraju stwier-

dzając, że „podstawą musi być zaprowadzenie indentycznych zasad demokracji w każdym zainteresowanym kraju".

Zgodnie z zasadą polityki dobrosąsiedzkiej, sformułowaną w „Manifeście Wolności", autorzy broszury analizują i formułują zasady polityki zagranicznej Polski.

Federacja Środkowej i Wschodniej Europy (w ramach federacji Europejskiej i federacji światowej) uważana jest za główne zabezpieczenie Polski jak również innych krajów tej części Europy. Federacja ta traktowana jest jako skuteczny środek przeciwko jakiejkolwiek przyszłej agresji niemieckiej oraz jako narzędzie przyjaznej współpracy zarówno ze Związkiem Sowieckim, wielkim mocarstwem Wschodu, jak i z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, wielkimi mocarstwami Zachodu. Podkreślane jest, że współpraca ta musi być oparta na zasadach, sformułowanych w Karcie Atlantyckiej.

Nastawienie polskiego podziemnego ruchu robotniczego jest dziś — jak i zawsze — międzynarodowe. Widzi on bezpieczeństwo narodowe w odpowiednio sprawnej organizacji międzynarodowej. Uważa trwały pokój i wolność za ściśle ze sobą związane i uwarunkowane wprowadzeniem w życie zasad demokracji w polityce zarówno wewnętrznej jak i na polu stosunków międzynarodowych. Polski podziemny ruch robotniczy walczy o Wolność:

WOLNOŚĆ POLSKI I WOLNOŚĆ W POLSCE!

STANISŁAW BALIŃSKI

POLSKA PODZIEMNA

Moją ojczyzną jest Polska Podziemna,
Walcząca w mroku, samotna i ciemna.
Mojem powietrzem jest wicher bez nieba,
Moim pokarmem jest krew w garści chleba,
A mojem światłem, co błyszczy zdaleka
Jest nasze prawo i prawo człowieka.

Mogę przeklinać ten bunt wiecznie żywy,
Ale bez niego nie będę szczęśliwy.
Mogę uciekać przed zmagań żałobą,
Ale już nigdy nie ujdę przed sobą.
Wśród wielu ojczyzn, co płyną w mgle cudnej,
Ja chcę tej jednej, tej ludzkiej, tej trudnej.

Cóż mi po wszystkich słońcach tego świata,
Jeżeli światło zasłania mi krata.
Cóż mi po wszystkich urokach tej ziemi,
Jeżeli mi serce wpchnięto do podziemi.
O bracia moi, a kto bez wolności,
Niech w ciemność idzie i walczy w ciemności.

Moją ojczyzną jest Polska Podziemna,
Walcząca w mroku, samotna i ciemna.
Czy tam, czy tutaj, to jedno nas łączy —
Nurt nieśmiertelny, co się we krwi sączy
I każe sercu taką moc natężyć,
Że wbrew rozumowi musimy zwyciężyć.

JULIAN TUWIM

Z KWIATÓW POLSKICH

...Lud polski PRAWNIK z krwi i kości,
Nie z praw pisanych lecz z prawości,
Chłop, żywe radło ziemnej głębi,
Mistycznie sprawiedliwość wielbi.
I kiedy mówi „SPRAWIEDLIWIE"
To więcej w tym przysłówku Prawa,
Niż w waszych sadach i ustawach,
A kiedy mówi „KRZYWDA", to z niej
Prawdziwa krzywda krzyczy groźniej
Niż z waszych więzień i katowni,
Gdzie zwykle za wielmożne szuje
Nędza wyroki odsiaduje...
Więc komu rządzić, temu rządzić,
A chłopom w Polsce sądy sądzić!
Sad idzie. Wstać. To ludzie prości
Podnoszą pięść sprawiedliwości
Przeciwko pięści krzywdy starej!
Przyjmuję ciebie, Prawo Ciemne,
Koślawych twoich słów posłucham,
Choćbyś mnie miało zgnieść mieszczucha.
Półpanka, tchórza, co uboczem
Wygodnie przeszedł po epoce,
I choć bez winy przyjmę karę...
Przyjdź, Sprawiedliwe! rządź Robocze!
Pieczętuj wyrok Czarnoziemne.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA WIELOPOLSKI

II. PRZED STYCZNIEM

Cała polska opinia publiczna to jest ciotki, gaduły, krzykacze, stała murem przeciw Wielopolskiemu. Za to Koźmian, Zygmunt Krasiński i Generał Morawski, którzy w tej czy innej formie odpowiedzieli na wywody margrabiego, urośli naraz do formatu mężów stanu polskiego podwórka. Zwłaszcza mroczny, mętny i nadęty Zygmunt Krasiński wzbudził powszechną admirację swych ciotek. „Quelle belle réponse" pisała jedna z nich o wyczynie polemicznym swego siostrzeńca; „et je voudrais ajouter jak bardzo polska! Oh, je suis certaine que le marquis se rongait les ongles de colère, et c'est bien fait pour lui, car j'ai le tojours trouvé assomant. Nie, nie, niech cały naród wywiozą lepiej en Sybérie ou jusque dans cette Kamchatka, ale z własnej woli mieć nas nie będą". Wyprawiając szczodrą ręką cały naród polski na Sybir ofiarna ciotka-Polka sama wyjechała niebawem, ale tylko do Petersburga. Właśnie na dworze carskim zaczynał się, huczny jak zwykle, karnawał, i ciotka liczyła że niezależnie od nieszczęść narodowych ulokuje jedną ze swych córek za jakim Naryszkinem, Tołstojem czy Oboleńskim. Jak widzimy, wszystko było bardzo po polsku. Patriotka, przybrana w urok nieprzejednanej posta-

wy pląsała po rosyjskich salonach, Wielopolski potępiony przez wszystkich pozostał tymczasem w Chrobrzu.

Ale właśnie w okresie owego karnawału mogło się naraz wydać, że to przecież nie margrabia, ale polscy emigranci na Zachodzie, a Krasińscy, Koźmiany i Morawscy w kraju, mieli w tym sporze rację. Na Zachodzie ruszył się bowiem rewolucyjny wulkan. Właśnie w lutym stary król Ludwik Filip przepędził znienawidzonego premiera Guizot'a, tego samego co o półtora roku wcześniej pochwalił Austrię za obrotne przeprowadzenie rzezi galicyjskiej. Guizot od kilkunastu lat przekupiał wprawnie każdorazowych deputowanych do parlamentu francuskiego, toteż w rezultacie był powszechnie niecierpiany przez tych wszystkich których jeszcze nie przekupił, już przekupywać przestał, lub też — wedle ich skromnej opinii — przekupywał za mało. Dymisja premiera jest zawsze bardzo przyjemnym wydarzeniem, toteż paryżanie uczcili odejście Guizot'a iluminacją miasta, przy okazji wybuchł zatarg z jakimś oficerem, i oficer ten, zapewne w obronie munduru, kazał dać ognia do tłumu. Ale paryżanie nie lubili jakoś takich igraszek, — i w dwa dni później upadła monarchia francuska. Stary król schronił się do Anglii, arcybiskup Paryża poległ na barykadach, a na tronie królewskim tłum paryski posadził zwłoki zabitego robotnika. Paryż przodował światu nie tylko w modach kobiecych, ale i politycznych. Toteż niebawem inne trony europejskie poczęły walić się także. Rok był 1848, a wiosna, jaka się niebawem zaczęła, miała nosić na zawsze miano „wiosny ludów".

W rzeczy samej można było pomyśleć, że szepty konspiratorów, artykuły nielegalnych pisemek i wiersze poetów stały się naraz dniem codziennym. Z Rzymu tajnym wyjściem uciekł papież, z Wiednia w jednym ubraniu czmychnął cesarz. W Berlinie blady król pruski musiał obnażyć głowę przed uwolnionymi z więzienia rewolucjonistami, a króla Ludwika Bawarskiego wyrwali niedyskretni poddani prosto z ciepłych objęć Loli Montez. Co to był za rok! Wydawało się że tym razem naprawdę nastąpił koniec świata. Większe, małe, całkiem maluśkie trony waliły się lub chwiały, w krajach gdzie nie wolno było pisnąć słówka „konstytucja", teraz pisano całe szpalty o nowych zbawczych projektach, lokatorzy przestawali płacić czynsze; chłopi pracować na pańskim, lokaje wstępowali do gwardii narodowych, mieszczanie bawili się w home guard'dzistów. Zdawało się, że tym razem nadeszła też niechybnie owa „wielka wojna ludów" o którą tak gorąco modlił się Mickiewicz. Pod pewnym względem sprawa polska wypłynęła istotnie na powierzchnię, albowiem lekkomyślne ludy chwytając za broń zapraszały sobie na wodzów — polskich generałów. Znakomici ci mężowie byli przeważnie bezrobotnymi od 1831 r., i dość bezskutecznie poszukiwali sobie posad w Portugalii, Belgii czy Egipcie. Nanudziwszy się dosyć postanowili pokazać raz jeszcze co potrafią. Toteż niebawem generał Chrzanowski przegrał w Lombardii, Bem we Wiedniu, Dembiński na Węgrzech. Przegrane nie są zazwyczaj tym, czego się spodziewają narody po swych generałach, toteż sława oręża polskiego nie zyskała na tym nigdzie, prócz, oczywiście, Polski. Tu nikt nigdy nie pytał żadnego generała co zrobił z powierzoną mu dywizją, pułkiem czy brygadą. Wystarczyło, że sam się uratował. Kraj szeptał więc tylko nabożnie tajemnicze słowa że „Polacy się biją". Pytanie czy biją innych czy też raczej sami są bici, wydawało się wszystkim czymś zupełnie drugorzędnym. Zresztą tylko chyba bardzo

źli Polacy mogli w ogóle stawiać sprawy w tak wysoce niepatriotyczny sposób...

Ale i teraz, jakby na złość polskiej opinii publicznej, nie stał się żaden z tych „cudów" na które z roku na rok czekali polscy mężowie stanu, — i na które nakazywali czekać innym. Stało się nawet przeciwnie. W pewnym momencie wody rewolucji zatrzymały się, a niebawem zaczęły w ogóle opadać. W Paryżu zdjęto czerwone sztandary i prezydentem nowej republiki został książę Ludwik Napoleon Bonaparte: droga do nowej monarchii była już otwarta. Do Rzymu wrócił ten sam papież, do Wiednia wprawdzie inny cesarz, ale za to ta sama policja. Armie habsburskie zgniotły ognie rewolucyjne Włoch, a wrzód rewolucji węgierskiej przekłuto pożyczonym bagnetem rosyjskim. Wiosna ludów odbiła się tragicznym echem w Galicji, przelotnym w Poznańskim, ale zatrzymała się u wrót zaboru rosyjskiego. To znaczy, że dwie trzecie ziem polskich w ogóle nie zaznało jej wstrząsu. Powoli w Europie robotnicy wracali do fabryk, chłopi do pługa, konstytucje do archiwów, a szpicle do pracy. Na Zachodzie było trochę znośniej. Ale w Polsce było dalej to samo. Nie, nowa rachuba na Zachód zawiodła także. Toteż ciotki hrabiego Zygmunta wróciły z powrotem do mód i do plotek, orzekając iż ich zdaniem polityka jest w ogóle brudnym zajęciem. Hrabia Zygmunt poświęcił się na nowo Delfinie i poezji, a za to Wielopolski, pokazując się w Warszawie, mógł mieć zawsze smutną pociechę, że po niewczasie będą do niego przybiegali ci wszyscy którzy jeszcze pół roku temu uważali go za większego wroga Polski niż samego cara. Nie, nie ulegało wątpliwości, że raz jeszcze ten nieprzyjemny, wyniosły, opryskliwy człowiek miał rację. Zachód ma za krótkie ręce. Nie dosięgną one do Wisły i spraw nad Wisłą nie zmienią. A przecież naród marzył nie tylko o Wiśle. Marzył jeszcze o Dźwinie, Berezynie i Dnieprze...

Przez jakiś czas wielki organ emigracji paryskiej, „Wiadomości Polskie" dowodził, że jeśli zawiodły „ludy", to przecież nie zawiodą „gabinety", to jest rządy zachodnie, i że to czego nie dokonała burza rewolucyjna, zostanie dokonane przez chłodny plan mężów stanu. Jest więc jeszcze pewna nadzieja. I istotnie, wybuchła wojna krymska. Okazało się, że Zachód nie będzie tolerował każdego pochodu rosyjskiego, ani każdej ekspansji rosyjskiej, że w pewnym momencie potrafi też powiedzieć „nie", i że potem ów moment będzie dla Rosji bolesny. Kiedy więc car zagroził Turcji, doszło do wojny. U boków sułtana stanęły armie królowej Wiktorii, i cesarza Napoleona III, który, jak widzimy, potrafił szybko porzucić tytuł „księcia-prezydenta". Nawet mała Sardynia która jeszcze nie była królestwem włoskim, przyłączyła się do tej wyprawy na Rosję, w nadziei że za mestwo swych pułków nad Morzem Czarnym otrzyma zapłatę we Włoszech. Naraz, ku niespodziance Rosjan, bandery kilku narodów przepłynęły Bosfor, międzynarodowy desant wylądował na Krymie, i gazety przez szereg miesięcy były pełne wiadomości o żuawach, cholerze, Sebastopolu, Malakowie, szarży pod Balaklawa. Przystąpiono do organizacji międzynarodowej instytucji którą nazwano „Czerwony Krzyż", a królowa Wiktoria stworzyła nowy order wojenny: Victoria Cross. Jeśli w obecnej wojnie któryś z Rosjan dostałby to wysokie odznaczenie brytyjskie, to byłby to tylko pewien zwrot; albowiem krzyże Victoria Cross są odlane ze spiżu rosyjskich armat zdobytych przez Anglików na Krymie...

Nauka, jaką w wojnie Krymskiej otrzymała Rosja, była bolesna, ale bardzo pożyteczna. Okazało się bowiem, że żołnierz ro-

syjski jest wprawdzie doskonały, ale nie dość doskonały, żeby zawojować świat, okazało się także, że Zachód może czasem zagrodzić drogi życiowe Rosji, wreszcie okazało się, że Rosja znalazła się w tragicznym momencie całkowicie bez sojuszników. Prusy którym car Mikołaj wyświadczył lekkomyślnie tyle przysług, pozostały cicho, choć jednym wypadem nad Ren mogłyby wprowadzić Francję w bardzo paskudną sytuację. Jeszcze więcej zawdzięczała carowi Austria, którą przecież w okresie rewolucji węgierskiej uratowały tylko rosyjskie pułki; i Austria w ostatecznej chwili sama zagroziła wystąpieniem przeciwko Rosji. Obok zwycięstw alianckich na Krymie był to ostatni cios, po którym przyszła nagła i dość tajemnicza śmierć Mikołaja I, oraz prośba syna jego — zwał się Aleksander II — o pokój. Pokój ten uratował Turcję, osłabił Rosję, wzmocnił Anglię na Bliskim Wschodzie, a Napoleona III w Paryżu, nieco poprawił szanse biednej Sardynii oraz całkowicie zignorował Polaków. Pominięto ich zupełnie, w traktacie pokoju, na konferencji mocarstw, wszędzie. Wbrew zapowiedziom tylu światłych, cenionych i podobno „znających Zachód" Polaków po raz nie wiem już który doznaliśmy zupełnego zawodu. Po raz też nie wiedzieć który, wbrew tylu uroczystym obietnicom, Opatrzność Boska nie uczyniła cudu. I raz jeszcze, jakby na złość wszystkim, rację miał cet assomant Wielopolski. Było to ogromnie przykre dla przyjaciół pompatycznego generała Morawskiego, dla tych co cenili bystrość myśli starego pana Koźmiana, oraz dla familijnego gremium admiratorów, a zwłaszcza admiratorek, długonosego hrabiego Zygmunta. Ale trudno, nie było rady, nie można było nawet przeinaczać. Doprawdy, los się był zawziął na tę nieszczęsną Polskę. Wszyscy mylili się tu zawsze, i rację miał zawsze samotny w tym kraju: Aleksander Wielopolski.

Nadomiar złego zaczęła się zmieniać pewna sytuacja wewnętrzna, a ponieważ w Polsce tylko śmierci mogą przynosić jakieś zmiany, więc też zmieniała się poprzez śmierć. Najpierw jakeśmy rzekli, umarł główny wróg Polski car Mikołaj. Śmierć ta oznaczała bardzo wiele. Mikołaj I był bowiem jednym z najbardziej klasycznych monarchów z Bożej łaski jakich ziemia kiedykolwiek nosiła. Historycy jacy pomawiali go o nacjonalizm nie mieli racji. Był to przede wszystkim car absolutny, któremu Filip II hiszpański, łacinnik i ultra katolik, Ludwik XIV francuski, lub którykolwiek z wiedeńskich Habsburgów, był stokroć bliższy duchem niż otaczający go rodacy i współcześni. Ten car był kosmopolitą legitymizmu. Gdyby mu dano do wyboru aby był nadal królem z Bożej łaski, ale w Brazylii, lub też aby pozostał władcą w Rosji, ale władcą konstytucyjnym, jak jakiś Ludwik Filip, czy królowa Wiktoria, na pewno ten car prawosławny zapakowałby do walizy parę ikon i odznak pułkowych — i wyemigrowałby do Brazylii. Jeśli ten car nienawidził Polaków, to przede wszystkim dlatego, że buntowali się przeciwko temu ustrojowi państwowemu który jemu, Mikołajowi, najbardziej się podobał; to że Polacy mówili inną mowa niż Rosjanie, chodzili do kościołów a nie do cerkwi i mieli w herbie białego, a nie dwugłowego orła, to byłyby jeszcze usterki zupełnie do darowania. Mikołaj I nienawidząc buntowniczych Polaków poczuwał się za to do solidarności ze swym sąsiadem, z Bożej łaski królem pruskim i drugim swym sąsiadem, z Bożej łaski cesarzem austriackim. W jego oczach Czesi albo Karpaccy Rusini z Użhorodu, buntujący się przeciwko temu cesarzowi, byliby tylko buntownikami, równie wstrętnymi jak Polacy; a Rosjanie z młodszej generacji jacy w tych ludach

widzieli pobratymcze szczepy, wydawali się mocno podejrzani o niebłagonadiożność. Jego syn Aleksander II był innym carem. Widział w Rosji konieczność, niewyraźnych co prawda, reform, doceniał ogrom cywilizacyjnego dystansu jaki rośnie z każdym rokiem między Rosją a Zachodem, a wreszcie rozumiał że jego ojciec był Don Kiszotem wśród monarchów europejskich; śpieszył im zawsze na pomoc, ale oni jemu nie odwdzięczyli się nigdy. Gdzie szukać aliantów? Od Adriatyku aż po Bałtyk, i od Morza Czarnego aż po Odrę leżały ludy wchodzące w skład obcych państw, podległe obcym sobie berłom, a mówiące mową zbliżoną lub pokrewną tej wielkiej mowie jaka szumiała poprzez ziemie rosyjskie potężnym spływem Wołgi. Nie, Aleksander II nie miał wiele serdecznych uczuć dla swoich kuzynów z Berlina, czy sąsiadów z wiedeńskiego Schönbrunu. Natomiast wiedział, że po wsiach słowackich, po monasterach serbskich, wśród inteligentów kaszubskich i etymologów czeskich mówi się wiele o Rosji podczas długich wieczornych rozmów, — a zarówno rosyjscy poeci, jak petersburski wywiad i cesarska dyplomacja powiadamiały go, że to wszystko są przecież siły które byłyby warte uwagi.

Mniej więcej w rok po śmierci Mikołaja I zmarł jeden z jego głównych współpracowników, mianowany przez niego hrabią, feldmarszałkiem oraz dwa razy księciem, a wreszcie faktycznym wice-królem Królestwa Polskiego. Srogi książę Paskiewicz-Erywanskij-Warszawskij rządził Warszawą i krajem od września 1831 r., i był to prawdziwy książę udzielny, który z jednej strony trzymał krótko Polaków, z drugiej strony odpychał od Warszawy ingerencję petersburskiej centrali. Następcą jego został chwilowo stary generał Wincenty Krasiński który swe przywiązanie do Napoleona przeniósł z kolei na trzech po sobie następujących rosyjskich carów, a piękną kartę legionową na polach bitew od Madrytu po Moskwę uzupełnił w późniejszym wieku czterema dziesiątkami serwilistycznych lat. Był to, jak wiemy, ojciec Zygmunta Krasińskiego. Ale Wincenty Krasiński umarł również dosyć prędko i przy jego trumnie naród zapomniał o wszystkich wyrzutach jakie mu robiono: namiestnik carski był chowany z pompą jaką Polacy lubią roztaczać przy pogrzebach.

Wszystkie te śmierci odmieniały polityczne oblicze kraju: zamiary reformistyczne cara dochodziły echami nad Wisłę: po klęsce krymskiej Rosja czuła się mniej pewna, rosyjski żandarm i urzędnik był mniej hardy. A wreszcie ktoś co chciał pozyskiwać sobie Słowian ujarzmionych nad Wełtawą, Dunajem, Wagiem, a może i Odrą, nie mógł rządzić nahajem nad Niemnem i Wisłą. Oto jakie zmiany nastawały w tym kraju po bardzo długim okresie zastoju.

Los sprawił, że przychodziły one wtedy kiedy Aleksander Wielopolski był u kresu sił męskich, a na progu starości. Najbardziej znane jego portrety dochowały się właśnie z tych czasów. Widzimy na nich, otyłego, starszego pana, o krótkich siwych i zmierzwionych włosach, o bokobrodach które nadają twarzy nieco lwi wygląd. Zawsze ma na tych portretach brwi ściągnięte ponuro, jakiś gniewny wyraz w ustach i tylko zarys brody i układ szczęk znamionują w tym człowieku jego dawną, zapisaną przez współczesnych, wolę.

W tym właśnie okresie margrabia był już nawet dziadkiem. Na parę lat przed wojną krymską jego syn Zygmunt ożenił się z austriacką arystokratką, księżniczką de Montenuovo. Wzmiankujemy o tym małżeństwie, bo narobiło ono wiele złej krwi, w wie-

lu arystokratycznych salonach które wówczas urabiały poglądy polskie i powiększyło walnie niepopularność Wielopolskiego. Synowa margrabiego była nie mniej nie więcej tylko wnuczką pierwszego austriackiego cesarza — tego samego na cześć którego ułożył Haydn swój melodyjny „hymn ludów". Była to bowiem córka owej arcyksiężniczki Marii Ludwiki która była żoną Napoleona (i matką „Orlątka"), po jego upadku została księżną Parmy, a jako kochliwa i rozbudzona kobieta wyszła niebawem zamąż, oczywiście morganatycznie, za nastręczonego jej przez Metternicha generała Neiperga. Potomstwo nosiło tytuł książąt Montenuovych i jedna z nich właśnie wniosła w dom Wielopolskich swe habsburskie alianse, włoski tytuł, a także klejnoty, darowane ongiś Marii Ludwice przez samego Napoleona.

To świetne małżeństwo podniosło oczywiście prestige Chrobrza, ale jednocześnie wzmogło niesłychanie owe drobne zawistki i zawiści jakich już tyle zdążył nagromadzić wokoło siebie margrabia. Młody Wielopolski, przystojny i sympatyczny, był przecież świetną partią dla niejednej Krasińskiej, Tyszkiewiczówny, Radziwiłłówny czy Potockiej; a tu jakaś cudzoziemska wywłoka sprzątnęła go sprzed nosa! Po drugie, w polskiej arystokracji takie świetne małżeństwa europejskie były w gruncie rzeczy bardzo nielubiane, zwyczaj małżeństw wśród kuzynów i kuzynek dogadzał najlepiej zasadom wzajemnej równości Tarnowskich i Potockich. W Warszawie powiedziano sobie że pycha margrabiego będzie teraz „bez granic", — i w ten sposób nawet taki drobiazg miał dla przyszłej kariery starego samotnika z Chrobrza niepomyślne, a nie najmniejsze, znaczenie. A właśnie ze społeczeństwem trzeba się było niebawem bardzo poważnie liczyć.

Ale pogłębiona niepopularność wśród tej wpływowej, lecz szczupłej warstwy nie byłaby jeszcze wystarczająca. Cóż, gdy niebawem poszerzył ją wypadek inny! Był to znowu proces. Wielopolski — pamiętajmy o tym — był prawnikiem z wykształcenia, nie tylko filozofem, i jego wiedza prawnicza kojarzyła się dobrze z temperamentem zapalczywym, wojowniczym, nie uchylającym się przed walką. Już kiedyś stoczył taką walkę w celu odzyskania utraconych połaci Chrobrza. Teraz — w latach 1857-1860 — miał ją stoczyć o inną stawkę. Także zresztą chodziło, acz odmiennie nieco, o Chroberz.

O tym bowiem czasie zmarł był na Ukrainie Konstanty Świdziński, przyjaciel całego życia, powiernik wielu trosk i rozmów. Był tak samo jak wielu ludzi w tym kraju synem zmarnowanej warstwy, której anormalne warunki polityczne niewoli nie pozwoliły się wybić. Pomnożył, i on także, ilość dziwaków. Snuł mętne koncepcje słowianofilskie, po trosze i ludowe, poróżnił się z rodziną, wyniósł na Ukrainę, skąpił i sknerzył. Ale jednocześnie zgromadził zbiory wszelkich krajowych starożytności, i zbiory te były skarbem ogromnym. Powiadano, że przekupiał mnichów prawosławnych po klasztorach, służbę biskupią, archiwariuszy rosyjskich, osobiście zaś okradał z cennych dokumentów swych kuzynów czy przyjaciół ziemiańskich. Roztrwonił na to całą fortunę i resztę życia. Ale też zebrał naprawdę rzeczy nieocenione, i zwłaszcza historycy ukraińscy i rosyjscy oparli się na nim. Co się stanie z tymi zbiorami? Świdziński dawno już to przewidział; zbiory jego dostaną się Zygmuntowi Wielopolskiemu, synowi przyjaciela; w Chrobrzu, a może w Warszawie, powstanie w tym celu fundacja, powierzona Wielopolskim. Ostateczny zapis nie był zbyt wyraźny. Mówił o fundacji, mówił też o Wielopolskim. To pewna, że wydziedziczał rodzinę. Po śmierci Świdzińskiego,

Margrabia zebrał te zbiory z różnych miejsc, przewiózł do Chrobrza i począł budować okazały gmach na ich przyjęcie. W ten sposób Chroberz stałby się nie tylko rezydencją magnacką, ale narodowym przybytkiem pamiątek.

Świdzińscy jednak nie myśleli o odejściu z kwitkiem, a przynajmniej pomyśleli o tym, aby to co im odjęto nie dostało się i ich konkurentowi. Proces przeciw Wielopolskiemu o oddanie im spadku chybił celu. Wola Świdzińskiego wydziedziczająca rodzinę była sformułowana wyraźnie. Proces Wielopolski-Świdzińscy nie interesowałby ogółu. Utraciwszy nadzieje odzyskania spadku dla siebie, Świdzińscy postanowili jednak nie dać go i Margrabiemu. Trzeba przyznać, że zabrali się do tego umiejętnie. Weszli w kontakt z opiekunami zbiorów ustanowionymi zapisem: zaatakowali nie sam zapis, ale myśl umieszczenia go w Chrobrzu. Czyż nie lepiej stworzyć gdzieś w Warszawie ogólno-narodową fundację? Sprawa tak postawiona mogła poruszyć opinię. Nie był to już spór o to czy pewien majątek i zbiory przypadną tej czy innej rodzinie ziemiańskiej. Teraz chodziło o to — przynajmniej z pozoru — czy będą one własnością „narodową", ogółu, czy prywatną, magnata: czy będą w Warszawie pod bokiem wszystkich, czy też w zapadłym Chrobrzu: czy do rzędu różnych społecznych godności, prezesur czy kuratorstw, przypadnie jeszcze jeden tytuł: kuratora zbiorów po Świdzińskim? Ceniono wówczas w Warszawie takie tytuły jeszcze bardziej niż za naszych czasów. Poważny ziemianin, marszałek szlachty wołyńskiej, szambelan cesarski, czuł się dopiero szczęśliwym gdy mógł piastować jeszcze tytuł „kuratora szpitala świętego Rocha": bohater jednej z nowel Sienkiewicza pisał na swym bilecie: „były radca stanu w byłej radzie stanu Królestwa Polskiego". Był to szczegół, ale nie najmniej ważny.

Czy możemy tak bardzo dziwić się Margrabiemu, że zbiorów nie chciał oddać? Któż by je oddawał? Były zapisem przyjacielskim, na pewno nie wyłudzonym. Przymnażały tak pięknie prestige rodzinnego Chrobrza. Zajął się nimi tak pieczołowicie nazajutrz po śmierci Świdzińskiego. Budował dla nich pomieszczenie istotnie okazałe. W dodatku Wielopolski wiedział dobrze jak wyglądają w polskiej praktyce podobne fundacje narodowe, oddane w ręce „przedstawicieli społeczeństwa". Czy nie lepiej, gdy będą one pod strażą rodziny o tradycjach kulturalnych, gdzie świetność nazwiska będzie nakazywała pieczę spuścizny? Dość, że Margrabia odpowiedział odmownie. Rozpoczął się proces. W trzech instancjach wygrywał go Wielopolski. Za każdym razem przegrywał go w opinii.

Do opinii polskiej wszystkich czasów rzadko kiedy przemawiało chłodne, logiczne i formalne rozumowanie prawne: znacznie silniej przemawiały frazesy. W tych ostatnich Świdzińscy byli na pewno znacznie zręczniejsi niż Margrabia. Być może że on, po prostu, nie zniżał się do tej broni. Im bardziej anarchiczna, samowolną i kapryśną bywa polska opinia, tym częściej zwalcza wybitne, lecz samotne jednostki, tym skorzej przeciwstawia im popularne zera i miernoty. Pamiętajmy, że kraj nie miał normalnego życia politycznego, parlamentu, rządu, prasy wolnej, wyborów. Toteż zebrania jakiegoś Towarzystwa Rolniczego stawały się namiastką sejmu którego nie było, zarząd jakiegoś towarzystwa dobroczynności rodzajem rządu in spe, bal politycznym zebraniem, venta wiecem, sala sądowa trybuną. W normalnie żyjącym kraju proces Wielopolski-Świdzińscy byłby tylko procesem; tu stawał się polityczną sprawą. Przed sądem Margrabia

ją wygrywał; przed opinią przegrywał. Przypomniano sobie „list szlachcica polskiego do księcia Metternicha"; z Paryża „Wiadomości Polskie" dogrzewały wspomnieniami z 1831; a i proces Szanieckiego powracał echem sprzed laty trzydziestu. Portret Wielopolskiego zarysował się jako formalisty, obstawiającego się zręcznie paragrafami, chciwego na własny zysk, obcego na „dobro narodu". Jak wiadomo, czym większe u nas kanalie, tym częściej dobro narodu mają na ustach, a przemawianiem w imię narodu trudnią się zawsze ci co do tego najmniejsze mają prawo. — Toteż Wielopolski musiał być przegrany.

Kiedy Świdzińscy znowu podjęli proces, uprzednio już przegrany we wszystkich instancjach, Margrabia osądził, że dość w to włożył pieniędzy i energii. Poszedł więc na kompromis. Zbiory przeszły do Warszawy. W pamięci ludzkiej pozostała po tylu sporach tylko sylwetka samotnika, idącego w poprzek dążeniom narodu, nie bacznego na wskazania opinii, na głos publiczny, i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Było to bardzo złe przygotowanie, aby zostać wodzem tego społeczeństwa. Ale też miało ono innych kandydatów na wodzów.

* * *

Owo społeczeństwo z którym Wielopolski był tak wytrwale na bakier, nie nosiło już, rzecz jasna, kontuszy, nie jeździło na sejmiki i trybunały, ale było w dalszym ciągu społeczeństwem nie tylko ziemiańskim, lecz szlacheckim. Pełno pań trzymających salony w Warszawie były córkami autentycznych wojewodzin, kasztelanowych, podskarbin i podkomorzyn z ostatnich lat Rzeczypospolitej: wielu ludzi bywających na sali jadalnej „Europejskiego" hotelu było synami posłów Sejmu Czteroletniego, wnukami Targowiczan, ba, nawet — jak powieściopisarz Henryk Rzewuski — po prostu ich synami. I obyczaj był ten sam. Cóż mogło go zmienić? Miasto było ubogie, dość niemieckie i dość żydowskie; o wsi nie ma co gadać; intelegencję miejską wydrenowało z jej najlepszych sił tamto, listopadowe, powstanie, emigracja i ucisk paskiewiczowski. Dopiero się odrabiały. Przeto, pod pozorami nowych czasów, nurtowało dawne życie. Tym nawet podobniejsze do dawnego, — to jest „saskiego" — że popowstaniowy upadek oświaty przekreślił to co zrobiły czasy Stanisława Augusta. Powiększył ciemność.

Społeczeństwo szlacheckie dawnej Polski odnajdywało w regionalnych magnatach swych wodzów, opiekunów, przewódców. W XVII czy XVIII wieku Litwa głosowała jak jej kazał Radziwiłł: Ukraina, wedle Potockich: w reszcie Polski wykraiwali sobie „sfery wpływów" Czartoryscy: pomniejsi, jak się dało. Ale w XX wieku z odpadnięciem Litwy skończył się radziwiłłowski Nieśwież, z przyłączeniem Ukrainy do Rosji dzieje Tulczyna, Niemirowa czy Sofiówki Potockich: a powstanie listopadowe dało wprawdzie Czartoryskim widmowy tron w paryskim Hotel Lambert, ale przekreśliło skonfiskowane przez cara Puławy. Trony magnackie zatem padły. Jeden pozostał. Zamość. Zamość, a ściślej Klemensów, był dalej w ręku Zamoyskich. A Zamoyscy należeli do najpierwszych magnatów polskich, lepszych — na to zważano wtedy — od Wielopolskich. Lepszych znaczyło także bardziej wpływowych. A także bardziej polskich.

Można by bez wielkiej przesady utrzymywać, że niemal każda dynastia magnacka w Polsce posiadała swoją fizjonomię, dziedziczoną przez wszystkich wybitniejszych przedstawicieli rodu, pospołu ze srebrami, borami, stadninami i nazwiskiem. Radziwił-

łowie byli ambitni i rządni, gdy Czartoryscy ambitni i marzycielscy, Potoccy patrzyli na majątek i popularność, Sapiehowie byli zabijaccy i z gestem, nieraz płytkim zresztą. U Zamoyskich przeważała szlachetność i — frazes. Ongiś, z wielkim Janem Zamoyskim, który w jednym ręku skupiał za dwóch królów buławę hetmana i pieczęć kanclerza, niczem godność naczelnego wodza i premiera w naszych czasach, ród ten wyrósł ze średniej szlachty, na barkach masy szlacheckiej, do magnaterii. Dla mas szlacheckich XVI w. Jan Zamoyski był takim samym „trybunem ludu" co Wincenty Witos dla mas chłopskich XX-tego. Tak samo jak później Witos ziemiaństwo, tak tamten spychał oligarchię, aby dać miejsce, władzę i ziemię olbrzymim rzeszom chodaczkowych, jednodymnych i półwłókowych szlachciców, na pewno nie wiele zamożniejszych, a jeszcze pewniej nie oświeceńszych od tych chłopów co w 1922 roku oddawali swe głosy na listę „Piasta". Prawda, że sam Jan Zamoyski poszedł potem „w wielkie pany", jego dziedzice w senatory, że Zamość stał się jedną z największych ordynacyj w Polsce, kilkakrotnie większą od margrabskiego Chrobrza. Ale coś przecie pozostało z tych demokratycznych zaczątków, i Zamoyscy byli czymś bliższym braci szlachty niż inni magnaci, bardziej się kumający dwór. A także, z nawyku atawistycznego, radzacy jak ich tam stać było, o „dobru rzeczypospolitej". Panie Kochanku Radziwiłł tyle że pił i bredził; oni jeszcze radzili. Gorzej, mądrzej, całkiem niemądrze, dostosowując się zwykle do ogólnego poziomu ziemiańskiej umysłowości, — ale radzili. Teraz tak samo radził „pan Andrzej".

Był to kolejny ordynat zamoyski, pan na Klemensowie, największy właściciel ziemski w Królestwie Polskim. Jego brat, generał Władysław Zamoyski, człowiek o niepospolitym uporze, zaciekłości, charakterze, doktrynerstwie, był jednocześnie na emigracji istotną sprężyną paryskiego hotelu Lambert Czartoryskich, premierem-widmem polskiego „króla-widma" — księcia Adama. Poglądy „pana Andrzeja" były mniej namiętne, może łagodniejsze, ale pewno nie inne. W 1831 roku posłował imieniem powstania do Wiednia, potem został w kraju, zapewne aby nie dać upaść olbrzymiej ordynacji, i odtąd ...„czynił w swoim kółku co każe duch Boży". Był to w każdym calu jak najbardziej przeciętny człowiek. Gdyby nazywał się Wolski, albo Klemensiewicz, albo Porzecki, to jest gdyby zamiast Zamoyskim był sobie przeciętnym szlachcicem ziemiańskim spod tego samego Zamościa, nawet w jego powiecie słyszanoby o nim mało. Tyle że czytałby więcej niż inni (nie o wiele więcej); że gospodarowałby nieco lepiej niż inni — (ale też tylko nieco), i że jego spokojny, flegmatyczny temperament umożliwiłby mu żywot mniej wódczany, szampański, karciarski i dziwkarski niż bardziej jurnym od niego szlagonom powiatu. Margrabia nie urodziwszy się Wielopolskim wybiłby się zawsze; pan Andrzej Zamoyski, nigdy. Margrabia urodziwszy się synem szewca dorwałby się kiedy do barykad, Sybiru, emigracji, szubienicy; urodziwszy się synem jakiegoś koncypienta czy belfra wyszedłby na konspiratora, wydawcę nielegalnych pism, emisariusza, komunarda. Pan Andrzej jako syn każdej innej warstwy a nawet rodziny, nie wybiłby się wcale. Gdyby Polska żyła normalnym życiem jakiejś Belgii, Francji ówczesnej czy Prus, zajmowałby co najwyżej drugorzędne stanowisko, też zawdzięczane zresztą nazwisku i fortunie. Ale w stosunkach ówczesnej Polski wyrósł na postać polityczną.

W owym ciemnym okresie, kiedy to Wielopolski z Chrobrza czmychał choć do Krakowa, by uraczyć się przynajmniej lekturą

nowych numerów „L'Avenir'u", „Revue des deux mondes" czy czymś w równie katolickim guście, pogwarzyć z Pawłem Popielem i Zygmuntem Helclem, pan Andrzej osiadł w swym Klemensowie, na ordynacji obejmującej coś trzy powiaty, tonącej w lasach i w mroku epoki. Obowiązkowość, właściwa Zamoyskim nawet wtedy gdy biorą za ciężkie na siebie obowiązki, kazała mu szukać w czym byłby przydatny. Skromność — pan Andrzej miał i tę, częstą u Zamoyskich, cechę — powiedziała mu, że nie wiele czym. Ale przecież dobrym gospodarzem mógłby być? W tym miał rację. Andrzej Zamoyski otarł się za młodu o Zachód. Uczył się w dobrych pensjach szwajcarskich, oraz na uniwersytecie edynburskim. Ponieważ wtedy nie panowało jeszcze w Polsce zdanie, że zajęcia natury koszarowej są najwłaściwsze dla młodzieży, przeto mógł owe studia skończyć. Gospodarować zaś lepiej niż przeciętny ziemianin polski było o tyle nie trudno że trudno było w ogóle gospodarzyć gorzej. Polacy mieli o sobie wyobrażenie że są zawołanymi wojskowymi i urodzonymi rolnikami, gdy w istocie, jak o tym dzisiaj wiemy, nie byli ani jednym, ani drugim. Co najwyżej materiałem na to. Nie, trzeba było koniecznie upodobnić polskie rolnictwo do Europy: a któż nie ma dać przykładu, jeśli nie ten co jest „pierwszy w powiecie"? I to niejednym powiecie. Ale jak? Pan Andrzej znał naturę szlachecką. Począł tedy w określonych okresach spraszać do siebie ziemiaństwo z daleka i z bliska na kilkudniowe zebrania. Snobizm, łakomstwo — kuchnia w Klemensowie uchodziła za znakomitą, dobre wina — w Klemensowie i piwnica była „wedle stanu", robiły swoje. W dodatku, co dla każdego Polaka jest drogie, można się było nagadać i wygadać. Szlagoni spod Kutna, Hrubieszowa, Końskiej Woli i Psiej Wólki ściągali więc jak węgorze na tarło, jedli, pili, a przede wszystkim — gadali. Gdyby jeszcze mogli zasiąść do kart byłoby to ideałem, ale niestety gospodarz te rzeczy zwalczał: a Zamoyskiemu oprzeć się nie śmiano. Natomiast rządcy Zamoyskiego pokazywali gościom a to nowe ogiery i klacze, a to nowe buhaje, nowe rasy krów, merynosów, nowe pługi, brony, zasiewy. Stajnia obchodziła szlagonów więcej, obora już znacznie mniej, zamiast zapoznać się z nowymi systemami uprawy zbóż chętniej zapewne zapoznaliby się z nowymi rodzajami chartów i wyżłów, — o, to by była pożyteczna innowacja! Ale, ostatecznie zapoznawali się z tym co było. Tak powstały „zjazdy klemensowskie". Tak też urosła sława „pana Andrzeja". Nie była mała. Wszak gdy umarł pełno ludzi było zdania że jego zwłoki trzeba ponieść na Wawel.

W nowszych nam czasach badania Władysława Grabskiego prześwietliły nieco wartość gospodarczą owych gospodarskich zjazdów: okazuje się, że była ona znacznie mniej imponująca, niż to w swoim czasie myślano. Pewno że na zupełnym bezrybiu było to coś: ale było to bardzo, bardzo, mało. Niemniej polityczne znaczenie było bardzo znaczne. Zjazdy klemensowskie, a potem wyłonione z nich, po śmierci cara Mikołaja, Towarzystwo Rolnicze, stały się prawdziwą instytucją narodowa, sejmem w braku sejmu. Tu opinia przodującej warstwy formułowała się, stąd rozprzestrzeniała się. Jakąż ona była? Domorosła. Warstwa ziemiańska, — podobnie jak i mieszczańska zresztą, lub, z innych racyj, chłopska, — nie chciała nowego powstania, pamiętna skutków poprzedniego. Ale pamiętna prześladowań rosyjskich nie chciała też zgody z Rosją. Trwała wtedy w stanie który moglibyśmy określić słowami „ni pokój, ni wojna". Przy niezdolności do decyzji, znamiennej dla Polaków, był to oczywiście stan arcy-

wygodny. Z jednej strony nie można było tym patriotom zarzucić, że zrzekają się czegokolwiek na rzecz kogokolwiek; z drugiej trudno było powiedzieć, że walczą. Był to stan rzeczy bardzo wygodny dla jednostek; bardzo niewygodny dla narodu. Olbrzymia warstwa, potężne liczebnie i wpływowe stronnictwo, było bez zdefiniowanej koncepcji. Bez programu.

Miejsce programu, jak zwykle bywa w świecie, a już szczególniej w Polsce, zajęły z konieczności frazesy. Tak już jest zawsze. I właśnie „pan Andrzej", ordynat na Zamościu Zamoyski, celował w nich jak nikt. Po kraju szły obiegiem jego powiedzenia. Czasem były tajemniczo wieszczące: „Czuję Polskę w powietrzu" miał powiedzieć, nie wiedząc dlaczego, po jakimś zebraniu. Gdy pewien dygnitarz rosyjski powiedział mu pod adresem Polaków: „kochajmy się!", pan Andrzej odpalił mu ponoć z miejsca: „...ale każdy u siebie, Panie Dyrektorze". „Możesz mnie, książę rostrzelać, ale nie masz do tego prawa" miał powiedzieć — co już pewno było legendą — samemu Paskiewiczowi-Erywańskiemu. Pełno było takich „złotych myśli" pana Andrzeja, podawano je sobie z ust do ust, od dworu do dworu, powtarzając: „a to im wygarnął! W pięty im poszło! Niech wiedzą!". Tamtymi zjazdami i tymi powiedzeniami pan Andrzej urósł istotnie na wodza całej warstwy społecznej, na marszałka owego sejmu de facto. A także na wodza całego politycznego obozu. Był też taki jak ten jego obóz. Pełen frazesów, pozbawiony programu.

A tymczasem przyszły czasy kiedy niezbędny był program.

D. c. n.

MARIA KUNCEWICZOWA

WBREW CZASOWI POGARDY

III.

Francja jest krajem, który w ciągu tej wojny dostarczył wiele żeru pesymistom. Oto do czego prowadzi — mówią oni — kult wolności opłacony najkrwawszą w Europie rewolucją, oto co w praktyce politycznej daje rozumowanie najwytrawniejszych logików, oto zmierzch Paryża, najbardziej ludzkiego z pięknych miast ziemi, zmierzch gęstniejący z dnia na dzień, jak ów mrok, który niegdyś pochłonął Ateny.

Głos pesymistów, w tym wypadku, znajduje echo szerokie, bo Francja, jak mało która ludzka sprawa, zawsze interesowała narody. I sojusznicy i wrogowie czerpali z niej natchnienie, naśladowali ją lub przedrzeźniali, a wielu cudzoziemców wkupywało się w jej łaski ofiarą z własnych wierzeń i tajemnic. Włochy były ładniejsze, Hiszpania wzniosła, Niemcy muzykalne, Rosja zagadkowa, Polska romantyczna, a Wyspy Brytyjskie — ultima Thule, kraniec wyobraźni; tylko we Francji było zrozumienie każdej potrzeby i zachcianki człowieka.

Stosunek Anglii do Francji miał w przebiegu dziejów charakter szczególny. Ziemie rozcięte La Manche'em krwawiły przez całe średniowiecze. Normandowie i Anglo-Sasi, zanim osiedli ostatecznie w ramach dwóch odrębnych państwowości, długo ciążyli ku sobie, ścierali się i współżyli. Z tej epoki dynastycznych związków pozostał kapitał uraz, złośliwych obserwacyj i pragnień niezaspokojonych, jak w małżeństwie które się roz-

wiodło. Epopeja Napoleońska wzbogaciła ten kapitał. W końcu Anglia i Francja, rozdzielone wąskim pasem wody i wspomnieniami współżycia, wytworzyły dwa typy cywilizacji chrześcijańskiej bardziej różne, niż cywilizacje narodów kontynentalnych odległych od siebie o tysiąc mil i o setki nigdy nieskonfrontowanych wartości. Trzeba było dopiero wybuchu nowożytnego pogaństwa w formie pruskiej „Wille zur Macht", przekształconej z czasem w hitleryzm, żeby te dwie cywilizacje chrześcijańskie sprzymierzyły się ze sobą. Pierwsza wojna światowa złączyła je braterstwem broni. Ale tradycja konfliktu była zbyt silna i dwadzieścia lat pokoju między jednym a drugim aktem dramatu nie wystarczyły na budowę trwałego porozumienia. Oszołomiona brutalnym ciosem, Francja szybko tym razem odstąpiła swego Brytyjskiego alianta. Przyjazny gest Churchill'a w przededniu kapitulacji francuskiej, ofiarowujący sąsiadom zza Kanału unię tak niemal ścisłą, jak Wallonów z Flamandami, został odrzucony, natomiast gest cezariański napastników zza Renu przyjęty z fatalistycznym uniesieniem.

Dramat Europy utracił wtedy sens. Jak tragedia, której odjęto climax, przybrał formy koszmaru.

Od tamtej chwili wszystko się rozprzęgło. Podział świata na prześladowców wolności i na jej obrońców, tak wyraźny w połowie czerwca 1940 roku, runął; zasady moralne, konwencje bojowe, nomenklatura polityczna, tradycje państw, programy stronnictw — wszystko, co stanowiło kościec układu międzynarodowego, stało się luźne, ruchome, zupełnie nierealne. W obozach stron walczących następowały zwolna,przegrupowania militarne i dyplomatyczne, które logikę tej wojny uczyniły szyfrem bez klucza. Zakorzenione w społeczeństwach formuły chrześcijańskie działały w próżni, jak reklamy świetlne w mieście, z którego mieszkańcy uciekli. Toczyły się również dalej siłą rozpędu uczuciowe reakcje i myślowe procesy, których punkt wyjścia przestał istnieć.

Z perspektywy trzech i pół lat widzimy to wszystko teraz. Widzimy, że 17-ty czerwca 1940 r. jest datą załamania się porządku świata. Ale już wtenczas, w ten słoneczny dzień czerwcowy, ludzie we wszystkich krajach poczuli, że dzieje się coś poza kategoriami klęski wojennej. Jakiś motor przestał funkcjonować, który ludzkość przyzwyczaiła się uważać za część swego organizmu, i strach padł na masy, bo sekret maszynerii nikomu z żywych nie był znany.

Pamiętam chwilę, kiedy głos Pétain'a obwieścił Francuzom przez radio konieczność zaprzestania oporu. Siedzieliśmy przy stołach w sali jadalnej dużego hotelu i wszystko naokoło było doskonale francuskie. To znaczy, że kształty karafek, smak win, konsystencja oliwy, oczy kruczowłosej kelnerki, bruzdy w policzkach starego, wąsatego pana, zapach powietrza, cały zespół dźwięków, świateł, uczuć i myśli w tej sali i poza nią składał się na całość, na kompleks spraw—chyba wiecznych?—którego imię było: Francja. W miarę, jak Pétain mówił, ta całość kruszyła się i rozpadała . W pewnym momencie spostrzegłam, że siedzimy w próżni i że wszyscy spostrzegli to samo. Stoły ani krzesła nie drgnęły, oczy Susanne po dawnemu były czarne, ale związek między tymi oczami, a chwilą, która minęła oraz sałatą, słońcem i wąsami starego pana — ustał. Nic już nie było dalszym ciągiem siebie samego, ani uzupełnieniem rzeczy innych. Sprawa, zwana Francją, ulotniła się; Susanne, wąsy, stoły i karafki musiały teraz zacząć radzić sobie na własną rękę.

Nigdy nie zapomnę wyrazu krańcowego osłupienia Francuzów. Ale koszmar zaczął się dopiero, gdy osłupienie znikło. Na miejsce sprawy zwanej Francją, nie wkroczyło nic innego; natomiast Francuzi powrócili do przerwanych czynności tak, jak gdyby Francja nigdy nie była istniała. Kelnerka pobiegła do kuchni, stary pan zabrał się do żucia, patronne pochyliła się nad rachunkiem, nikt nie zdawał się wiedzieć, że od trzech czy pięciu minut ani baranina, ani pieniądze, ani wino, ani słońce, ani nic w ogóle we Francji nie jest już francuskie.

Ten moment natychmiastowego zagospodarowania się w próżni przez naród o najświetniejszej europejskiej tradycji jest zjawiskiem tak nowym, że sens jego nie może być sprawiedliwie oceniony dzisiaj, kiedy żaden fakt ostateczny nie wyłonił się jeszcze z chaosu, by wskazywać drogę, na jaką ludzkość wkroczy jutro. Co innego wszakże ocena, co innego niestępione wiekami księżycowego milczenia nieuchronne ludzkie: dlaczego?

Przy rozważaniu: dlaczego stało się nieszczęście? — sytuacja pesymistów zawsze jest łatwiejsza. Zakładaja z góry zły koniec każdej rzeczy, wierząc w zło ludzkiej natury i w bezsensowność bytu. Ale optymista wierzy w triumf dobrego nad złem, w zasadniczą harmonię świata, którego konflikty i zaćmienia traktuje jako objaw niedojrzałości człowieka. Jeżeli wiara optymisty w dobro nie znajduje dosyć potwierdzeń na ziemi, z pomocą przychodzi mistyka i wątki nazbyt chaotycznie splątane w czasie, który obejmujemy zmysłami, rozwiązują się w wymiarze nadzmysłowym — w historii, lub w szczęśliwości wiecznej.

Pesymista mówi: Francja upadła, bo Francuzi byli głupi i źli; nic dziwnego — wszyscy ludzie są głupi i źli, a więc skazani na zagładę. Optymista powie raczej: Dziwna rzecz: Francja upadła, b o Francuzom powinęła się noga. Ale każdy upadek, a więc i klęska narodu, jest sprawą przejściową.

IV.

Książka Storm Jameson „Cloudless May" poczęła się z ducha optymizmu, chociaż ów „Maj Bezchmurny" to te same tygodnie, kiedy Marsylianka, pieśń najbardziej natchniona, jaką śpiewali kiedykolwiek ludzie, sięgający po broń, ustępowała wyciu dezerterów. „The light was so strong that it dissolved everything, except the soul". Światło Francji, które dla angielskiego oka, nawykłego do mgieł, czyni ze świata widowisko tak bardzo jaskrawe, nie oślepia przecież Storm Jameson. Nieustannie wrażliwa na nie, czego dowodem jest obecność przyrody i architektury na wszystkich prawie kartach książki, autorka sięga po prawdę do strefy najmniej oświetlonej — do charakteru Francuzów.

Na karcie tytułowej nie ma słowa: powieść. Można by ten tom nazwać romansem prefekta Bergeot z panią de Freppel, można by go uważać za historię kariery urzędniczej na schyłku Trzeciej Republiki, albo za historię miasta Seuilly w obliczu zagłady. Jest wszystkim tym po trosze, ale przede wszystkim fikcją par excellence: utworem podyktowanym nie przez życie, tylko przez inteligencję artysty; rodzajem misterium, gdzie autor — dla rozsupłania problemu moralnego — rozdaje role aktorom, personifikującym skłonności duszy. Problem moralny „Cloudless May" da się tak sformułować: Czy grzech upadku Francji był grzechem śmiertelnym? Odpowiedź autorki — mimo obfitych dowodów ułomności charakteru francuskiego, zgromadzonych w książce — brzmi: nie.

* * *

W jednym z końcowych rozdziałów toczy się rozmowa między przyjacielem prefekta Bergeot, pułkownikiem Rienne, a sekretarzem tegoż prefekta, młodym Lucjanem, który widzi w swoim przełożonym uosobienie cnót obywatelskich. Niemcy są już nad Loarą, a koalicja ciemnych sił wewnątrz kraju paraliżuje opór. Prefekt, stoczywszy długą, żmudną walkę z sabotażystami wszelkich odcieni, rezygnuje pod ich presją z urzędu, co oznacza przekreślenie ostatniego ośrodka samoobrony cywilnej na ważnym odcinku wojny. Lucjan zawiedziony w gorącym zaufaniu młodzieńczym, rozpacza. Pułkownikowi jeszcze trudniej przenieść rezygnację Bergeot'a: zdradzając swój urząd, prefekt zdradza jednocześnie 48 lat najściślejszej przyjaźni. Rienne staje nagle w obliczu pustki, której nie zdąży już przed śmiercią zapełnić. Jednak zdobywa się na wielkoduszność i mówi do młodzieńca: „Szaleństwem jest mierzyć czyjeś życie jednym czynem — nawet gdyby to był czyn bohaterski. Widziałem tylu ludzi, jak stawali się bohaterami w chwili podniecenia, albo dlatego, że nie mogli postąpić inaczej. Z drugiej strony — choroba może uczynić bohatera tchórzem. Nie wiem, czemu przypisać tę chorobę... Ona jest wszędzie, unosi się w powietrzu jak influenza od czasu ostatniej wojny. Nie wolno nam mówić o honorze... Ilekroć zaś przełożymy nadeń inne sprawy, takie jak bezpieczeństwo, lub władza, zaczynamy chorować". Ulice zatłoczone są obcymi, bezdomnymi dziećmi, rannymi kobietami oraz żołnierzami, którzy rzucili broń. Pułkownik odwraca się plecami do współczesnych; wsparty o mur nadbrzeżny, patrzy na senną Loarę, wdycha zapach wierzb i pogodnego wieczoru. Chwilę przedtem gotów był identyfikować upadek prefekta z upadkiem Francji — oboje wszak odmówili walki. Zaciągnąwszy się oparem niezmiennej „douceur angévine", odwołuje bluźnierczą myśl: „istnieje przecież inna Francja — nasienie, które jest drzewem wraz z nowymi nasionami — żywa. nienarodzona, nieśmiertelna".

Czytelnik, który dotarł do końca tomu, nie wątpi więc. że ani Bergeot. ani Francja nie zasłużyli na ogień wieczny.

* * *

Loara pojawia się w „Cloudless May" już na pierwszej stronie pierwszego rozdziału, by towarzyszyć osobom dramatu we wszystkich przygodach duszy i ciała. Motyw tej rzeki nie jest wszakże nutą panteistyczną, wyrazem ubóstwienia przyrody, która wykarmiła cywilizację i może ją znowu pochłonąć. Podobnie jak cały pejzaż Francji, Loara występuje u Storm Jameson w ścisłym zwiazku z dziełami człowieka. Mosty, domy, pola, usiane kośćmi pokoleń, powietrze pełne żywych oddechów i nieśmiertelnych refleksów przeszłości, obrastają — jak ciało — tę arterię wodną. Każdy, kto zna Francję, zgodzi się z takim obrazem. Któryż bo kraj świata silniej został uczłowieczony, niż Francja? Niektóre gatunki win z Bordeaux wyraźnie pachną potem; „kurz francuskiej przeszłości musi chyba cały być ludzki" — mówi generał Piriac. Architektura tak się tam łączy z przyrodą, światło ze spojrzeniem, a pogoda z humorami przechodniów, że trudno odróżnić gdzie koniec meteorologii a początek nastroju, gdzie atmosfera, gdzie artyzm, gdzie tradycja, gdzie aktualne życie państwa Duval czy Dupont. Wieś francuska składa się w sposób organiczny z romańskiej czy gotyckiej wieży, z pierzastych więzów i z zapachu obory. Miasto francuskie — Paryż nade wszystko — ma zwięzłość i harmonię drzewa o pełnej koronie, albo gwiazdy, albo rasowego ciała. Ogród, pole, czy winnica są częściami domu; dom

jest częścią kraju i historii. Jakże to jest wyraźne na płótnach impresjonistów! Nie ma w nich przyrodniczego bezludzia, nie ma też bezduszności. Pole maków Van Gogha nie istniałoby, żeby nie mostek, który zeń wyrasta; ogródki Manet'a dyszą i pachną kobietami; uliczki, bistra i placyki Utrilla — nawet jeśli puste — mają światło uśmiechu, szarość i niepogody i łez.

Dlatego motyw Loary w książce Storm Jameson jest motywem miłości do narodu francuskiego.

* * *

Swoją klęskę moralną uczciwy, czuły Bergeot w pierwszym rzędzie zawdzięcza tchórzostwu Mme de Freppel. Młody gangster polityczny Veyrac nie stałby się zwierzęciem tak cynicznym, gdyby nie bezgraniczna pobłażliwość matki. Mme Huet i Mme Labenne — jedna przez gorliwe uczestnictwo w intrygach, druga przez małoduszną bierność — przyczyniły się do judaszowskich karier swoich mężów. Biedna, mała Marie, żona dezertera, nic nie umiała przeciwstawić wojnie, tylko swoją bezradną miłość do małżonka. Konto kobiety francuskiej — zgodnie z wieścią gminną — zostało w „Bezchmurnym Maju" obciążone srogimi winami. Zdawać by się mogło: oto Angielka z wyżyn dobrze spełnionego obowiązku mści się na Francuzkach za czary, którymi poprzez wszystkie stulecia rządziły mężczyznami i światem.

Ale to wrażenie, żeby się potwierdzić, musiałoby spocząć na poszlace, że autorka przygląda się nieszczęściu francuskiemu, stojąc poza Francją: w tym ezoterycznym punkcie pychy, czy wzniosłości, z którego sprawy ludzkie wyglądają obco. Poszlaki takiej nie ma. Jest natomiast inna. Opisując świt w Seuilly, Storm Jameson ukazuje Bergeot'a, wspartego o cembrowinę rzeki, która płynie przez jedyny — jak pisarka mówi — „nieskazitelnie ludzki kraj świata". To prawda: Storm Jameson była wtedy w Anglii. Ale to, co w niej najbardziej ludzkie towarzyszy Bergeotowi w dramacie „Bezchmurnego Maja".

Uprzytomniwszy sobie ten fakt ludzkiej solidarności, wyrozumialszym okiem spojrzymy na błędy pań de Freppel, Veyrac i wszystkich innych ofiar francuskiej niezakłóconej pogody. „Życie codzienne było tu przyjemniejsze, niż gdziekolwiek na świecie — mówi proboszcz Letourneau. — Nie było konieczności głodu, nie było pośpiechu... Widuję nieraz jak stara kobieta siedzi i rozkoszuje się życiem, niczem robotnik po fajerancie nad swoją szklanka wina". Słodycz rozpylona w powietrzu sprawiła że Francuzi i Francuzki popadli w kompleks bezgrzeszności grzechu, w bałwochwalstwo zmysłów. Och, oni są wszyscy dziećmi!" — tłumaczy Emil Bergeot swoją niewyczerpaną cierpliwość do brodatych pieniaczy. Ten sam Bergeot, kiedy usypia znużony, Mme de Freppel delikatnie usuwa ramię spod jego głowy i patrzy... „Kości jego były tuż pod skórą... Wypadek, odrobina przemocy i życie Emila wypłynie ze swego naczynia. Ostrożnie z nim, ostrożnie — szeptała, zwracając się do bezosobowej wrogiej siły, w której istnienie wierzyła. Czuła się ciężka od kłamstw, tchórzostwa, pożądań. Nic w niej nie było zdrowe z wyjątkiem miłości do Emila, ambicji, jaką żywiła dla Emila, rozkoszy, jaką miała w Emilu". A więc uwielbienie dzieciństwa i romansu było mistyką schyłkowej Francji; było tą dziedziną, w której mózgi ludzi zmęczonych przestawały wreszcie działać podług zasad logiki, gdzie serce wyzwalało się z pęt racjonalizmu i zaznawało uniesień.

Kollaboracjonista Labenne, rekin polityczny, pozbawiony wszelkich refleksów sumienia, czy serca, ubóstwia swoje dzieci, w których widzi apoteozę własnego dzieciństwa. Przyjaźnie Francuzów, zawarte we wczesnych latach, trwają całe życie; starcy, rozdzieleni przepaściami karier i opinii schodzą się ze sobą o jakiejś jednej godzinie wieczornej, żeby rozpamiętywać smak i zapach czasu, kiedy razem uczyli się czytać. Rywalizacje szkolne nie kończą się nigdy. Nierozerwalny związek pułk. Rienne — surowego purysty, z prefektem Bergeot, który jest geniuszem kompromisu, polega na wspólnej mowie lat dziecinnych. „Mówili między sobą gwarą andegaweńską. Bardziej niż zapach tymianku i czosnku, bardziej nawet niż widok ludzi, kłócących się przy szklankach mętnego, żółtego wina — ta gwara wyrażała ich dzieciństwo". Wystarczy, aby jakikolwiek aspekt ludzkiej sprawy zatrącił o dzieciństwo, już dekadenccy bohaterowie „Bezchmurnego Maja" rozgrzeszają tę sprawę. Jakaż nieodparta pokusa dla kobiety! Czyż w atmosferze idolatrii gasnącego instynktu można się dziwić matce zmysłowej i samotnej, jak Mme Veyrac, że nie pozwoliła swemu chłopcu wyrość na człowieka, że za cenę możności dogadzania jego ciału, zrezygnowała z jego nieuchwytnej duszy? Czyż można się dziwić Małgorzacie de Freppel, że w piątym dziesiątku lat używa łez, gestów i argumentów pensjonarki dla wyłudzenia od ukochanego zgody na nieuczciwe transakcje? I czy można potępić dziecinną parę, Marię i Piotrusia, za to, że nic innego nie zdołali zrobić w „Bezchmurnym Maju" tylko umrzeć wskutek nieporozumienia?

Raczej podziwiać należy... (i Storm Jameson podziwia, skoro jej ulubiony Rienne mówi o Małgorzacie: „she could have been a good creature"), raczej więc podziwiać należy, że spaczony kult instynktu nie popchnął kobiet francuskich do grzechu śmiertelnego — do takich zbrodni, które nawet nie ocierają się o miłość.

* * *

Czy ludźmi byli Adam i Ewa, pra-rodzice Pawła i Wirginii, czy raczej rajskimi roślinami, kwitnącymi błogo w cieniu drzewa wiadomości złego i dobrego? Kiedy zaczęło się ich człowieczeństwo — tragiczna „condition humaine"? Czy nie od chwili wygnania ,a więc poniesienia odpowiedzialności za żądzę dobrych i złych prawd?

Że Francja pożądała prawd nieziemskich wie każdy, kto patrzył na katedrę w Chartres. Że chciała siłą niebo sprowadzić na ziemię, wie zarówno ten co pochwala ojca, wodza krucjaty, jak i ten, co rozgrzesza rewolucję. W okresie, kiedy mistycyzm, poczęty niegdyś z uniesień religijnych — poprzez społeczną ewangelię materializmu — zeszedł na poziom burżuazyjnej filantropii, uczeni francuscy, tacy jak Pasteur czy Curie, odrzucali korzyści osobiste, płynące z wiedzy złego i dobrego — poczuwali się do odpowiedzialności za bogoburczy gest Ewy. Byli ludźmi.

Ale czy są ludźmi ci bohaterowie „Cloudless May", których cały wysiłek skierowany jest na ucieczkę przed odpowiedzialnością? Raczej chyba mieszkańcami sztucznego raju schyłkowców, którym sprzykrzyło się być Francuzami.

Przemysłowiec Thiviers oddaje swoje fabryki samolotów do dyspozycji Niemcom. Po czym oddycha z ulgą: „od dziś rana obolały nerw Francji, którym były Niemcy, przestał boleć — od dziś, od chwili kapitulacji. Nigdy więcej krew i złoto nie będą wyciekały przez granicę".

Labenne —wzbogacony chłop — osiągnąwszy w rezultacie długich, cierpliwych zdrad, poddanie kraju, spoczywa na laurach. Jego lojalność wobec ziemi triumfuje: w unii z Niemcami ziemia francuska wreszcie zazna spokoju. Koniec, koniec inwazjom!

Gen. Woerth z mściwą satysfakcją grzebie Trzecią Republikę, twór obrzydliwie cywilny, którego pycha, niepoparta siłą, była źródłem upokorzenia tylu generałów.

Filar tejże Republiki, Mr. Huet wita w Hitlerze odrodziciela rewolucji. „Wolność — powiada — która unika zebrań naszych demokratów, kwitnie za Renem, w swojej właściwej postaci; jest wolnością słuchania rozkazów. Równość, o której nie wiedzieliśmy nic, odkąd zaczęliśmy udawać, że ją krzewimy, odrodziła się w woli Führer'a. Braterstwo...” tu milknie, wzruszony wspomnieniem wizyty w Berchtesgaden.

Wszyscy czterej uważają klęskę Francji za zmianę korzystną w jej losie i do obozu jeńców, w który Hitler zamienia ich kraj, wkraczają tak dumnie, jak gdyby na bramach nie czerniał już napis: „Unter-Menschen”.

Nie ma z nimi starego Piriac'a. Nie ma go ani w obozie jeńców, ani w okopach obronnego miasta Seuilly; ten upiór generalski, upozowany w 1940 r. na Joannę d'Arc, zasłuchany w głosy przeszłości, nie mieści się między żywymi.

* * *

W misterium „Bezchmurnego Maja” kraje duszy — piekło, czyściec, niebo — odgraniczone są bardzo wyraźnie; tak, aby problemat grzechu francuskiego uczynić lekcją przystępną dla ludzkości.

Otóż w Seuilly takich mieszkańców, co bezspornie optowali za piekłem, jest tylko dwóch. Obaj młodzi, obaj uwikłani w politykę, obdarzeni wszystkimi cechami demonów, a więc i wielką urodą — jeden szpieg, drugi dziennikarz. Okrutni i obłudni w stopniu doskonałym, są kollaboracjonistami Lucypera z wyboru, Hitlera — z przypadku.

Kollaboracjoniści prawdziwi i znakomita większość kobiet — to strefa czyśćca. Kobiety na swoją obronę mają miłość i ambicję. Mężczyźni — złudzenia perspektywy historycznej, nałóg logicznego myślenia, degenerację i kilka dobrych uczynków.

Patriotów nieba najtrudniej jest pisarzowi przyoblec w zalety ludzkie. Uosobieniem zdrowia moralnego jest pułk. Rienne. „Na czym polega obrzydliwość choroby, nawet choroby moralnej?” — rozmyśla i wstydzi się za przyjaciela Bergeot, który zdradza sumienie dla kariery. — „Czy zaraziłby się tą chorobą, gdyby nie był się wdał w politykę? Na pewno nie”. Ostatni chevalier sans peur et sans reproche, gen. Ligny, umierając, namawia Rienne'a by opuścił Francję i jechał walczyć razem z Anglikami. „Tutaj, to nie jest wojna, to polityka” — mówi i wtedy Rienne, zdecydowany na wyjazd, zdaje sobie nagle sprawę, że jeśli kto kogo opuszcza, to nie on Francję, tylko Francja jego.

Ale Storm Jameson inaczej patrzy na tę sprawę. Podług niej Francja nie może Rienne'a opuścić dlatego, że on sam jest Francją. „Do warunków niekorzystnych, które towarzyszyły jego urodzeniu — inteligencja oraz nieznane nazwisko — dodał szaleństwo posiadania przekonań i nieugięty charakter”. Były jednak i korzystne warunki: przede wszystkim miejsce urodzenia, Thouéden. „Wioska francuska nie tylko przez swoje mury i ich ogromne ciężkie bramy. Nie tylko przez zamek z XV wieku. Ale znacznie bar-

dziej jeszcze przez korzenie głęboko zatopione w ziemi, przez umarłych, którzy nie przestawali kręcić się koło prawnuków, potrącając ich, gdy ci usypiali w odwiecznych łóżkach drewnianych, gdy żenili się z kuzynkami w kościele parafialnym, gdy w izbach nisko sklepionych przychodzili na świat... Umarli byli mocniejsi, niż najmocniejsze kolumny kościoła. To oni, nie kościół, byli nieśmiertelnością Francji". Thouéden wyrosło ze swoich umarłych, Rienne wyrósł z Thouéden. „Czy rzeczywiście sądzisz — pyta go Ligny — że Niemcy mogą zająć nasze miejsce?... Oni tyle ryczą o chwale umierania, jak gdyby to nie był najprostszy, najpospolitszy z ludzkich trick'ów... Nie, nie, mój drogi. Powrócisz i będziesz pił wino z naszych starych winnic".

Nie wiemy nic o życiu osobistym Rienne'a. Jedyna jego kobieta, cień, poruszający się w mroku starej chałupy i w blasku słońca pod lipami, to koścista stara chłopka. Jedyna kobieta Rienne'a i jedyna kobieta Francji w „Bezchmurnym Maju": wierna siostra.

* * *

Rienne odchodzi zatem, aby powrócić. Któż zostaje, by przetrwać?

Puszysty biały obłok, w który zamienił się p a n a c h e ostatniego c a d e t d e G a s c o g n e, Michała Ollivier, padłego na beznadziejnym posterunku.

Trup profesora Gouraud, obrońcy laboratoriów naukowych przed ciekawością zbrodniarzy.

Zmasakrowane ciało Ludwika Mathieu, który tak myśli o sobie: „czy to dlatego że jestem Żydem, widzę Seuilly i Francję jednocześnie poza sobą i we mnie? Czyżbym był jedynym człowiekiem, który nosi się z nimi, jak z ciężarem, jak z dzieckiem, jak z przyjacielem? Nigdy łatwo. Nigdy bez poczucia ich wagi?"...

Proboszcz wioskowy Letourneau, współczujący straszliwej „samotności ludzi bez Boga".

Nauczyciel Mouray, pragnący „ocalić choć trochę — przynajmniej to co można przekazać pamięciom dziecinnym". Nieskończony trud bycia Francuzami zelżeje przecież w końcu, trzeba będzie znów oprzeć przyszłość na dziecinnych wspomnieniach.

Odchodząc z Thouéden w kierunku Anglii, Rienne stwierdza: „Jeśli cośkolwiek dobrego ostanie się z przeszłości, będzie spoczywało w rękach tych przyjaciół. Przyszłość wypłynie z rąk innych".

Któż jeszcze zostaje, by przetrwać?

Miliony ciał, miliony dusz... I ta rozbita całość, złożona z powietrza, ziemi i z sumy ludzkich osiągnięć, wyższej niż wszelkie cyfry, całość, która rozkruszyła się dnia 17-go czerwca 1944 r., ale której pierwiastki są wieczne, a wzór wiadomy Bogu.

* * *

Z czyich rąk wypłynie przyszłość?

Rienne nie odchodzi kusić się o zwycięstwo samotne. Na nowym polu walki, w Anglii, spotka młodego Lucjana, eks-sekretarza prefekta i córkę Mme de Freppel, Katarzynę.

Tak jak pułkownikowi Rienne, tak i tym dwojgu Storm Jameson mało dała cech osobistych. Zostali powołani do życia nie po to, by po raz tysiączny rozsnuć dramat miłości, tylko po to, żeby w misterium na temat „Grzech Francji" śpiewać z aniołami. Są zachrypnięci z tremy i z chłodu, który od skrzydeł anielskich bije, ale śpiewają wdzięcznie. Są młodzi, uczciwi. Są zdrowi. Będą pewnie mieli dzieci, wychowane na polach cricketo-

wych, cierpliwe, mniej inteligentne niż był młody Veyrac, wcale nie zabawne — dzielne, małe człowieczki. Takie dzieci potrafią skleić rozbitą kulę tęczową.

Ale czy Bóg tchnie w nią życie po raz wtóry?

Storm Jameson gorąco ufa Bogu. Jej Francja, „kraj nieskazitelnie ludzki" odkupuje swoich podludzi nie geniuszem Descartes'ów i Pascal'ów, lecz nieustanną ofiarą wiernych, zdrowych serc.

Dok. nast.

KAROL ESTREICHER

OSTATNI ZNAJOMY ADAMA

— Proszę pana! Proszę pana! — zwracałem się nieśmiało i nieporadnie.

Słońce padało na ławkę pod kasztanem, a wiatr przynosił woń róż spod pomnika Lilli Wenedy i gwar rozbawionych dzieci. Gorąco mi było, bo kopałem piłkę na ścieżkach plant i sądziłem że tak musi być wszystkim. Tymczasem stary pan siedzący na ław-



ce miał płaszcz zapięty szczelnie, a ręce w rękawiczkach włóczkowych oparł na lasce ze srebrną gałką.

Spał lub drzemał. W każdym razie miał oczy zamknięte a głowę przechylił ku słońcu. Musiało mu być przyjemnie, bo na jego pomarszczonej twarzy malowało się zadowolenie.

Wzbudzał zaufanie. Wyglądał łagodnie a tylko trochę bałem się jego dużych brwi. Lecz ostatecznie zdecydowałem się.

— Proszę pana — i pociągnęłem go za połę płaszcza.

Tym razem poruszył się i spojrzał na mnie jasnymi oczyma.

— Proszę pana — mówiłem najgrzeczniej jak umiałem — ja bardzo przepraszam, ale piłka wpadła mi pod ławkę, właśnie w ten kąt gdzie pan siedzi i nie mogę jej wydostać. Może pan trochę podniesie nogi, to jej dosięgnę.

Głosem którego brzmienie zapewniło mnie, że postąpiłem dobrze powiedział:

— Mój kochany, w moim wieku nogi się wyciąga ale nie podnosi.

— To proszę wyciągnąć, a ja wtedy wlezę pod ławkę.

— Dam ci dobrą radę. Weź moją laskę i dobądź piłki.

Podał mi laskę i z jej pomocą wydobyłem piłkę, która zawsze wtaczała się w miejsca, skąd ją trudno było wydostać. Mówiłem mamie, że na imieniny chciałbym otrzymać większą piłkę, taką skórzaną, nadymaną.

Staruszek okazał się rozmowny. Kiedy chciałem odejść powiedział:

— Jesteś zgrzany, siądź i odpocznij. Masz rodzeństwo?

— Mam proszę pana dwie siostry Ewę i Krzysię, a Krzysia to mi zawsze...

Ale tu się wstrzymałem pomyślawszy że wyciąganie stosunków rodzinnych przed obcymi byłoby niewłaściwe. Zresztą stary pan przerwał:

— A jak się nazywasz?

Powiedziałem mu wszystko o sobie dokładnie, nawet ulicę i numer domu.

Oczywiście że znał rodziców, lecz przede wszystkim znał mego dziadka a ojca pamiętał takim jak ja chłopcem.

— Jestem bardzo stary i żyłem w przyjaźni z twoim dziadkiem. Spotykaliśmy się w teatrze niemal codziennie przez lata całe.

— A babcię pan zna także?

— Doskonale. Pamiętam ją młodą panienką na pensji. To babcia żyje jeszcze? Nie mieszkam teraz w Krakowie i mało wiem co u was słychać. Przyjechałem tu na krótki czas, opowiedz mi nowiny.

— Na ulicy Kremerowskiej, naprzeciwko naszego domu, budują nową kamienicę. Już przywieźli cegły i zasłonili plac parkanem tak, że chłopcy nie mogą grać w kiczki i bawić się w wojsko — zacząłem moją relację o ostatnich wypadkach krakowskich.

— Za młodych lat i ja lubiłem grać w palanta, choć mój mentor kazał mi odrabiać lekcje. Mieszkałem wtedy na Floriańskiej i na plantacje wymykałem się dla zabaw z przyjaciółmi.

— To pan nie chodził do szkoły?

— W tych czasach młody chłopiec z dobrej rodziny miewał mentora, najczęściej Francuza, który mieszkał z nim razem, uczył go i wychowywał. Moim nauczycielem był pan Maisonneuve, który później został księdzem w Tarnowie.

— A w wojsko pan się bawił?

— A jakże bawiłem się często i wiesz kto nami dowodził? Prawdziwy generał napoleoński, generał Chłopicki.

— To ten co na obrazku w bitwie pod Grochowem siedzi w cywilnym ubraniu?

— Ten sam. Po powstaniu zamieszkał w Krakowie. Mieszkał na Rynku i tak jak dzisiaj ja, wychodził na planty. Dokuczały mu rany otrzymane na wojnach. Kiedyśmy przychodzili z drewnianymi pałaszami, on uczył nas obrotów. Głos miał donośny, rozkazy wydawał ostro i wzbudzał wielki posłuch. Zwykł był także opowiadać ciekawe zdarzenia ze swego życia. Już jako ośmioletni chłopiec brał udział w bitwie i był ranny.

— W prawdziwej bitwie?

— Najprawdziwszej. Sam o tym opowiadał. Kiedy raz na Wołyniu przebywał z rodzicami w gościnie u sąsiadów, szlachta

okoliczna urządziła zajazd na dwór. Podczas walki z napastnikami mały Józio niedostrzeżony przez nikogo wymknął się oknem między walczących przeciwników. Strzelano gęsto i chłopiec został ranny odłamkiem z garłacza. Upadł przeraźliwie wrzeszcząc, co tak poruszyło napastników że zaprzestali walki i wycofali się. W ten sposób obronił dwór.

— Musiało go bardzo boleć?

— Bolało go bardzo, choć ranny był lekko, bo w pewną część ciała. Mówił że to jedyna rana której się wstydzi, gdyż wszystkie następne otrzymał z przodu. Nie darmo był słynny ze swojej odwagi na całym świecie.

Warto może nawiasem powiedzieć, że w Krakowie wspomnień i podań o Chłopickim krążyło wiele aż do niedawnych czasów. Nieszczęśliwy wódz powstania zamieszkał w Wolnym Mieście i wyjeżdżał jedynie do wód w Krzeszowicach. Starzy krakowianie powtarzali rozmaite anekdoty o nim i o jego powiedzeniach nie zawsze parlamentarnym językiem wyrażanych. Pani Badeniowej gdy pchłę złapała na nodze powiedział, że z hrabiny wielka świnia a biskupowi Łętowskiemu doradził aby mnichów na Bielanach wygrzmocił, jeśli nie chcą uznać jego władzy duchownej, co Łętowski jako były żołnierz uczynił. Twierdził raz Michał Bobrzyński że w pałacu Krzeszowickim przechowywane są pamiętniki Chłopickiego, w których spowiadał się z wątpliwości, targających nim podczas powstania. Prosił Chłopicki by dopiero w sto lat po jego zgonie odsłonić gorzką dla Polaków prawdę, że porywając się do walki o wolność w r. 1831, porwali się do niej za wcześnie.

Słyszałem, że Wyspiański nie wyrzeźbił z fantazji postaci Marii-Kassandry w „Warszawiance". Miał się o niej dowiedzieć od swego wuja Stankiewicza, któremu historię tę opowiadał Chłopicki.

Rzadko miał Dyktator wspominać wojny napoleońskie, a szczególnie kampanię hiszpańską w której wsławił się tak dalece, że nazwisko jego wyryto na Łuku Tryumfalnym w Paryżu. Czasem rozgoryczał się na Napoleona za zawiedzione nadzieje Polaków, czasem zaś mawiał: „Istnieją narody bez szczęścia, jak i ludzie przeklęci, bez szczęścia".

Twierdzono że myślał wtedy o sobie i opowiadano że ciążyło na nim przekleństwo rzucone za to, że zdobył w r. 1808 klasztor św. Józefa, główny fort Saragossy. Gdy Chłopicki osobiście kierował atakiem przeciw klasztorowi i wzniecił w nim pożar, hiszpańska cyganka Manuela rozwścieczona i fanatyczna przeklęła go: „Obyś za to co czynisz Polaku, obyś za tę profanację świątyni twego patrona, był wodzem nieszczęśliwym!".

Ale wtedy na plantach, w słońcu i wśród woni kwiatów, nie wiedziałem dobrze kim był Chłopicki. Wesołą wydała mi się anekdota o małym chłopcu biorącym udział w bitwie, co prawda nie całkiem prawdziwej, bo nie było to na wojnie.

— Proszę pana, a może pan jeszcze coś opowie — prosiłem nowego znajomego.

— Cóż mogę ci opowiedzieć? Tylu ludzi znałem, tylu w życiu spotkałem.

— A na wojnie pan był?

— Nie, tego zawodu nie uprawiałem. Urodziłem się i wychowałem w czasach pokoju. Toczyła się co prawda wojna w mej młodości, ale daleko, na Krymie.

— A co to była za wojna?

— Z Moskalami.

— A Polacy bili się w niej?

— Polacy biją się zawsze, w każdej wojnie.

— A pan znał kogoś co się bił w wojnie na Krymie? — nudziłem w nadziei, że wyciągnę jakieś szczegóły.

— Znałem, a jakże znałem. Czy ty wiesz — dodał z nagłym ożywieniem — że ja znałem Adama?

— Kogo?

— Adama, Adama Mickiewicza, największego poetę polskiego.

— To tego, którego bajki tatuś nam czyta, a babcia robi jego leguminę z cegły?

— Co takiego?

Uczułem nagle że niepotrzebnie połączyłem znajomość literatury z tortem który lubiłem, ale wyznać muszę że zanim „Bajki" i „Powrót Taty" i „Pana Twardowskiego" usłyszałem, wiedziałem o Mickiewiczu z powodu dobrej i słodkiej leguminy, którą babcia przyrządzała nazywając ją leguminą Mickiewicza. Teraz musiałem opowiedzieć co wiedziałem. Kiedyś jako młoda mężatka babka jadąc koleją warszawsko-wiedeńską poznała panią Zofię Węgierską, damę palącą cygara i sawantkę swoich czasów. Mieszkała ona przez długie lata w Paryżu gdzie przebywała w towarzystwie najcelniejszych artystów i pisarzy. Wśród rozmów o Mickiewiczu zwierzyła babce litewski przepis na leguminę którego wieszcz ją nauczył. Było to ciasto ze słodkich biszkoptów moczonych w rumie, sformowane między dwoma talerzami przyciśniętymi cegłą. Babka przekładała torcik kremem. Nazywano ją u nas leguminą Mickiewicza z cegły, choć mama naciskała ciasto duszą od żelazka, a czasem tomem „Bibliografii" wziętym z pokoju ojca. Krzysia przez przyrodzoną ścisłość radziła użyć do tego celu ozdobnego wydania pism Mickiewicza.

Wszystko to objaśniłem dokładnie.

— Tak, pan Adam lubił jeść, a w Hotelu Lambert twierdzono nawet że z tego powodu umarł.

— Umarł? Przecież w zimie był w Krakowie, bo mi go tata pokazywał na ulicy. Chodził bez płaszcza, z długimi siwymi włosami.

— Pomyliłeś sobie mój kochany. To był syn poety, Władysław, który żyje w Paryżu. Adam Mickiewicz umarł dawno.

— A pan go znał?

— Znałem bo żyję długo. Chciałeś wiedzieć czy znałem kogoś kto brał udział w wojnie krymskiej. Otóż znałem pana Adama. Jestem jego ostatnim znajomym który żyje. Posłuchaj:

. . . .

— „Było to, było w roku 1853. Pan Maisonneuve, mój mentor, nauczył mnie już wszystkiego co umiał i dziadek i ojciec oświadczyli mi, że dla dokończenia edukacji pojadę do Paryża tak jak kiedyś pojechał tam mój ojciec, a jeszcze za czasów króla Stanisława mój dziad. Dziadek mój przywiązywał wielką wagę do tej podróży. Miałem pobierać lekcje u kilku profesorów francuskich, a nadto miałem bywać w znakomitych domach, zaprzyjaźnionych z naszą rodziną. Przyjaciel ojca Aleksander Walewski, był współpracownikiem cesarza Napoleona III, a książę Adam Czartoryski obiecał się mną opiekować. Z końcem roku ojciec zabrał mnie do Paryża. Po raz pierwszy jechałem wtedy koleją, szybkowozami jak mawiano, którymi wielu obawiało się jeździć.

„Przyjechaliśmy do Paryża w grudniu. Oszołomiło mnie miasto i nowe stosunki, bo po całych dniach składaliśmy wizyty w godzinach wyznaczonych dla przyjęć.

„Mieszkał wtedy w Paryżu mój kuzyn, Jaś Górski. Wiedział on że nudziły mnie wielkie salony i ich sztywna atmosfera, a że bardzo ciekaw byłem rewolucyjnego świata emigracji polskiej, o którym tyle słyszałem i o którym nie bez zgorszenia pisał do nas długie listy Zygmunt Krasiński. Jaś Górski znał dobrze owych emigrantów, znał przede wszystkim Adama, którego wierszy moje pokolenie uczyło się na pamięć. Zresztą i ojciec był wielbicielem jego poezji, a tylko nie chwaliliśmy ich przy dziadku, bo jemu się bardzo nie podobały. Ganił je, twierdząc że szkodę przynoszą.

„Górski przyszedł do nas jednego dnia z tajemniczą miną i oświadczył że spotkał Mickiewicza i zapytał go czy możemy mu złożyć wizytę. Mickiewicz choć znał nieprzychylne nastroje mego dziada, zaprosił nas serdecznie na wieczór. Mieszkał nad Sekwaną w Bibliotece Arsenału, gdzie był kustoszem zbiorów.

„Choć mieliśmy mnóstwo zajęć tego dnia bo był to ostatni dzień roku i składaliśmy wizyty świąteczne, znaleźliśmy czas by wybrać się na drugi koniec Paryża do Arsenału. Ciekawy byłem poznania Mickiewicza o którym tyle słyszałem źle i dobrze. Mówiono, że jest gwałtownym rewolucjonistą, a że teraz gdy przestał być towiańczykiem stał się niebezpiecznym socjalistą. Jak nas przyjmie, czy będzie uprzejmy, czy chłodno potraktuje nas i prędko odprawi? — 'Schowaj rękawiczki jak idziesz do Mickiewicza — powiedział Jaś — Wieszcz bardzo nie lubi, by młodzież nosiła rękawiczki. Mnie raz skarcił za to surowo. W ogóle Adam nie lubi jeśli młodzi ludzie chodzą zbyt wykwintnie ubrani, gardzi tym'.

„Przybyliśmy do Arsenału. Przeszliśmy przez wielki gmach biblioteczny na górne piętro, do mieszkania poety. Gdy zastukaliśmy do jego drzwi otworzył je osobiście. Na schodach i w przedpokoju było ciemno i zobaczyłem tylko jego sylwetkę z lekka przygarbioną i usłyszałem jego głos. Mówił śpiewnym litewskim akcentem, a serdecznym tonem powitania z miejsca usposobił nas pogodnie.

„Dopiero w pokoju do którego nas wprowadził, przy świetle olejnej lampy dojrzałem jego twarz. Prosił abyśmy usiedli, przepraszał że żona nie wyjdzie do gości, ale była chora tego wieczoru.

„Pokój był skromnie urządzony. Na niewielkim biurku z szufladkami zobaczyłem wizerunek Napoleona. Matka Boska Ostrobramska wisiała na ścianie. Papiery i książki, ostatnie gazety paryskie i angielskie, Pismo Święte leżały na biurku. Z boku stała kolekcja fajek z cybuchami, mały stolik i kilka obdartych fotelików. Uderzało to urządzenie nieładem i ubóstwem.

„Za to on sam robił niezwykłe wrażenie. Był ubrany w długi, czarny surdut z kołnierzem zapiętym pod szyję. Surdut ten zniszczony i wytarty zdawał się świadczyć, że istotnie wieszcz dbałość o wygląd zewnętrzny uważał za próżność.

„Wydał mi się bardzo otyły. Wzdłuż ciała trzymał sztywno wyprostowane ręce o ile nie gestykulował nimi. Twarz jego była zmęczona, blada i nalana. Nos miał gruby, prosty. Głowę którą wznosił do góry otaczały długie siwe włosy, opadające na jego policzki. Wtedy odrzucał je w tył charakterystycznym ruchem, wydymał lekko mięsiste wargi i zaczynał mówić. Dopiero gdy mówił roztwierał oczy szaro-niebieskie, pełne blasku. Czasem mówił powoli, czasem szybko. Jeśli kogoś krytykował, a zwłaszcza jeśli się z kimś spierał mówił wolno, dobitnie a bezwzględnie. Jeśli zapalił się do czegoś namiętnością, wyrzucał z siebie słowa.

Wtedy znikało z jego twarzy zmęczenie, a jego postać ożywiała się.

„Podczas mego pobytu w Paryżu jeszcze kilka razy spotykałem Adama i pamiętam go dokładnie. Miał wielką prostotę obejścia, ale miał zarazem coś władczego w sobie, właśnie przez to dumne wznoszenie czoła i przez jakąś troskę wyrażoną w twarzy, a równocześnie przez to trzymanie rąk sztywno wzdłuż ciała. Był przyzwyczajony do uwielbienia. Nawet książę Czartoryski okazywał mu szacunek. Przy powitaniu obejmowali się za ramiona jak bracia.

„Ojca mego pozdrowił tego dnia serdecznie. Znali się ze słyszenia doskonale: — 'Zygmunt gdy zwozi nowiny z Polski, zawsze napomknie mi o was. Ale teraz dawno nie było jego u mnie. Chory on bardzo podobno we Frankfurcie' — mówił Mickiewicz.

„Rozmowa zaczęła się od Paryża. Opowiedzieliśmy o naszych ostatnich wizytach, o koncercie u księżnej Caraman u której spotkaliśmy wiele wybitnych osobistości. Mickiewicz nie okazał zainteresowania i wreszcie przerwał: —'Wy tu opowiadacie o Paryżu, a powiedzcie mi lepiej co w kraju słychać? Książki jakie wyszły, jacy pisarze nowi? Słyszę wiele o talentach panny Łuszczewskiej, którą Bóg darem improwizatorskim obdarzył'.

„Potem szybko z relacji o ostatnich wypadkach na polu piśmiennictwa rozmowa zeszła na boje toczone w młodości. Przypomniał sobie swoje wystąpienie przeciw recenzentom i krytykom warszawskim, a zwłaszcza dyskusję z Dmochowskim: — 'Ja byłem wtedy czupurny, zwyczajnie jak młody, więc się syn obraził na mnie za ojca. Ale Osiński był najwinniejszy, bo on najbardziej zatrute strzały rzucał, on czcigodnego jenerała Morawskiego tak pilnował, że Morawski nie śmiał romantyków pochwalić, choć szczerze sprzyjał owoczesnej młodzi'.

„Zapalił fajkę, otoczył się kłębami dymu, ożywił wspomnieniami. Mówił o postaciach, które znałem ze słyszenia lub osobiście. Potem ganił tłumaczenia Odyńca, które zdaniem jego niecelnie oddawały oryginał, unosił się nad Rzewuskim, a przede wszystkim nad pieśniami Zaleskiego: — 'Wychodźcza nasza literatura ma w nim wielkiego śpiewaka. Wskrzesił on przez swój styl ukrainny pieśń ludu i uczynił ją naprawdę gminną. Podobno pułki kozackie, które Sadyk zwołuje na Wschodzie nucą strofy Bohdana'.

„W owym czasie Mickiewicz rzucił dawno pisanie i wszelkie studia, a żył wyłącznie politycznymi wypadkami. Wstąpienie na tron Napoleona III ożywiło jego wiarę, że wyzwolenie Polski przyjdzie od strony Francji, a wojna na Wschodzie potwierdzała to. Pomiędzy Mickiewiczem a Hotelem Lambert nastąpiło zbliżenie a jednym z pośredników był właśnie mój ojciec.

„Nie jechaliśmy bowiem do Paryża wyłącznie dla mojej edukacji i dla poznania świata. Obywatele w kraju ze starym kasztelanem Wężykiem na czele uradzili, że trzeba aby ojciec mój jechał do Francji i wywiedział się co prawdy jest na nadziejach jakie szeptem rozchodziły się po Polsce. Pragnął ojciec także wypytać Mickiewicza. Lecz poza wiarą namiętną w sprawę wolności ludów mało mu wieszcz powiedział. Chciał działać podobnie jak raz już we Włoszech to uczynił, ale sposobności nie układały się jeszcze. Spytaliśmy się go czy coś pisze. Odrzekł: 'Zarzuciłem ja szperanie po księgach i nawet Boehma pisma, które chciałem przypomnieć publiczności francuskiej zatrząsnąłem, bo tak jak przed pięciu laty zbliża się teraz godzina czynu. Książę, którego wiarę podzielam, widzi dla naszej sprawy wielkie możliwości na

Wschodzie i dla tych którzy tam pójdą. Jest czas mówienia i czas działania. Kwestia Polski jest początkiem nowego prawa inaczej nie istniałaby na świecie. Tymczasem ja tu, zagrzebany w szpargałach bibliotecznych'.

„Im dłużej byliśmy u Adama, tym bardziej ożywiał się. Kiedy ojciec zaczął przed nim rysować położenie dyplomatyczne i wskazywać na możliwość interwencji dworów, słuchał jego uwag lecz dodał tonem przestrogi że dla wolności naród musi być przygotowany i obudzony. Tymczasem lud polski nie ma jeszcze głosu w sprawie wolności, więc i nie ma w nią wiary.

„Wreszcie nadszedł czas pożegnania. Pan Adam był bardzo serdeczny, zwracał się do ojca po imieniu, jak zwykł był czynić ilekroć kogoś polubił. Gdy dowiedział się że jedzie on niedługo do Polski, uścisnął go i rzekł: — 'Zazdroszczę, lecz ufam że i ja tam stanę i Litwę moją zobaczę. Wypadki pozwalają w to wierzyć. Uściśnij twego ojca i powiedz mu by dalej tworzył i by zapomniał o tym co nas dzieliło, a myślał o tym co łączy nas nadzieją'.

„Widywałem jeszcze później wieszcza. Poznawał mnie zawsze i witał się ze mną łaskawie, choć byłem młodym chłopcem. Kazał mi w listach do domu przekazywać ukłony od siebie. Potem nadeszły wypadki, których się spodziewał. Wojna na Wschodzie przybrała na sile, wojska sprzymierzone szły nad Morze Czarne i wreszcie ruszył do Konstantynopola on sam. Chciał tam organizować wojsko polskie. Niestety z tej podróży już nie powrócił".

. . . .

Tak usłyszałem po raz pierwszy tę historię o wizycie u Mickiewicza, którą potem miałem nieraz jeszcze słyszeć. Więc niech nie dziwi się czytelnik, że szczegóły nawet drobne przytaczam. Zresztą wszystko co poety dotyczy jest interesujące.

Tego dnia gdy poznałem się z owym staruszkiem na plantach, chciałem coś bliżej wiedzieć o nim, lecz nie bardzo śmiałem go pytać.

— To pan zawsze mieszkał w Paryżu?

— Nie, ale często tam bywałem.

— A co pan robił w ciągu życia?

— Oh! wiele rzeczy. Byłem dziennikarzem, zajmowałem się polityką, teatrem, pisałem książki...

Już miałem się zapytać, jak się nazywa, kiedy Krzysia zawołała na mnie, że jest późno i trzeba wracać do domu. Więc pożegnałem się nie dowiedziawszy jego nazwiska, choć kazał kłaniać się ojcu.

— Zawsze musisz zaczepiać obcych ludzi. Jeszcze cię kiedyś cyganie porwą — gderała Krzysia.

— Mama mówiła że teraz cyganie nie porywają dzieci.

— Jak jesteś z mamą to nie, ale jak jesteś ze mną to tak — odpowiedziała, bo zawsze znajdywała argument. — Co ci ten pan mówił?

— To tylko dla starszych — odciąłem się, naśladując zresztą jej sposób.

Wróciwszy do domu zacząłem opowiadać rodzicom o znajomości zawartej na plantach i o ciekawych wypadkach o których usłyszałem. Powtarzałem to wszystko z trudnością, choć pamiętałem dobrze. Ale w mówieniu plątały mi słowa i osoby.

Nie mógł ojciec z mego powtórzenia zorientować się o kogo chodzi. Biedził się i zastanawiał.

— Stary pan, siwy, z laską? Tylu jest starych ludzi w Krakowie. Nie powiedział ci jak się nazywa?

— Nie, mówił tylko że był dziennikarzem.

— Dziennikarzem?

— Tak, na pewno.

— Dziennikarz? Stary? Może Tadeusz Smarzewski?

— Nie, bo pana Smarzewskiego znam.

— A co jeszcze mówił?

— Że bywał codziennie w teatrze, to pewno był aktorem.

— Aktorem?

— Mówił także, że się zajmował polityką i że pisał książki.

— Aktor...?, dziennikarz...?, polityk...? Nie znam takiego. To niemożliwe. Coś pomyliłeś.

Szukałem w pamięci jakby go opisać. Nie szło mi. Aż nagle przypomniałem sobie określenie, którego sam użył:

— On opowiadał o Mickiewiczu. Powiedział że jest ostatnim znajomym Adama.

— Ostatni znajomy Adama...? Ah! To z pewnością Stanisław Koźmian!

BOLESŁAW POMIAN

ALLAH JEST MIŁOSIERNY I PRZEBACZAJĄCY

Wnętrze oficerskiej messy było tak samo standartowe jak na wszystkich innych Stacjach Królewskiego Lotnictwa. Też same głębokie, kryte skórą fotele, tenże sam bar, takiż sam kominek, na którego szerokim parapecie stały srebrne kubki i trofea zdobyte przez członków messy w tenisowych czy squash'owych turniejach. Jedyną różnicę stanowiło to, że wnętrze kominka pokrywała dziewicza, nieskalana nierozpalonym nigdy ogniem, czerwona glinka — że w oknach nie było szyb, tylko gęsta siatka moskitiery — że pod sufitem szeleściły miarowo wielkie, czteroramienne punkah. Wszystko inne było tak niezmienne, że George'owi wydawało się, że jeśli wyjrzy przez okno, ujrzy zieleniące się, niezrównaną zielenią, angielskie trawniki wśród których rozrzucone będą białe wesołe domki, kryte, nieodzowną dla angielskiego krajobrazu, czerwoną dachówką. Ale za oknami oficerskiej messy ścieliła się czerwono-złota pustynia Arabskiego Półwyspu. Od białej linii wybrzeża, aż po dalekie, sine szczyty skalistych gór, ścieliła się pustynia.

Opiekujący się przelatującymi przez Stację załogami Wing Commander Martell, rozsadziwszy swych gości w głębokich fotelach i stwierdziwszy że jest już po godzinie 18-ej, klasnął w dłonie. Zza wysokiego baru wysunął się boy, ubrany — jak wszyscy boy'e we wszystkich oficerskich messach w biały, obcisły kubraczek ze złotymi guziczkami. Tylko twarz boy'a była nadmiernie ciemna, rozświetlona parą wielkich, smutnych, semickich oczu. Głowę boya zdobił jedwabny czerwono-błękitny turban. Wing Commander wydał polecenia — i teraz cierpliwie czekaliśmy na pojawienie się wysokich szklanek. Julek, którego górna warga, po niedawnym zgoleniu wąsów, wciąż okrywała się drobniutkimi kropelkami potu, wyciągnął z kieszeni tropikalnej koszulki tekturową kartkę pokrytą arabskimi napisami i zaczął się nią zawzięcie wachlować. To zwróciło uwagę gospodarza: Szanujcie Pa-

nowie te kartki, nie niszczcie ich i nie rozstawajcie się z nimi. Ocaliły już one wiele załóg. Jaka jest treść tych czarodziejskich kart? — spytał Tadek. Wręczone Wam Panowie kartki zawierają pozdrowienie dla sheika i zapewniają go, że jesteście przyjaciółmi Arabów, poza tym obiecują sowitą nagrodę za przyprowadzenie Was całych i zdrowych do najbliższego posterunku angielskiego. Czy skutkują? — zapytał Julek. Tak. Arabowie opiekują się załogami, które wylądowały na ich terytorium i przyprowadzają je. Płacimy zresztą wynagrodzenie tak wysokie, że wartość nagrody przekracza wartość tego, co mogliby zyskać, gdyby załogę zamordowali i obrabowali. System kartek poręczających, działa, jak dotąd, bez zarzutu — raz tylko jeden... Zza baru wysunął się boy i zaczął rozstawiać wysokie szklanki. Gospodarz zamilkł i czujnym okiem kontrolował, czy boy należycie celebruje rytuał podawania whisky, ginger-ale'u i lodu. Gdy już przed każdym stała jego szklanka i boy z pustą tacą oddalił się w kierunku baru — gospodarz podniósł szklankę: Cheerio! Rozkoszowaliśmy się niezrównanym smakiem, złocistym kolorem i pływającymi kawałeczkami lodu. Rozmowa toczyła się dookoła naszej pracy, warunków życia na Stacji, ostatnich rozgrywek tenisowych, dalekich wspólnych znajomych.

George błądził oczyma po niezmierzonej pustaci złotego piasku i czerwonych skał nad którą drgały rozpalone cząsteczki powietrza, sprawiające wrażenie, że cały niezmierny obszar pustyni — od białej linii wybrzeża, aż po granatowe ramy, majaczących o setki mil nagich, skalistych gór — unosi się i opada — jakby olbrzymie fale morza. W uszach dźwięczały mu wciąż słowa Wing Commandera Martell'a: Once only... Czuł, że za słowami tymi kryje się ciekawa opowieść i że tylko ukazanie się tacy ze szklankami przerwało tok myśli starego oficera. Czekał. Wiedział, że jeszcze tego wieczora przyjdzie stosowna chwila by poprosić Wing Commandera o dokończenie opowiadania.

Po kolacji towarzystwo nasze roztasowało się na tarasie. Na Stacji był tylko jeden stół bilardowy, zajęty już zresztą przez Australijczyków. Na grę w ping-ponga było jeszcze stanowczo za gorąco. Czwartego, jak i zwykle, nie było. Pozostawała więc tylko jedna możliwość miłego spędzenia wieczoru. Zresztą lód podawany w wysokich szklankach chłodził tak rozkosznie przepalone słońcem organizmy. Skierowawszy rozmowę na warunki lotu nad pustynią i na możliwości ocalenia w razie przymusowego lądowania, George rzucił: — Poprzednio Sir wspomniał, że jedna z załóg nie wróciła, że raz tylko jeden zawiódł system polecających listów — co się stało? Wing Commander podniósł do ust szklankę, pociągnął spory łyk, przyjął podanego mu papierosa, poprawił się w głębokim fotelu, wyrzucając daleko przed siebie swe obute w moskitiery nogi.

Tak — jedna z załóg, trzech oficerów, została zamordowana. Zostali zamordowani przez człowieka, który spędził w naszej służbie wiele lat i który zaznał od nas wielu dobrodziejstw, którego ja sam darzyłem przyjaźnią i — który nie miał do nas najmniejszej urazy ani żalu. Ponieważ sprawę poznałem dokładnie — opowiem ją Wam, niech Wam służy za przestrogę, niech choć w części rozjaśni Wam, Panowie, te niezbadane drogi po których chodzą myśli ludzi pustyni. Choć i tak nigdy nie zrozumiecie ludzi Wschodu. Ja zacząłem swą tutaj służbę jeszcze za czasów generała Allenby'ego i Wielkiego Laurence'a — spędziłem tutaj dwadzieścia sześć lat — opanowałem język kilku szczepów (musicie wiedzieć, że nie ma wspólnego „arabskiego" języka) — i odcho-

dząc stąd wyniosę tylko jeden pewnik, tylko jedną niewzruszoną wiedzę: nigdy człowiek Zachodu nie zrozumie człowieka Wschodu. Zresztą oni, Arabowie, mówią toż samo o nas. Historia którą wam opowiem rozświetli Wam jedną stronę ich tajemniczych, sfanatyzowanych dusz, nakaże Wam nikomu tu nie ufać — i to wszystko.

Byłem w składzie sądu, który skazał mordercę na śmierć. W myśl praw według których postępujemy my, ludzie Zachodu, czułem że powinienem wydać wyrok śmierci — i wyrok taki z czystym sumieniem wydałem. Widziałem potem jak morderca stał w blasku wschodzącego słońca pod glinianą ścianą oczekując na salwę ekzekucyjnego squad'u. Spokój jaki rysował się na jego twarzy, jasność i męstwo jego oczu — kazały mi zrozumieć, że skazany ginął również z czystym sumieniem, że według praw które on uznawał — czyn jego był dobry i otwierał mu drogę do raju.

Well! Ale nie można zaczynać opowiadania od końca.

Początek opowiadania datuje się od czasu, gdy generał Allenby prowadził zimą 1917 roku działania ofensywne w Syrii, uwieńczone — jak może pamiętacie — zdobyciem Damaszku. Wśród licznych oddziałów partyzanckich, które przyprowadził książę Feissul, znajdował się także oddziałek Yousseffa el Midan. Byłem wtedy młodym podporucznikiem wspaniałego pułku huzarów Królowej, Queen's Own, — dziś zresztą zupełnie zmotoryzowanego i walczącego, o ile mi wiadomo, gdzieś na Sycylii.

Oddziałek partyzantów Yousseffa el Midan, w którym służył także i syn Yousseffa, młody Mohammed el Midan został przydzielony do naszego pułku w charakterze guide'ów. Nie będę się zapuszczał w stare dzieje. Gdy raz się zacznie opowiadać o walkach staczanych za swoich młodych dni — nigdy nie wiadomo, kiedy należy już przerwać, by nie zanudzić słuchaczy. Was zresztą interesuje wypadek który się zdarzył w 1943 a nie w 1917 roku. Dość, że młody Mohammed el Midan dzielił z nami, huzarami Królowej, dolę i niedolę wojenną i w setkach potyczek i starć dał dowód swej wierności i odwagi. Opanowawszy dobrze język angielski i wykazawszy dużą lojalność, inteligencję i odwagę, spotkał się — już po zakończeniu działań wojennych — z propozycją wstąpienia w służbę angielskiego wywiadu. Mohammed propozycję przyjął. W tym czasie ja przeszedłem do Królewskiego Lotnictwa i wyjechałem do Anglii. Słyszałem tylko, że w czasie Palestyńskich rozruchów Mohammed el Midan oddał nam szereg znacznych przysług. Gdy po paru latach pobytu w Anglii znów wróciłem w te strony, usłyszałem, że Mohammed żyje w jednym z górskich osiedlisk — w pobliżu, jak na nasze stosunki, bo tylko o osiem dni drogi. Nie mogąc opuszczać powierzonego mi oddziału na co najmniej trzy tygodniowy okres, wysłałem do Mohammeda list zapraszając go, by mnie tu odwiedził, na tejżeż Stacji. Panowie rozumieją — Arab — ale zawsze towarzysz z tamtej wojny. Nie jedna wspólna noc pod gwiazdami. Nie jeden zagon na dalekie tyły niemiecko-tureckich wojsk. Panowie rozumieją — to łączy.

Wing Commander przerwał opowiadanie. Łagodnym ostrożnym ruchem uniósł do ust szklankę whisky, opróżnił ją długimi spokojnymi haustami i przywoławszy boy'a wskazał mu opróżnione szklanki. W czasie gdy boy napełniał nasze szklinki, Wing Commader obserwował z uwagą rytuał nalewania whisky, gingerale'u i nakładania lodu. Gdy boso-stcpy boy bezszelestnie oddalił się w stronę baru Wing Commander podjął opowiadanie:

No — i odwiedził mnie — choć w zupełnie innych okolicznościach wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Wprowadzono go pod strażą. Poznał mnie od razu i jego piękna, sucha, typowo semicka twarz rozjaśniła się uśmiechem. Jako Dowódca Stacji byłem jednocześnie przewodniczącym sądu. Wyznaczyłem zebranie sądu na drugą po południu. Byłem tak oszołomiony, że nawet nie poszedłem na lunch. Byłem bardziej przejęty sprawą Mohammeda niż on sam. O drugiej otwarłem posiedzenie polowego sądu. Mohammed w pierwszych słowach oświadczył, że mówi dość biegle po angielsku i że rezygnuje z usług tłumacza. Zgodził się na wyznaczonego mu obrońcę Flying Officera Wood'a i z uśmiechem dodał, że obrońca będzie miał niewdzięczną rolę, gdyż on się do wszystkiego przyznaje i nie zamierza prosić o złagodzenie kary. Po wstępnych pytaniach, dotyczących personalij oskarżonego, oddałem głos oskarżycielowi. Sprawa przedstawiała się jasno i beznadziejnie dla Mohammeda. Załoga złożona z trzech oficerów wyskoczyła z palącego się samolotu. Wylądowali szczęśliwie w górach na północ od Basharjah i natychmiast zostali zauważeni przez Omara ben Sadi'ego, który wiedząc o przyobiecanej nagrodzie zaopiekował się lotnikami, nakarmił ich a następnego dnia odprowadził ich do swego sheika Mohammeda el Midan. Tegoż dnia jeszcze Mohammed el Midan wysłał dwóch gońców do Stacji Królewskiego Lotnictwa z listem, w którym zawiadamiał, że oficerowie są pod jego opieką i że nazajutrz wyśle ich do Stacji, do której powinni przybyć w ciągu 8—9 dni. Do listu Mohammeda był dołączony list pierwszego pilota, F/O Latham'a, w którym to liście Latham meldował, że znajduje się pod gościnną opieką sheika Mohammeda el Midan i że spodziewa się być na Stacji za 8—9 dni a wtedy złoży raport o przyczynie i przebiegu katastrofy ich samolotu. Po przedstawieniu tych listów sądowi, oskarżyciel stwierdził, że gdy po upływie trzech tygodni oficerowie nie pojawili się na Stacji — wysłano po nich ekspedycję ratunkową. Ekspedycja dotarła aż do Uel Mida gdzie mieli przebywać oficerowie — i na miejscu usłyszeli z ust sheika, że oficerowie zostali zabici i pochowani. Dowódca ekspedycji F/O Besford zaaresztował sheika Mohammeda el Midan. Oskarżyciel zakończył swą mowę żądając kary śmierci. Mowa obrońcy wypadła słabo. Podkreślił że Mohammed całe swe życie służył wiernie rządowi angielskiemu i że wielokrotnie oddał znaczne usługi. Wyraził też przypuszczenie, że zamordowani oficerowie musieli ciężko wykroczyć przeciw któremuś z zasadniczych praw gościnności i to spowodować musiało ich śmierć z ręki obrażonego w swych prawach gospodarza. Obrońca wyraził głośno to, co myśleliśmy my wszyscy. Przypuszczaliśmy, że zamordowani oficerowie musieli — (pomimo przestróg których wciąż Wam Panowie udzielamy) — zaawanturować się w jakieś romantyczne sprawy z nadobnymi Lahjlami lub Shahljami. Przypuszczaliśmy, że to uczucie dzikiej, pierwotnej zazdrości, tak silnie rozwinięte u ludzi Wschodu, zadecydowało o ich tragicznej śmierci. Udzieliłem głosu jedynemu świadkowi oskarżenia. F/O Besford przedstawił fotografie zamordowanych, tak jak ich odkopała wysłana ekspedycja we wskazanym przez Mohammeda miejscu. Stwierdził następnie, że Mohammed dobrowolnie się doń zgłosił i że o śmierci oficerów dowiedział się od samego Mohammeda. Obrona nie miała świadków — przeto oddałem głos oskarżonemu. Słowa jego pamiętam omalże dosłownie, nie było ich zresztą zbyt wiele: „Zabiłem trzech angielskich oficerów, których nigdy przedtem nie widziałem. Tylko ja planowałem i wykonałem napad. Spali

w moim domu i wierzyli mi, nie miałem trudnej roboty. Ciosy zadawałem tak by umierali natychmiast, bez męki. Sam się zgłosiłem, gdy przyszli Twoi żołnierze. Wiesz, że gdybym uszedł w góry — nie dostałbyś mnie nigdy, ale nie chciałem, byście spalili Uel Mida. Obrońca się mylił. Zabici oficerowie byli gentelmenami i zachowali się jak na oficerów i gentelmenów przystoi. Postąp według Twego prawa — tak jak postąpiłem według mego prawa. Więcej nie powiem nic".

I rzeczywiście — już potem nie odpowiedział na żadne ze stawianych mu pytań. Zresztą była to zbyteczna formalność. Sprawa była jasna i wyrok skazujący był oczywisty. Wysłuchał go spokojnie, jako naturalną i zrozumiałą konsekwencję swego czynu. Po wyroku zapytałem, czy ma jakieś życzenie, które sąd mógłby uwzględnić. Prosił, by wyrok był wykonany w piątek — rozprawa miała miejsce we czwartek — i by ciało jego zostało odesłane do jego rodziny do Uel Mida. Zapewniłem go, że prośby jego zostaną spełnione. Podziękował mi i w jego pięknych, czarnych, semickich oczach zaigrał jakby cień uśmiechu. Skłonił się głęboko i odwrócił w kierunku wyjścia. Na mój znak, straż wyprowadziła go z sali. Rozprawa była skończona.

Wing Commander przerwał opowiadanie. Była już późna godzina i oprócz naszej zasłuchanej grupki na tarasie nie było nikogo. Jednostajnie szeleściły wielkie czteroramienne punkah. Od pobliskiego wybrzeża niósł się łomot i szum nadchodzącego przypływu. Aksamitny, miękki granat nieba był wyiskrzony miliardem gwiazd. W dole, w smugach oślepiająco białego światła reflektorów — miarowo — jak wahadła wielkich zegarów — wartownicy przemierzali miarowymi krokami powierzone ich straży odcinki. Te smugi świateł, wartownicy, kolczaste zasieki — zdawały się być czymś więcej niż tylko granicą rejonu Stacji Królewskiego Lotnictwa. Tu kończył się znany, nasz, zachodni porządek rzeczy, jasny jak światła reflektorów, konsekwentny jak kroki wartowników, nieugięty i nieustępliwy jak te stalowe zasieki. Tam, po przeciwnej stronie, w mroku, w pustaci niezmierzonych obszarów — taił się nieznany, niedostępny, nieprzenikniony Wschód. Wiedzieliśmy, że nigdy żaden z nas nie pozna nic z tych rzeczy które kryją się w tajni czarnego mroku, że nikt z białych nie zbadał jeszcze tych skalistych gór, które w dzień są tylko mozaiką potwierdzającą rysunek naszych map, a które teraz czernią się na granatowym tle nieba — jak teatralne dekoracje przygotowane przez obłąkanego reżysera do jakiegoś wschodniego, pełnego tajemnic i krwi, dramatu. Boy ukończył właśnie obrządek nalewania whisky i obnosił wśród nas pudełko długich, wonnych cygar. W jaskrawym świetle podawanej zapałki George widział suchą, spaloną słońcem twarz Wing Commandera Martell'a i na jeden krótki moment uchwycił spojrzenie jego czarnych ócz. Oczy te, które zazwyczaj wyrażały jakąś przedziwną dobroć i wyrozumiałość — „mądre oczy", jak określił któryś z kolegów — teraz były przesłonięte jakimś odległym smutkiem, dalekich, nieznanych mu spraw.

Po krótkim milczeniu — Wing Commander podjął dalszy ciąg opowiadania:

— Pragnąc za wszelka cenę uzyskać rozwiązanie tajemnicy, postanowiłem przeprowadzić z Mohammedem rozmowę w cztery oczy, przypuszczając, że czego nie chciał powiedzieć mnie, jako przewodniczącemu sadu, to może zechce wyjaśnić mi w rozmowie prywatnej. Pamiętajcie, że byliśmy towarzyszami broni za naszych młodych lat, a to nie przemija bez śladu.

Mohammed powstał na moje powitanie. Jego wysoka postać pochyliła się w głębokim ukłonie, a prawa ręka dotknęła kolejno czoła, ust i serca. Jego piękne, czarne oczy patrzyły w moje otwarcie i beztrwożnie. Chwilę milczałem, nie bardzo wiedząc od czego zacząć — nie widzieliśmy się przecież prawie ćwierć wieku. Mohammed odezwał się pierwszy. Pokój niech będzie z Tobą Sahibie — ale proszę odejdź i zostaw mnie samego — w ostatnią noc mego życia nie chcę rozmawiać z roumi'm.

Słowa Mohammeda dotknęły mnie głęboko — zrozumcie Panowie — Mohammed był moim towarzyszem broni, myśląc o nim nigdy nie pomyślałem, że jest on tylko „dirty native" — a teraz dowiadywałem się z jego własnych ust, że ja jestem dla niego „roumi". Ogarnął mnie żal i gniew. Zapomniałem, że mówię do człowieka, który ma przed sobą tylko kilka — dokładnie siedem — godzin życia: Mohammedzie el Midan — powiedziałem — gdy wkraczaliśmy do Barasheirn, pamiętasz, na glinianych murach miasta widzieliśmy trupy ukrzyżowanych arabskich kobiet z nożami powbijanymi w ich dłonie i stopy. Ty sam odwracałeś oczy od widoku małych dzieci arabskich powbijanych na żerdzie płotów — okrucieństwa, których nie chę wyliczać, wstrząsnęły nawet waszymi twardymi sercami, synowie pustyni. Tych okrucieństw, jak sam wiesz najlepiej, dopuszczali się Twoi współwyznawcy — Turcy, tak samo czczący Allaha jak Wy. W te dni, gdy wyzwalaliśmy lud pustyni z tureckich więzów, — Ty mówiłeś do mnie: Bracie Sahibie. Upłynęło zaledwie ćwierć wieku — i stałem się dla Ciebie Roumi Sahibem. Myślałem że dłuższą jest Twoja pamięć, Mohammedzie.

Gdy później rozpamiętywałem szczegóły naszej rozmowy, doszedłem do wniosku, że to właśnie szczerość mego gniewu rozwiązała usta Mohammeda.

Nie chciałem urazić Ciebie, Bracie Sahibie. Pamiętam żywo nasze dawne braterstwo broni i pamiętam dni i noce pod gwiazdami Syrii. Byliśmy wówczas młodzi. Teraz postarzeliśmy się obaj i rozeszły się nasze drogi. Ale nie chcę byś źle mnie wspominał — nie chcę Cię urazić, na dowód tego opowiem Ci, czemu zabiłem Twych oficerów. Słuchaj. Urodziłem się, wzrosłem i żyłem na pustyni. Ty wiesz jakie jest życie pustynnego Araba. Częściej głodno niż syte, częściej w walce niżeli w pokoju. Ale nie znałem nic innego i popijając zgniłe daktyle cuchnącą wodą z wysychającego od letnich upałów źródełka, chwaliłem Allaha za jego dobroć i dary. I tak prawdopodobnie przeszedłbym przez całe życie — jak przede mną przeszli moi ojcowie i ojcowie ich ojców, pilnie strzegąc przykazań Koranu i kornie poddając się woli wszechmocnego Allaha. Ale w księgach przeznaczeń było zapisane, że życie moje splecie się z życiem roumich. Niezbadane są drogi Allaha. Gdy miałem 22 lata ojciec mój wziął mnie z sobą w daleki świat, na świętą wojnę, pod sztandar Wielkiego Lawrence'a. Po wielu dniach pochodu w którejś z nadjordańskich dolin ujrzałem pierwszą rzekę o zimnych, czystych wodach. Dla nas, Arabów z pustynnego Oman'u, był to Cud! Godzinami patrzyliśmy jak po omszałych głazach toczy się czysta, świeża, pachnąca woda. Wiem, Wy ludzie z Zachodu nie rozróżniacie zapachu wody — woda pachnie tylko dla człowieka Pustyni. Godzinami patrzyliśmy na spływająca wodę i ponaglani do dalszego pochodu — prosiliśmy, by pozwolono nam pozostać tak długo aż woda spłynie ze skał. Ta płynąca woda to był dla nas Cud! Czyż mogliśmy odejść sprzed oblicza niepojętego Cudu? Czeka-

liśmy dwa dni nie wierząc, że woda płynie tak już od tysięcy lat. Pamiętam, odchodziliśmy niechętnie i z żalem, że nie pozwalają nam być świadkami aż Cud wypełni się do końca. Potem — jak wiesz — widziałem wiele źródeł, rzek i jezior. Widziałem jak żyją roumi i buntowało się moje serce przeciw przedwiecznym wyrokom Allaha. Nie mogłem pojąć, dlaczego Wam, niewiernym dał piękne kraje poprzeżynane przez życiodajne rzeki, a nam, swoim wiernym kazał żyć wśród spalonych słońcem piasków pustyni. Im dłużej patrzyłem na waszą mądrość, potęgę i bogactwo tym bardziej buntowałem się przeciw wyrokom Przedwiecznego, tym bardziej oddalało się moje serce od nauki Proroka.

Gdy skończyła się wojna nie chciałem wracać do zgniłych daktyli, cuchnącej wody, do twardego życia, którym żyli moi ojcowie i ojcowie ich ojców. Wstąpiłem do waszej służby. Poznałem wielu roumi. Byli wśród nich tacy, którzy nie znając nauki Proroka — żyli tak, jakby przykazania Koranu mieli wyryte w swych sercach. I spotkałem wielu wiernych — w których sercach mieszkała zdrada i nikczemność. Zrozumiałem, że nie kolor skóry, ani sposób modlitwy stanowią o wartości Człowieka.

Zacząłem wątpić w jeden z głównych dogmatów naszej wiary, że tylko nauka Proroka jest jedyną drogą wiodącą człowieka do Boga. W ślad za tą wątpliwością przyszły inne. Wątpliwości te były jakby usuwającymi się przyciesiami, na których była zbudowana świątynia mojej Wiary. W zapomnienie szedł przykład ojców i nauki naszych muftich. Czyż może się ostać gmach spod którego wyrwano głazy stanowiące jego fundament? Przez lata następne byłem wyznawcą Proroka jedynie z nazwy, obyczaju i stroju. W sercu nie miałem już Wiary! I tak byłbym zapewne odszedł w wieczyste potępienie — gdyby nie miłosierdzie Allaha, który na drodze mego życia postawił Wielkiego Ojca Wiernych Mufti'ego Mediny.

Ten świętobliwy starzec pomógł mi zrozumieć mój błąd — wytłumaczył mi jak wielką jest sprawiedliwość i dobroć Allaha. Zrozumiałem jak straszliwie bluźniłem zazdroszcząc roumi'm ich szczęśliwego życia, jak wielkim grzechem i obrazą Proroka było moje życie w Waszej służbie.

Czyż nie słusznie uczynił Allah, że wam o roumi dał najpiękniejsze kraje tego Świata i życie wasze uczynił łatwiejszym, milszym i szczęśliwszym niż życie swych wiernych wyznawców? Przecież dla was roumi wszystko się kończy z chwilą śmierci. Jesteście szczęśliwi za życia, lecz nawet najmężniejsi wśród was boją się śmierci, gdyż śmierć jest dla was końcem wszystkiego. Nam, swoim wyznawcom przeznaczył Allah — w swej niezgłębionej mądrości — twarde i surowe życie. Nie dał nam ani dzwoniących, jak śmiech dziewczyny, potoków kryształowej, górskiej wody, ani powolnych, srebrnych rzek toczących się przez urodzajne pola, ani cichych, sennych jezior. Nie dał nam Allah ani żyznych pól, ani bogatych miast. Ale dla nas — wiernych — życie jest tylko krótkim okresem próby. Śmierć dla nas nie jest końcem — ale początkiem Szczęśliwości. O, Wielki i Miłosierny jest Allah i Wielkim jest Jego Jedyny Prorok, który życie wiernych uczynił ciężkim i twardym, aby ich przygotować do wiecznej Szczęśliwości.

Za radą Wielkiego Ojca Wiernych rzuciłem waszą służbę i wróciłem do swoich. Jak wiesz, byłem synem sheika i po śmierci mego ojca — niech Allah będzie litościwy dla duszy wielkiego wojownika — sam zasiadłem przed zielono-złotym namiotem.

Gdy przyprowadzono mi Twoich oficerów, zapłaciłem za nich należny okup Omarowi ben Sidi i przyjąłem ich jako swych gości. Pokazałem im medal jaki otrzymałem od Twego Króla — niech łaska Allaha kieruje Jego krokami — i świadectwa mojej u was służby. Cieszyli się że władam ich mową. Byli tak młodzi, cieszyli się uratowanym życiem — kipieli wprost radością odzyskanego życia. Byli tacy sami jak Ty, Bracie Sahibie — i ja, za naszych młodych, burzliwych dni. Gdy usnęli znużeni całodzienną drogą wyszedłem przed namiot. Na niebie lśniły gwiazdy. Była gorąca sierpniowa noc i wiele gwiazd spadało, kreśląc w przelocie jasne łuki na granatowym niebie. Rozmyślałem, że za wolą Allaha i moja gwiazda wkrótce spadnie. Nie martwiło mnie to. Któż dostrzeże brak jednego Araba w pustyni — któż dostrzeże brak jednej gwiazdy na niebie?

Zacząłem myśleć o swym życiu. Wszystko wydało mi się małe i nieważne. I cóż mi po tym, że zyskałem bogactwo i szacunek wśród swoich i dobre imię u roumich — jeśli zgubiłem duszę? Miałem przez całe życie wiele świeżej, pachnącej wody i tłustego mięsa i kornych niewolników i posłuszne żony — ale utraciłem łaskę Allaha. Siedziałem przed namiotem patrząc w spadające gwiazdy i całe życie moje przesuwało się zwolna przed moimi utrudzonymi oczyma.

Dookoła była cisza, była taka cisza, że słychać było jak wiatr trąca swym tchnieniem piaski rozpalonych diun. Któryś z oficerów zaczął coś mówić przez sen. Nie mogłem zrozumieć niewyraźnych słów, ale słuchałem obcych dźwięków mowy roumich — i na duszę moją spłynęła łaska objawienia. Zrozumiałem, że Allah w swej nieprzebranej dobroci ofiarowuje mi ostatnią możność zbawienia mej grzesznej duszy.

Zabij tych roumi, w ich krwi zmyj grzech odstępstwa od wiary ojców. Zabij tych roumi — szemrały liście wysokich palm. Zabij tych roumi — zawodził wiatr przesypując piaski pustyni. Zabij tych roumi — mrugały srebrne gwiazdy. Twój sztylet, który nurzałeś tylko we krwi współwyznawców — obmyj teraz we krwi roumich. Staniesz czysty przed sądem Allaha. Allah jest miłosierny i przebaczający.

Wszedłem do namiotu. Resztę już Ci powiedziałem na sądzie. Jutro zginę z ręki niewiernych. Zginę w piątek. Dusza moja uleci prosto przed tron Allaha, który jest miłosierny i przebaczający.

Teraz wiesz wszystko. Odejdź w pokoju Bracie Sahibie i niech łaska Allaha oświeci kiedyś i Twoją duszę. Odejdź — gdyż pragnę się modlić.

Wyszedłem — kończył opowiadanie Wing Commander — zostawiając Mohammeda el Midan zatopionego w rozmowie ze swoim Bogiem. O świcie go rozstrzelano. Kule oszczędziły jego twarz. Nie musiał cierpieć, gdyż usta Jego zastygły w łasce uśmiechu.

Wing Commander Martell milczał — i nikt z nas nie przerywał milczenia. Była już późna godzina i gwiazdozbiór Orion'a wyszedł zza czarnych, skalistych szczytów gór na aksamitne, granatowe tło nieba. Najpiękniejsza z gwiazd Betelgeuse'a świeciła jasnym, łaskawym światłem. Tak samo musiała świecić ongiś nad ziemią Judzką — gdy jeszcze świat był młody — a po kwiecistych łąkach nadjordańskich dolin kroczył Nauczyciel, którego nauka zamykała się w słowach:

„Potem ludzie poznają żeście uczniami moimi, że się wzajem miłować będziecie".

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

OD PIRENEJÓW DO LIBANU

Po powrocie z kampanii w Norwegii, tragicznym końcu Brygady Podhalańskiej w Bretanii, szczęśliwym przedarciu się 800 kilometrowym marszem poprzez wojska niemieckie na południe Francji, wówczas wolnej od okupacji, znalazłem się jesienią 1940 roku wraz z kolegą z wojska, Adolfem B., w Pirenejach.

Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną przemytnika, pół-Hiszpana, pół-Francuza. Założyliśmy tam melinę, punkt noclegowy dla żołnierzy, którzy tym szlakiem mieli przedostawać się na stronę hiszpańską. Chałupa przemytnika była położona w górach pod granicą. Na dworze o tej porze roku było już chłodno. W wielkiej środkowej izbie było jednak rozkosznie ciepło: na kominie przez cały dzień bez przerwy paliła się ogromna kłoda. Wieczorem na rożnie umieszczano udziec barani. Jak przyjemnie było, spędziwszy dzień we mgle i zawiei, grzać się wieczorem w cieple komina, wpatrywać w trzaskający wesoło płomień, wchłaniać smakowity zapach mięsiwa. Po kolacji zaczynała się druga uczta, tym razem dla ducha. Na ogólne żądanie gospodarz, „père Antoine" wstawał ze swego zydla, ocierał dłonią usta, zakasywał rękawy koszuli i z maestrią tenora śpiewał piosenkę francuską lub hiszpańską. Potem z kolei panna domu, hoża czarna dziewczyna, śpiewała jakieś piosenki francuskie na szerokim świecie nieznane, o słowach niezrozumiałych, przejętych z języka Basków. Potem wszyscy prosili pastucha by zaśpiewał. Był to czerwony Hiszpan, który ranny z końcem wojny domowej opuścił swą ojczyznę, przechodził z oddziałem opodal domu przemytnika, tu znalazł przytułek, zamiast iść do francuskiego koncentracyjnego obozu internowanych, tu pozostał. Cały dzień ten chłopiec-żołnierz chodził brudny, w łachmanach (nasz przemytnik jak przystało na Francuza, był odpowiednio oszczędny) śmierdział gnojem, gdyż pilnował krów i baranów. Wieczorem, gdy siedząc u komina posłyszał śpiew — zmieniał się, wpatrywał się w czarną śpiewającą dziewczynę już nie jak parobek lecz jak amant. Gdy go proszono by śpiewał, chwilę się wzbraniał. Potem wstawał i zaczynał. Wtedy był już zupełnie odmieniony. Nieśmiały pastuch stawał się pewnym siebie artystą. Gorejącymi oczyma spoglądał na czarną dziewczynę i żywa kastylska piosenka kaskadą twardych dźwięków tryskała pod powałę izby. Wydawało się, że moc tego głosu przygłuszała na chwilę świst wichru za oknami. Gorące brawa wyrażały nasz zachwyt. Właściwie dopiero dzięki temu pastuchowi zdałem sobie sprawę z piękna mowy hiszpańskiej, która mym zdaniem w męskim śpiewie nie ma chyba równej sobie na świecie. Potem gospodarze proponowali gościom czynny współudział w wieczornicy. Wtedy któryś z francuskich pilotów, który przekradał się do armii de Gaulle'a, śpiewał z kolei. Wesoła, pełna werwy piosenka gawroszów paryskich zmieniała od razu nastrój. Przenosiliśmy się myślą do miłych beztroskich czasów przedwojennego Paryża. Potem nam oddawano głos. Wtedy następowała klapa. I ja i Adolf mamy antytalent do śpiewania, a tak się zdarzało, że i nasi koledzy, których przerzucaliśmy na hiszpańską stronę, nie byli w tej dziedzinie bardziej uzdolnieni od nas, dzięki czemu domownicy pozostali przekonani, że Polacy to dziwnie niemuzykalny naród. Raz o mało koncert nie skończył się wsypą. Do drzwi wejściowych ktoś zaczął stukać. Ten kto śpiewał nie przerwał śpiewu, a przemytnik wskazał nam tylko drzwi do drugiej izby — był to umó-

wiony znak, po którym przez strych przedostaliśmy się pod dach stodoły i tam zaszyliśmy się w sianie. Rano dowiedzieliśmy się, że to patrol policji francuskiej i kontrolerzy Gestapo dokonali inspekcji czegoś podejrzewając. Niczego nie odkryli.

W chałupie panował nieustanny ruch. Obserwując go doszliśmy do wniosku, że zawód przemytnika cieszy się niesłusznie złą opinią, w rzeczywistości przyczynia się bowiem do szczęścia bliźnich. A więc: w Hiszpanii jest oliwa, ale ludzie chodzą boso bo brak jest butów, we Francji zaś są jeszcze buty ale nie ma już oliwy. Przemytnik biega po górach, niesie buty Hiszpanom, przynosi oliwę Francuzom. Albo: czerwoni żołnierze hiszpańscy internowani we Francji od paru lat nie widzieli swych żon i kochanek. Przemytnik i tym nie odmawia pomocy: przychodzą do niego z dolin, z Francji, wyposzczeni mężowie, a zza gór, z Hiszpanii, przemytnik doprowadza ich kobiety — i skromne obejście góralskie staje się świątynią amora. Wtedy wieczorny koncert wzbogaca się o nowe hiszpańskie pieśni, w których długo uśpione zmysły przebudzają się z nową siłą. Teraz znów ci lotnicy francuscy, i ci żołnierze polscy, co nigdy nie mają dość wojny, chcą się znaleźć na ziemi brytyjskiej. Nic nie jest temu winien przemytnik, że Hitler przewraca świat do góry nogami, że Sikorski i de Gaulle w Londynie tworzą emigracyjne armie, ale i tym tułającym się chłopcom przychodzi z pomocą.

Jesień była coraz późniejsza. Już nie można było jak dawniej, w gorące południa, przerwawszy marsz górski, odświeżyć się prysznicem pod kaskadą górskiego potoku. Spadły pierwsze śniegi. Adolf podążył do Andorry, by się spotkać z kuzynką przebywającą w Madrycie. Wróciwszy opowiadał, że miejscami brnął po pas w śniegu. Wkrótce i w naszej części Pirenejów spadł śnieg tak wielki, że trzeba było zawiesić działalność przemytniczą aż do wiosny.

Teraz mieliśmy możność pomyśleć o sobie. Pół roku już minęło od upadku Francji, w ciągu których usiłowaliśmy pomóc kolegom. Uznaliśmy, że już czas przyszedł by dołączyć się do polskiego oddziału walczącego. Adolf był bardzo przywiązany do Brygady Podhalańskiej, i rad był znaleźć się w Szkocji w jej szeregach. Mnie ta myśl mniej odpowiadała, byłem przekonany, że to co się z brygady dostało do Szkocji to była jej resztka. W tej sytuacji przyszedł nam z pomocą Graziani, który właśnie rozpoczał niedawno marsz na Egipt, zajął już pograniczne Solum i Sidi Barani. Wiedzieliśmy, że w kwietniu 1940 r. w Syrii powstała brygada polska, pod nazwą Brygady Karpackiej, pod dowództwem pułkownika Kopańskiego, i że po armistycjum francuskim przeszła do Palestyny. Powstać miała z żołnierzy internowanych w Rumunii i na Węgrzech. Tu właśnie był dla nas punkt niejasny. Czy dołączyła do niej dostateczna ilość żołnierzy, czy nie jest to przypadkiem jakaś legia oficerska? Bliski Wschód nas ciągnął. Egzotyzm świata arabskiego działał swym urokiem. Kupiłem egzemplarz wspomnień pułkownika Lawrence, Adolf coraz częściej deklamował Dumę o Emirze Rzewuskim. Pojechałem do Marsylii by rozpatrzeć możliwości podróży na Bliski Wschód. Adolf został w Pirenejach, zajęty likwidowaniem naszej działalności, w razie znalezienia możliwości wyjazdowych miałem go sprowadzić telegraficznie.

Marsylia była od szeregu miesięcy jednym z najpoważniejszych ośrodków nielegalnych wyjazdów z Francji. Po kapitulacji każdy kto chciał się znaleźć za granicą kierował się albo do Perpignan, nad granicę hiszpańską, albo do Marsylii. W Perpignan

skupiła się elita bogatego żydostwa Europy, uciekająca przed łapą Hitlera kolejno z Austrii do Czech, z Czech do Polski znalazłszy czasowy przytułek w Holandii, Belgii i Francji, zawiedziona wszędzie, widziała obecnie jedyne bezpieczne schronienie w Ameryce, tam też pragnęli się dostać. Przypuszczałem, że w tym środowisku żydowskim natrafię na jakieś drogi do Palestyny. Zawiodłem się, Palestynę uważano za bardzo zagrożoną. Tym bardziej perspektywy jazdy na Wschód wydały mi się interesujące. Polacy kierowali się głównie do Marsylii, ciągnęła ich zapewne nadzieja że z tego największego portu Francji będzie można wyjechać drogą morską. Policja francuska zdając sobie sprawę z masowego napływu cudzoziemców do tego miasta obstawiła wyjście z dworca już w lipcu i odtąd bezustannie kontrolowała dowody osobiste wszystkich przybywających. Wydawało się, że żaden niepożądany turysta przez to policyjne ucho igielne nie przedostanie się do Marsylii. W istocie nie było tak źle. Doświadczeni Polacy wysiadłszy z rannego pociągu udawali się do restauracji pierwszej klasy by z miną solidnych burżujów wypić filiżankę herbaty. Następnie tylnym przejściem kierowali się do hotelu kolejowego. Tam zapytywali portiera czy ma wolny pokój, którego nigdy nie było, po czym z hallu hotelowego udawali się na miasto.

W Marsylii z jedzeniem było już ciężko, ale w znanej nam restauracyjce w Starym Porcie można było dostać białą kawę z mlekiem, chleb, ser, cukier, jednym słowem nieosiągalne wówczas gdzie indziej specjały. Przywozili je główni klienci tej garkuchni — marynarze, (przeważnie Murzyni), Korsykanie i Indochińczycy. Przychodzili i Czesi. Spotkałem tam też kiedyś żołnierza angielskiego, który uciekł właśnie z obozu jeńców w Prusach Wschodnich, doznawszy po drodze pomocy ludności polskiej. Pułk jego był od lat stacjonowany w Egipcie i na odznace pułkowej którą nosił w kieszeni miał rzeczywiście napisane „Egypt".

Po śniadaniu szło się przed konsulat Polski. Do konsulatu samego wejść było trudno, ponieważ znajdujący się tam obecnie „Urząd Polski" z trudem tolerowany przez komisję armistycyjną niemiecko-włoska, bał się klientów o wyglądzie zdemobilizowanych żołnierzy. Najwięcej na tym tracili byli emeszetowcy, którym Ministerstwo nie wypłacało poborów, a Hiszpanie i Francuzi nie respektowali paszportów. Teraz rodacy im odmawiali ostatniego przywileju, by około południa zajść do miejscowej placówki na tradycyjne plotki w kuluarach. Tym rojniej było na placyku pod konsulatem, gdzie pod kasztanami mieściła się duża kawiarnia, giełda wszelkich wiadomości politycznych, militarnych, personalnych i wyjazdowych. Tu można było się dowiedzieć że konsulat peruwiański zaczął wydawać wizy, że granica hiszpańska po raz dwudziesty znów została zamknięta, że jednak gubernator prowincji Saragossa jeszcze o tym nie wie, wskutek czego wąskotorówką i autobusem można jeszcze przejechać w Luchon. Tu dowiadywaliśmy się, że porucznik X wyjechał za litewskim paszportem, uroczyście przyjmowany na granicy hiszpańskiej, jako obywatel kraju dręczonego przez czerwoną Rosję, że kapitan Y wpadł i siedzi w kryminale w Oranie, że grupa szeregowych nadesłała pocztówki z Portugalii, że podchorąży Z przybył właśnie z niewoli niemieckiej, że pracował na poczcie polowej, że wybił stempel pocztowy na kartce papieru i zrobił z tego przepustkę, że dwóch cenzusowców wyrwało właśnie ze Szwajcarii. Wojskowi trzymali się przeważnie razem, osobno podhalanie, osobno maczkowcy, osobno pierwsza dywizja. Baliśmy się bowiem prowoka-

torów i zasadą było że rozmawia się tylko z dawnymi znajomymi. Spotykało się tu i cywili. Dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego uczony światowej sławy, żądał ode mnie jako od swego ucznia, abym mu pomógł w wyjeździe do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma zapewnione możliwości pracy naukowej. Spotkać można było Ignacego Matuszewskiego i Kazimierza Wierzyńskiego, wybierających się również do Ameryki. Gnębiony przez Kwiatkowskiego podatkami za krytykę w parlamencie senator Heiman-Jarecki wybierał się do Manchesteru. W tym zakątku wielkiej Marsylii w r. 1940 można się było czuć jak w Warszawie.

W listopadzie już nie było tak rojno i gwarno jak w lecie. Część naszych już wyjechała do Anglii, niektórzy na Hiszpanię, inni, jak generał Maczek (w fezie, jako zdemobilizowany marokańczyk) przez Afrykę Północną. Gestapo coraz bardziej wchodziło w życie Francji. Wielu kolegów wobec wyczerpania się gotówki a nieudania się wypraw na Afrykę bądź Hiszpanię, odpoczywało na francuskim łaskawym chlebie w jednym z dwu obozów założonych dla wojskowych polskich, nabierając sił do nowych wycieczek. Przybywszy do Marsylii zająłem się energicznie badaniem możliwości wyjazdowych na Średni Wschód.

Dwie drogi były do wyboru: lądem i morzem. Możliwości drogi lądowej były rozmaite. Więc można było udać się do Szwajcarii, tam ukryć się pod wagonem ekspresu Berno-Belgrad i tą drogą przejechać do Jugosławii. Niestety późna jesień czyniła perspektywę przejazdu w ten sposób przez Alpy mało zachęcającą. Można było próbować szczęścia kierując się bezpośrednio na Włochy. Kilku naszych właśnie wróciło przesiedziawszy parę tygodni w więzieniu mediolańskim. Policja włoska nie okazała się nawet najgorsza. W pociągach mało kontrolowano. Wreszcie pozostawała droga morska. Po kilku dniach wędrówek po porcie i rozmowach z marynarzami i armatorami, Żydami, Czechami, Egipcjanami (kilkuset studentów tej narodowości których wojna zaskoczyła w Europie od paru miesięcy starało się o powrót do ojczyzny), degaulistami, poznałem możliwości w tej dziedzinie. Mniej więcej raz w miesiącu odchodził z Marsylii statek do Bejrutu. Przewoził w obie strony zdemobilizowanych żołnierzy. Cywilni pasażerowie musieli otrzymać wizę wyjazdową od komisji armistycyjnej niemiecko-włoskiej. Statek o nazwie „Athos II" wypłynąć miał za tydzień. Z tych elementów decyzja wynikała sama przez się: należy jechać „Athosem", jako pasażerowie na gapę. Zadepeszowałem do Adolfa umówionym szyfrem, a sam rozpocząłem poszukiwania za kontaktami z marynarzami z „Athosa".

Gdy się przechodziło wieczorem przez Canebière (marsylska Marszałkowska) spotkać można było zawsze olbrzymiego wzrostu Murzyna. Trudnił się on sprzedażą kobiet i paszportów. Miał do dyspozycji paszporty abisyńskie, albańskie, panamskie. Miał do odstąpienia Murzynki, Mulatki, Syjamki. Kobiety były tańsze, paszporty droższe. To był jeden solidny kontakt. Niestety zawiódł. Nie znał nikogo z „Athosa". Natomiast gotów był sprzedać Malajkę.

Trzeba było zatem ruszyć samemu na poszukiwania do Vieux Port. Stary Port była to urocza część Marsylii. Dawniej, przed laty był to właściwy port handlowy. W r. 1940 stały tam już tylko uwiązane jachty sportowe i łodzie rybaków. Stare kamienice otaczały zatoczkę, u wylotu której, na pełnym morzu, wznosił się na skale zamek d'If, w którym ongiś był więziony przyszły król polski. Nad brzegiem zatoczki stały stragany przekupni sprze-

dających ostrygi, ociekające jeszcze wodą morską. W okresie ograniczeń żywnościowych dobrze robiło przed obiadem zjeść ich tuzin. Im dalej od morza a bliżej wchodziło się w głąb kamienic, tym więcej w nocy widziało się czerwonych latarń. To zaczynała się dzielnica knajp i domów publicznych największego portu Francji. Policja unikała tu wstępu. To był świat rzezimieszków, królestwo mętów wielkiego portu. Tak jak w więzieniach lwowskich w 1940 r. spotkały się dwa różne światy: zawodowych złodziei oraz oficerów, sędziów i księży, tak i marsylski Stary Port ujrzał po upadku Francji nową klasę przybyszów. Oficerów polskich, holenderskich, brytyjskich, belgijskich, spiskowców degaulowskich, agentów piątej kolumny sprzymierzonych. Wolna, niechcąca uznać nowego hitlerowskiego „ładu" Europa — tu się schroniła.

Wkrótce wszedłem w kontakt z marynarzami z „Athosa". Niestety nie wykazywali zainteresowania do przemytu ludzi. Robili znakomite interesa na przemycie walut, wykorzystując 50-procentową różnicę kursu dolara między Marsylią a Beyrutem. Przemyt ludzi był znacznie kłopotliwszym i znacznie bardziej niebezpiecznym interesem. Policja zaostrzyła kontrolę, w razie wpadki groziła nie tylko surowa kara ale i utrata tak intratnego zajęcia. Szukałem nadal. Otrzymałem adresy właśnie dwu barów, gdzie miał przebywać niejaki „Charles", o którym już kilkakrotnie mi wspominano, że mógłby się podjąć przeprowadzenia tak ryzykownej tranzakcji. Właśnie nadjechał Adolf. On wziął na siebie rozpoznanie jednego baru, ja drugiego. W mym barze Charlesa nie było. Wróciłem zły na miejsce spotkania. Adolf nadszedł uradowany. Charlesa znalazł, okazał się on skłonnym przemycenia nas do Beyrutu.

Udaliśmy się na ostateczną konferencję. Charles siedział za stołem szynku i popijał aperitifa. Był to silnie zbudowany ciemny brunet. Wyraz twarzy miał energiczny, oczy sprytne, przebiegłe. Z zachowania jego bił autorytet, dlatego też zapewne właściciel baru podał nam aperitify z wyjątkową usłużnością. Widocznie miał w swoim fachu równorzędne stanowisko z pułkownikiem i dyrektorem. Obserwowałem go uważnie. Musiałem znaleźć odpowiedź na dwa pytania. Pierwsze, czy nie zamierza nas po prostu okraść, a potem wystrychnąć na dudków, w ostatniej chwili, już na statku, oddać policji, lub wrzucić do morza — i takie wypadki były znane w kronikach niepisanych nielegalnej ewakuacji. Zerwawszy stosunki ze światem praworządnym, postępując wbrew prawu, mając przeciw sobie policję i sądy, mieliśmy jako obronę tylko siłę własnych mięśni i umysłu. Po drugie, należało wiedzieć, czy nasz partner jest na tyle rozsądny i energiczny, aby wykonać zadanie, którego się podejmuje.

— Ty lepiej wyglądasz od swego przyjaciela.

Gdy nie rozumiałem co ma na myśli, wyjaśnił:

— On wygląda na Anglika. Ty jesteś czarny i możesz ujść za Francuza. On może łatwiej podpaść, gdy będzie robił z siebie marynarza.

Przystapiliśmy do omawiania szczegółów interesu. Zaczęliśmy od ceny. Charles zażądał 7 tysięcy franków od głowy (odpowiadało to około 70 dolarom). Wyraziliśmy zgodę na tę kwotę, stawiając natomiast warunki odnośnie terminów jej uiszczenia. I tak zaproponowaliśmy, że pół jej zapłacimy w godzinę po wyruszeniu statku z portu, a drugą połowę po opuszczeniu statku i portu, znalazłszy się w mieście Beyrucie. Wyjaśniliśmy, że jesteśmy oficerami, że posiadamy potrzebne pieniądze, że możemy je okazać

przed wejściem na statek, że nie zamierzamy go nabrać, ale że z drugiej strony musimy być ostrożni specjalnie jeśli idzie o pieniądze, gdyż przedstawiają one dla nas ostatnią możliwość opuszczenia Francji, że niestety wielu naszych kolegów, którzy zaufali marynarzom, dostało się do więzienia a co gorsza stracili swą gotówkę. Dodałem, że jeśli wierzy w możliwość dostawienia nas do Beyrutu, to kwestia terminu zapłaty nie powinna dlań odgrywać roli. Charles się skrzywił ale wyraził zgodę.

Do odpłynięcia statku było jeszcze kilka dni czasu. Teraz, gdy wszystko do wyjazdu mieliśmy już załatwione — wyjazdy zagraniczne na zielono mają tę dobrą stronę że nie wymagają formalności paszportowych, wizowych, dewizowych — obawialiśmy się tylko jednego. Aby w ostatniej chwili nie wpaść w ręce policji Francuskiej, władze bezpieczeństwa bowiem nieustannie urządzały łapanki, wzorem niemieckim. Nagle w biały dzień zamykały ulice i przeglądały dokumenty wszystkich obecnych, aresztując cudzoziemców, nie mających kart pobytu w porządku. Myśmy do nich należeli, ponieważ wyznaczonym nam miejscem pobytu był obóz internowanych. Przy naszej znajomości języka francuskiego, tępocie urzędniczej, i sprzyjaniu nam pewnego procentu administracji po tygodniu w najgorszym razie wychodziło się na wolność, ale w tym wypadku mogło to oznaczać utratę statku. A tu jak na złość obwieszczono uroczyste odwiedziny Marsylii przez marszałka Pétaina. Zaraz przewidziałem co to oznacza: zaostrzenie kontroli, nocne łapanki po hotelach. Mieszkaliśmy z Adolfem w małym hoteliku w śródmieściu. Punkt był wyjątkowo niebezpieczny. Wobec tego wsiedliśmy w tramwaj jadący brzegiem morza, bulwarem, tak zwaną „corniche", aż za miasto. Tam wybraliśmy najdalej położony hotel, starą ruderę, zamieszkałą przez stałych rezydentów, uciekinierów z Alzacji i wynajęliśmy pokój. Ostrożność ta okazała się usprawiedliwioną. Dwa dni później zwróciły naszą uwagę dwa duże statki zakotwiczone w zatoce z dala od portu. Co się okazało? Osadzono na nich kilka tysięcy zaaresztowanych z okazji przyjazdu marszałka Pétaina. Tak czasem uroczyste przyjazdy głów państw odbijają się na losach pewnej części ludności.

Prowadziliśmy zatem spokojny tryb życia, czytając całymi dniami książki. Cieszyliśmy się myślą, że jeśli dobrze pójdzie, to niezadługo zerwiemy z naszym obecnym życiem w stałej niezgodzie z prawem. Zaczynaliśmy już mieć dość ciągłej ucieczki przed policją, stałej perspektywy więzienia, stosunków z opryszkami spod najciemniejszej gwiazdy, których wymagała niestety nasza działalność nielegalnej ewakuacji. Do miasta udawaliśmy się rzadko, niemal wyłącznie dla spotkań z Charlesem. Unikaliśmy masowych pożegnań. Dotychczas bowiem ci którzy się najgłośniej żegnali, po pewnym czasie ukazywali się znów na bruku marsylskim, straciwszy nieco czasu w kryminale, co więcej pieniądze, i narażając się oczywiście na kpiny kolegów. Mimo wszystko bowiem sytuację brało się zwykle od wesołej strony, i nasze rozgrywki z policją francuską, hiszpańską, orańską i algierską uważaliśmy za pewnego rodzaju zawody sportowe.

Wreszcie któregoś dnia Charles powiedział: „Dziś wieczorem". I dodał:

— Na głowach macie mieć czapki lub berety. Tylko nie kapelusze. No i żadnych rzeczy, żadnej teczki, żadnej walizki, żadnego pakunku. Będziecie grać marynarzy wracających z miasta

na statek po fajrancie. Dostaniecie legitymacje, które okażecie przy wejściu przez bramę do portu i na statek.

Wyznaczył nam spotkanie w szynku opodal bramy wejściowej do portu o godzinie siódmej wieczorem.

Charles i Adolf zjawili się tam pierwsi. Jacyś marynarze przysiedli się do stolika. Charles poszeptał z nimi, odszedł, potem wyszedł z knajpy, wrócił, i ze smutną miną powiedział:

— Dziś nic się nie da zrobić.

— Dlaczego?

— Byłem pod bramą. Dyżur jest dziś niedobry. Policjanci dokładnie sprawdzają fotografie na legitymacjach. Nikt z naszych chłopców nie chce ryzykować i pożyczyć swą legitymację. Trzeba odłożyć całą sprawę do jutra.

— A kiedy statek odjeżdża?

— Jutro w południe.

Nie potrzebowaliśmy się naradzać z Adolfem. Jasne było, że marynarze mają pietra, a jutro w biały dzień mieć będą jeszcze większego. O ile dziś w nocy nie dostaniemy się na statek, to cała nasza wyprawa weźmie w łeb. Trzeba było przejąć w swoje ręce inicjatywę.

— No dobrze, ale jeśli dostaniemy się do portu o własnych siłach, to pomożecie nam dostać się na statek?

— Owszem. Ale jak wejdziecie za bramę?

— To już nasza rzecz, coś wymyślimy. Ale jak ciebie potem spotkamy?

— Będę czekał sto kroków za bramą. W ciemnościach policja nas tam z bramy nie dojrzy.

Uregulowaliśmy rachunek i wyszliśmy na ulicę. Przeszliśmy obok bramy, zerknąwszy z ukosa na policjantów. Wcale nie wyglądali groźnie, to tylko marynarzy w ostatniej chwili obleciał strach. Minęliśmy bramę od ulicy. Sztachety były wysokie na cztery metry. Nie najłatwiejsze do przejścia. Co gorsza, nie było zupełnie ciemno, co kilkadziesiąt metrów oświetlały ulicę latarnie. Również ruch samochodów był dość duży. Adolf chciał ryzykować przeprawę. Byłem przeciwnego zdania. Lepiej się nie śpieszyć. Mamy czas. Po przejściu pół kilometra zbliżyliśmy się do następnej bramy. Przystanęliśmy i ukryci w cieniu zaczęliśmy obserwować co się w niej dzieje. Stało tam kilku ludzi w mundurach, zapewne policjanci i celnicy. Po paru minutach posłyszeliśmy miarowy tupot nóg po chodniku. Nodchodziło dwu ludzi. Skręcili w bramę. Z grupy policjantów padło zapytanie: „Ou ça?". „Athos" burknęli przechodzący nie zatrzymując się. Przeszli. Spojrzeliśmy na siebie. Kontrola tu nie była groźna. Potrzeba tylko trochę śmiałości i szczęścia. Adolf mnie trącił: „Idziemy!" Coś mnie ścisnęło w dołku, coś jakby ugięło kolana, przeleciała mi przez głowę historia kapitana, którego skutego prowadziła policja z portu. Nieprzyjemnie byłoby po tylu wysiłkach wpaść w ostatniej chwili. Ale nie ma rady, trzeba wyprawę postawić na jedną kartę. Poszliśmy. Zaczęliśmy iść szybko, jak spóźnieni przepustkarze. Weszliśmy w bramę. Szliśmy jej środkiem, by nie być zbyt blisko policjantów. Gdy mijaliśmy ich padło od nich pytanie: „Ou ça?" Huknęliśmy razem: „Athos!" i poszliśmy dalej. Skóra na mnie cierpła przez trzy następne sekundy: zawrócą nas czy nie zawrócą? Posłyszeliśmy jak jeden głos tonem pytającym powiedział „Athos?", na co drugi odpowiedział „Oui, Athos deux", a trzeci dodał „Oui, c'est cela" i więcej się nami nie zajęli. Odetchnęliśmy. Wydało się nam że już jedną nogą jesteśmy w Syrii.

Po kwadransie chodzenia po ciemnym placu portowym miny nam zrzedły. Charlesa nie było. Zapadł się jak kamień w wodę. Próżno chodziliśmy tam i nazad w odległości stu kroków od pierwszej bramy, w umówionym miejscu. Nasza obecność mogła się wydać podejrzaną przechodzącym tędy. Mijał jeden kwadrans za drugim a Charlesa ani śladu. Minęło już półtorej godziny. „Może się urżnął w knajpie, i może spędza ostatnią noc na mieście, nie wróci przed ranem?", snuliśmy przypuszczenia. Może pomylił się, zapomniał, może czeka przed statkiem? Postanowiliśmy odszukać „Athosa" i przed nim czekać na Charlesa, to nam da jedynie gwarancję, że się z nim nie rozminiemy gdy wróci z miasta. Poszliśmy w stronę morza. Zagadnęliśmy marynarzy Indochińczyków, malutkiego wzrostu, wyglądających niegroźnie. Ci nam wyjaśnili gdzie jest przycumowany „Athos". Niezadługo dostrzegliśmy go. Był na wpół oświecony. Wyglądał wspaniale. Po prostu olbrzym. Był ze dwa razy większy od „Batorego". Musiał mieć ze 30 tysięcy ton. Z wnętrza statku dolatywał charakterystyczny warkot motoru — to elektrownia i chłodnie pracują. Z mola na pokład prowadził mostek. Na dole nikogo przy nim nie było. Na pokładzie jednak, wysoko, słychać było rozmowę. Może tam był wartownik. Obok statku stały jakieś skrzynie, wory. Pewnie jutro je załadują. Od strony lądu zaświeciły w ciemności przyćmione reflektory wozu. Stanęliśmy za jakimś węgłem. Wóz nadjechał, zatrzymał się koło mostku. Taksówka. W środku mężczyzna, kobieta, bagaże. Ze statku zeszło dwu marynarzy, wzięło rzeczy. Mężczyzna zapłacił taksówkę, wszyscy poszli na górę, weszli na pokład. Pasażerowie. Szczęśliwi posiadacze paszportów i wiz. Zapewne wchodzą już do kabiny pierwszej klasy. Wiem jak to wygląda, do Norwegii i z Norwegii jakże niedawno jechało się taką kabiną. Biała pościel, puszyste materace, lustrzana łazienka, uśmiechnięty steward proponuje czy nie przynieść czegoś do picia. A my tu w jednym ubraniu, głodni, spragnieni, z perspektywą spędzenia grudniowej nocy nad chłodnym morzem, obawiając się każdego przechodnia, drżąc na widok policjanta, niepewni jutra. Zazdrość odezwała się we mnie w stosunku do tego boguducha winnego pasażera.

Co robić? Trzeba będzie czekać koło statku do rana. Nie warto stać we dwójkę. Będziemy pełnić służbę na zmianę, jeden zaś będzie spał, ułoży się między workami, przykryje brezentem. Tymczasem ktoś nadchodzi od lądu. Marynarz. Podchodzi do mostku, ale nie wchodzi na statek. Przechadza się po molu. Obserwuje nas. My jego. Adolf jest zdania że trzeba zaryzykować i zapytać czy zna Charlesa, może pomoże nam go odnaleźć. Podchodzi do niego. Nieznajomy rozgląda się niespokojnie na wszystkie strony i mówi:

— Tak, to ja jestem, przyszedłem po was. Leon kazał mi was wprowadzić na statek. Zaraz pójdziemy, Leon przyjdzie potem. Zaraz pójdziemy. Tam będzie wartownik, tak wartownik. Powie wam „salut". Odpowiecie „salut" i pójdziecie za mną. Bez zatrzymywania. Powiecie „salut". I pójdziecie za mną. Nic więcej.

Nieznajomy mówi szybko, jąka się, jest zdenerwowany lub nerwowy od urodzenia. Mówi coś o jakimś Leonie. Ale nie szkodzi, może się przesłyszałem. Grunt, że wprowadzi nas na statek. Pierwszy mostkiem idzie na górę. My za nim. Wchodzimy na pokład. Na krzesełku u wejścia siedzi wartownik ubrany w kożuch. Nasz towarzysz wita go słowem „salut" i przechodzi. My powtarzamy „salut" i mijamy go również. Wartownik jest za-

spany i odpowiada ziewnięciem. Wchodzimy do wnętrza statku. Idziemy długim korytarzem. Schodzimy westibulem w dół. Migają nam się drzwi do salonu, w nim luksusowe, miękkie fotele. Tym razem nie będą dla nas. Schodzimy coraż niżej. Zeszliśmy już z sześć pokładów. Idziemy szybko wąskimi, brudnymi korytarzykami. Jest gorąco i zaduch, nie tak jak na górze, gdzie było chłodno, dokąd dochodziło świeże morskie powietrze. Parę zakrętów i nasz towarzysz otwiera jakieś drzwi. Jesteśmy w kabinie. W kabinie marynarskiej. Jest ciasno, są trzy brudne prycze. W ogóle cała kabina jest brudna. Jest duszno. Ale grunt, że jesteśmy na statku. Siadam na pryczy i myślę z radością, że jednak dostaliśmy się na ten statek. Jesteśmy spragnieni, pytam czy nie można dostać wody. Nasz towarzysz wychodzi i wkrótce wraca z karafką wina. Hurra! I pyta czy nie jesteśmy głodni. Oczywiście jesteśmy. Po chwili wraca z półmiskiem na którym jest zimne mięso i rozmaite sałaty. Zajadamy z apetytem. Stwierdzamy z radością że kuchnia na statku jest znacznie lepsza aniżeli w hoteliku marsylskim. Po czym nieznajomy mówi:

— Teraz możecie się kłaść spać. Na tych pryczach. Leon powiedział że możecie tu spać. Sam wróci później.

Któż to jest do diaska ten Leon, i czy będzie zadowolony, gdy znajdzie nas w swej kabinie? Ale grunt się przespać gdy można, zwłaszcza po wypiciu karafki wina. Gotówka jest zaszyta w bieliźnie, mogę spać spokojnie, nieznajomy nas nie okradnie, chyba z tych 1000 franków, które mam w portfelu. Prześcieradła i poduszka są szare od brudu. Na szczęście na sobie, pod ubraniem mamy piżamy, z tymi nie chcieliśmy się rozstawać. Będzie można się rozebrać. Po chwili już na pryczy. Zamykam oczy. Słyszę miarowy huk maszyn. Powoli zapominam gdzie jestem. Wydaje mi się że nie ma wojny, że leżę w kabinie luksusowego transatlantyku, że jutro w promiennym słońcu będziemy leżakować na pokładzie. Wino robi swoje. Maszyny coraz ciszej huczą. Zasypiam.

* * *

Z rana ktoś mnie brutalnie zbudził ciągnąc za ramię. Nade mną stał Charles i wczorajszy nieznajomy. To po prostu Charles był tym Leonem. Widocznie używa dwu różnych imion. Kazał nam się szybko ubierać. Spojrzałem na zegarek, była szósta.

— Jean — wskazał na naszego wczorajszego opiekuna — zaprowadzi was do maszynowni. Tam przeleżycie ukryci aż do wypłynięcia z portu. Dziś niebezpieczny dzień. Komisja niemiecko-włoska będzie rewidować statek.

Wąskimi, brudnymi korytarzami szliśmy szybkim krokiem za Jeanem. Warkot motoru stawał się coraz głośniejszy. Żelazną drabinką zeszliśmy w dół. Znaleźliśmy się przy ogromnych cielskach maszyn. Wielotonowe stalowe potwory miarowym rytmem poruszały jakieś ogromne koła, pasy transmisje, dźwignie. Huk wydawały potężny. To było serce wielkiego statku. Jean prowadził nas wzdłuż maszyn. Kilku czarnych ludzi w brudnych fartuchach kręciło się z oliwiarkami w rękach. Nie zwrócili na nas uwagi. Jean czuł się tu pewnie jak u siebie w domu. W pewnej chwili skręcił w bok. Zatrzymał się. W miejscu tym od ściany oddzielała nas żelazna balustrada, za nią kończyła się podłoga, między jej końcem a ścianą była półmetrowa szczelina. Jean przekroczył balustradę, zagłębił się w szczelinie, znikł pod podłogą. Poszliśmy jego śladem. Okazało się, że jakieś pół metra pod żelazną podłogą maszynowni znajduje się druga, właściwa. Przestrzeń między nimi nie była pusta. W ciemności dostrzegaliśmy

jakieś rury, biegnące wzdłuż i wszerz, cały labirynt rur, rozciągający się widocznie pod całą ogromną maszynownią. Oczywiście było to znakomite miejsce dla ukrycia się.

— Podpełznijcie stąd jakieś 10 kroków — tu wskazał nam Jean kierunek ręką. Leżcie cicho, nie odzywajcie się, gdyby ktoś wołał. Wieczorem przyniosę wam coś do jedzenia.

Zaczęliśmy się czołgać we wskazanym kierunku.

Po sześciomiesięcznych ograniczeniach żywnościowych i wycieczkach górskich, byliśmy na szczęście odpowiednio chudzi by przeczołgać się przez te wąskie szczeliny. Z radością myślałem, że dobrze odżywiony Niemiec z komisji armistycyjnej nie będzie mógł przejść naszym śladem. Zresztą brud by go odstraszył. Podłoga była lepka, pokryta jakąś cuchnącą mazią. Na szczęście przewidujący Charles dał nam rano kombinezony monterskie.

Wreszcie dobrnęliśmy do miejsca oddzielonego rurami ze wszystkich stron, i tam założyliśmy legowisko. Powoli przywykliśmy rozróżniać kanty rur i podłogi. Poza tym nic nie było widać. Również niczego nie było słychać prócz huku motorów nad nami. Dzięki temu nie mogliśmy urozmaicić sobie czasu rozmową. Zapachy były obrzydliwe. Doszedłem do smutnego wniosku, że ustęp mechaników znajduje się w najbliższym sąsiedztwie. Mokra podłoga była zimna, natomiast od góry biło powietrze duszne, gorące. Po kilkunastu godzinach członki nam zesztywniały od bezruchu. Czułem dotkliwy głód. Już około dwudziestu godzin nie jadłem i nie piłem. Niecierpliwie spoglądałem na zegarek. Nafosforowane wskazówki posuwały się naprzód w przeraźliwie wolnym tempie. Nuda siedzenia tyle godzin w ciemności, smrodzie, wilgoci, na głodno i w niewygodnej pozycji była okropna. Jedynym sposobem podniesienia siebie na duchu było zdanie sobie sprawy, że już za parę godzin statek wypłynie na pełne morze, że wieźć mię będzie z pod okupacji niemieckiej do wolności, że wszyscy moi koledzy przebywający w Marsylii lub w obozach internowanych, z jakąż radością zmieniliby się ze mną, chętnie siedzieliby w tych ciemnościach, smrodzie, wilgoci, zaduchu. Od czasu do czasu wsłuchiwałem się w huk motorów mając złudzenie, że śruby okrętowe zostały puszczone w ruch. Stukałem wtedy w bok Adolfa.

Minął wieczór, minęła północ, a ani Leon ani jego adiutant się nie pokazali. Głód, smród, ciemność i huk wreszcie nas uśpiły. Obudziło nas stukanie w rury i wołanie. Był to Jean. Dochodziła godzina piąta rano. Dał nam znak do wyczołgania się. Po chwili szliśmy za nim szybkim krokiem wzdłuż maszyn, potem drapaliśmy się drabinką żelazną, potem szliśmy znów korytarzem, aż zniknęliśmy w kabinie, z której wyszliśmy wczoraj rano. Jean był w dobrym humorze. Zapytał:

— No jak się czujecie?

— Fatalnie. Ale gdzie jest statek?

— Wypłynęliśmy o północy, rano będziemy na wysokości Korsyki.

Ta wiadomość podniosła nas na duchu. Wobec czego oświadczyłem Jeanowi, że muszę się zaraz wykąpać. Nie umyć w misce wody ale wykąpać, cały od stóp do głów. Jean poprowadził nas bocznym korytarzem do pokoju z prysznicami. W gorącej wodzie kąpiel była rozkoszna. Potem dobry Jean przyniósł nam śniadanie jakiegośmy dawno nie jedli: kawę z mlekiem i cukrem, chleb, gorące danie mięsne, pomarańcze. Marynarze widocznie w bród mieli wszystkiego.

Przez otwarte okno kabiny wchodziły pierwsze promienie rannego słońca. Był dzień 5-grudnia. Wypadało zapamiętać tę historyczną datę. Świeże morskie powietrze wdychaliśmy pełną piersią. Oceniało się ozon Śródziemnego morza. Po 24 godzinach spędzonych pod podłogą maszynowni.

* * *

Nadszedł Leon i wydał następujące despozycje. Adolf zostanie w kabinie i będzie spał na jednej z prycz. Ja przejdę do sąsiedniej kabiny. Mam cały czas aż do Beyrutu leżeć w łóżku. W kabinie bowiem mieszka 12 marynarzy i należy być ostrożnym. Na posiłki tylko będą mnie wyprowadzać do Adolfa. Adiutant Jean zaprowadził mnie z zachowaniem ostrożności, przypominających film detektywistyczny, do tej kabiny i ulokował na piętrowym łóżku, szczelnie przysłaniając firanką łóżko. Zaraz stwierdziłem, że Adolf będzie w czasie tej podróży grubo wygrany. Na sąsiednich łóżkach dzień i noc bez przerwy spało co najmniej czterech marynarzy odpoczywając po służbie i wydając raczej niemiłe zapachy i odgłosy. Okienka kabiny z zasady się nie otwierało całą drogę.

W tych warunkach ośmiodniowa podróż do Beyrutu nie przypominała przedwojennych wycieczek statkami Galu „do fiordów Norwegii" lub „po słońce południa". Spędzanie dwudziestu trzech godzin w łóżku i w zaduchu było przeraźliwie nudne. Zdołaliśmy wziąć na drogę zaledwie dwie czy trzy książki, między innymi życiorys Byrona, mając nadzieję że i my dobrniemy na front grecki jego śladem. Próżno przeciągałem jak mogłem posiłki w kabinie Adolfa. Jean był nieubłagany, skracał ich czas do minimum, ze strachu przed wszechpotężnym Leonem. Doszliśmy do wniosku, że Leon jest bardzo rozsądnym przedsiębiorcą. On kierował cały czas naszym losem, ale sam się nie narażał. N.p. spał w swoim własnym łóżku, a dla nas wynajął łóżka u swych dwu kamratów. Leon sam nigdy nie przynosił nam posiłków.

Z rozmów z marynarzami mieszkającymi z Adolfem dowiedzieliśmy się, że niemal wszyscy marynarze są Korsykaninami, że nienawidzą Włochów, że oficerowie ich się obawiają i dlatego wolą nie schodzić do kabin marynarskich na kontrolę, i dlatego możemy się tu czuć względnie bezpiecznie. Jasnym było, że wszyscy ci marynarze stanowią jedną solidarną korsykańską bandę, i że Leon zajmuje w niej mocną pozycję. Byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy się pod opieką tak poważnej w tym świecie osobistości.

Drugiego dnia podróży, około południa, przepływaliśmy cieśninę Messyńską. Przez okno kabiny widać było brzeg Sycylii o parę kilometrów od nas. Ogromne, pokryte zielonym lasem góry skąpane w promiennym południowym słońcu, jakiż stanowiły kontrast z ciemną, mglistą o tej porze roku Marsylią. Nie spodziewaliśmy się wówczas, że przez te zielone góry Sycilii pójdzie kilka lat później ofensywa armii sprzymierzonych z Egiptu, do której właśnie byliśmy w trakcie dołączania.

10-go grudnia przyszedł Leon i obwieścił radosną wiadomość. Armia brytyjska odniosła wielkie zwycięstwo nad Włochami pod Sidi Barani, wzięła 10 tysięcy jeńców w tym kilku generałów. Nie chcieliśmy wierzyć. Takimi bujdami karmili nas rozmaici Umiastowscy od początku tej wojny. Czy możliwe, aby fala powodzeń miała się odwracać? Czy Graziani uderzył i poniósł klęskę? Nie uważaliśmy bowiem za możliwe, aby Brytyjczycy sami zaatakowali armię Grazianiego, która była przecież znacznie silniejsza. Jednak na drugi dzień radio potwierdziło tę wia-

domość, liczba jeńców miała już dojść do 20-tu tysięcy. Wiadomości z frontu greckiego były również wyjątkowo pomyślne. Dzielni Grecy tłukli Włochów co się zowie, nie tylko nie cofali się ale wkraczali już do Albanii. Korsykanie byli zachwyceni. My zaczęliśmy się obawiać, czy te zwycięstwa brytyjskie nie idą za szybko i czy nie przyjedziemy na Średni Wschód za późno. Pocieszaliśmy się myślą, że jeśli Włosi poniosą klęskę w Afryce i Grecji to przyjdą im w pomoc Niemcy i wojna dopiero wtedy rozpocznie się na dobre.

Gdy zbliżaliśmy się do Syrii, Jean zaraportował, że samolot brytyjski przeleciał nad statkiem, sprawdził kto płynie i odjechał. Może nam sprowadzi jakiś okręt wojenny brytyjski, na który możnaby się przesiąść i w ten sposób kontynuować dalszą podróż. Ostatecznie Syria była również pod władzą komisyj armistycyjnych.

W nocy z 11-go na 12-ty grudnia „Athos" przypłynął do Bejrutu. Rano zbudziwszy się, nie słyszałem już charakterystycznego hurkotu śrub. Czekałem z niecierpliwością nadejścia Jeana, i jego normalnych tajemniczych gestów, pokazujących że droga do kabiny Adolfa jest wolna. Adolf stał przy oknie. I ja zaraz znalazłem się przy nim. Przed nami roztaczał się wspaniały widok. Staliśmy na redzie, u wejścia do portu. Wokół za to rozciągało się wielkie miasto. Nad tym miastem majestatycznie wznosiły się ogromne góry, pokryte zielonym lasem. Szczyty gór pokryte były białym śniegiem, lśniącym w promieniach słońca. Koloryt widoku był przepiękny. Granat morza przeplatał się z bielą domów, ciemną zielenią palm, pinii i cyprysów, bielą śniegu i błękitem południowego nieba! Kraj uromantyczniony powieściami Lotiego, kraj „kasztelanki Libanu", cedrów Dawida, przedstawił się nam z najbardziej reprezentacyjnej strony.

Staliśmy przy molu dobre parę godzin, gdy wszedł do kabiny Leon. Zadowolony oświadczył, że jesteśmy w Bejrucie i poprosił o ostatnią ratę ceny przejazdu. Wyraziłem zdziwienie, że się o nią upomina teraz, skoro zgodził się w Marsylii że zapłacimy mu ją dopiero znalazłszy się w mieście. Nie nalegał. Powiedział że wyjdziemy na ląd wieczorem, gdy marynarze otrzymają wychodne. Czekaliśmy niecierpliwie do wieczora. Jean przyniósł nam kolację i z tajemniczą miną powiedział że jest niedobrze, że statek obsadziła policja. Potem przyszedł Leon i ze smutkiem oświadczył, że dziś nie da się opuścić statku.

— Przy wyjściu ze statku dyżuruje nie tylko okrętowy wartownik ale i policjant syryjski. Odbiera wychodzącym marynarzom legitymację a na jej miejsce daje specjalne zaświadczenie, po czym po powrocie na statek znów je zamienia. W ten sposób nie mogę was wyprawić do miasta tak jak zamierzałem, t.zn. pożyczyć wam legitymacje marynarskie, którebyście tylko pokazali posterunkowi.

— Co zatem Leonie zrobisz z nami?

— Coś wymyślę, bądźcie spokojni. W każdym razie musicie przenocować na statku do jutra.

W bardzo złych humorach położyliśmy się spać. Na drugi dzień wstaliśmy nie w lepszych. Nie cieszyło nas już śniadanie. Nie cieszył przepiękny widok jaki roztaczał się przez okno. Dość mieliśmy patrzenia się tylko na ten piękny kraj. Chcieliśmy jak najszybciej w nim się znaleźć. Marynarze wracali z miasta w doskonałych humorach i z dużymi zakupami. Powtarzali z zachwytem: „C'est le Pérou" i wyładowywali coraz to nowe toboły tłuszczów, oliwy, daktyli, które wieźć zamierzali na sprzedaż lub podarunki

świąteczne do Francji. Złość mnie brała. Taki marynarz chodzi sobie tam i nazad a my tylko dwaj nie możemy się dostać do tego obiecanego kraju. Adolf zaczynał się niepokoić. Wreszcie około południa nadszedł Leon ponury jak noc.

— No, kiedy wychodzimy? — spytaliśmy zgodnym dwugłosem.

— Nie wiem nic — odpowiedział. — Jest bardzo niedobrze. Policja bez ustanku pilnuje. Nic nie popuściła.

— No dobrze, Leonie, to co z nami będzie?

— Chyba trzeba będzie, abyście wracali do Marsylii — odpowiedział — nieśmiałym tonem. — Ostatecznie rezygnuję z ostatniej raty, którą mi jesteście winni, żebyście nie byli zanadto stratni.

Tego było nam zadużo. Na wspomnienie perspektywy powrotu do Marsylii wściekłość nas ogarnęła. Wszędzie tylko nie do Marsylii! Marynarze bali się wpadki i chcieli nas pokrzywdzić. Poczucie słuszności naszego żądania było tak mocne, że zapomnieliśmy o nożach tych rzezimieszków korsykańskich. Wsiedliśmy na Leona z góry.

— Nie bracie, do Marsylii na pewno nie wrócimy. Wolimy dać się zaaresztować policji na statku tutaj, niech nas odstawi do Bejrutu. Daliśmy ci już pół naszego majątku. Wiesz że z resztą jaką mamy, z Marsylii nie wyjedziemy. Policja nie taka straszna jak ci się wydaje. W porcie marsylskim daliśmy sobie bez was radę. Jak dalej będziecie trzęśli przed nią portkami, to i teraz bez waszej pomocy znajdziemy drogę wyjścia na ląd!

Jean stał jak zamieniony w słup soli. Nikt zapewne w jego obecności tak nie przemawiał do jego herszta.

— Wyskoczymy przez okno do morza, wyjdziemy na pokład, oddamy się w ręce policjanta, ale do Marsylii nie wrócimy, rozumiecie!? — grzmieliśmy jeden przez drugiego. Dotychczas zawsze rozmawialiśmy z marynarzami bardzo uprzejmie. Brali to widocznie za słabość. Teraz byli wyraźnie zaskoczeni tą żywiołową reakcją. Leon próbował się wycofywać. „Nic nie jest stracone jeszcze, mówił, spróbujemy was wyładować. Coś się powinno wymyśleć, coś się może zmienić". „Kiedy statek odpływa z Bejrutu?" — zapytaliśmy. „Najwcześniej jutro". „No dobrze, czekamy najpóźniej do jutra rana. Jeśli nam nie pomożesz się wydostać, to uprzedzam, że sami wyskoczymy przez to okno".

Leon wyszedł a sami z Adolfem zaczęliśmy analizować możliwości opuszczenia statku w wypadku gdyby Korsykanie zawiedli. Przez okienko dałoby się przejść. Niedaleko od okna liny opuszczały się z pokładu do morza. Poprosimy Korsykanów, by poszli na pokład i przesunęli liny w stronę okna. Lepiej spuścić się po linie do wody aniżeli skakać. Teraz zasadnicze pytanie: wziąć ze sobą ubranie czy zostawić je Korsykanom, by suche odnieśli w umówione miejsce na lądzie. Pamiętając niepunktualność marynarzy w porcie marsylskim, obawiałem się perspektywy oczekiwania potem godzinami nago na syryjskim brzegu, toteż postanowiłem, że będę skakać do wody z ubraniem zrolowanym i przyczepionym do ciała. Niestety woda będzie chłodna. Adolf się pocieszał dowodząc, że dojście wpław do syryjskiego lądu w noc księżycową będzie znacznie romantyczniejsze aniżeli zejście ze statku za fałszywymi papierami. „Mielibyśmy chociaż potem co opowiadać Tereni".

Przed wieczorem Jean wszedł do pokoju z bardziej niż zwykle tajemniczą miną i oświadczył, że coś się robi. Ale nie chciał powiedzieć co. „Leon działa", powtarzał tylko. Gdyśmy wzięli się

do kolacji, wszedł Leon. „Jedzcie szybko, powiedział i bądźcie gotowi do wyjścia". W mig nałożyliśmy piżamy pod ubrania. Niestety książki, budzik, z którym odbyłem kampanię norweską, skórzaną manierkę z Pirenejów, przybory toaletowe i inne drobiazgi, któreśmy z Marsylii wywieźli w kieszeniach, teraz trzeba było zostawić. „Celnicy macają po kieszeniach za pistoletami i wasze graty wydałyby się podejrzane. Nałożyliśmy płaszcze, czapki. Leon wyjął z kieszeni kartki. Były to tymczasowe legitymacje marynarzy innego statku, którzy na „Athosie" mieli wracać do Francji. Jean nadbiegł, szepcąc „Już". Wyszliśmy z kabiny. Leon tylko pozostał. Na korytarzu stało z piętnastu marynarzy, mieszkańców sąsiednich kabin. Wmieszaliśmy się w ich grupę i razem z nimi podążyliśmy korytarzem, potem schodami na górę. Po chwili byliśmy już w westibulu statku. Tu znajdowało się wyjście, przy nim siedziało za stolikiem dwu policjantów. Rzuciłem okiem na westibul. W fotelu siedział jakiś pan w szarym ubraniu, wyglądającym na urzędnika i bystrym wzrokiem zmierzał przechodzących. Miałem na sobie już badawcze oczy gestapowców. Wiem, że najlepiej jest nie patrzyć wtedy w te oczy, ale przejść obojętnie udając, że się ich nie dostrzega. Koło stolika policjantów powstał nagle sztuczny tłok. Kilku wychodzących naraz podało swe legitymacje. Jednocześnie z dołu weszli na statek inni marynarze. Paru marynarzy okazało już legitymację, otrzymało zaświadczenia i schodziło na dół. W przejściu powstało zamieszanie. Szturchnąłem Adolfa i szepnąłem wskazując na schodzących w dół: „Idź z nimi". Sam się zakręciłem koło stolika, powiedziałem policjantowi, pokazując legitymację: „Mam już kartę" i wyszedłem z innymi, co właśnie załatwili formalności. Na dole stali celnicy, ale nie rewidowali. Kilkanaście kroków od mostku czekała grupa naszych marynarzy między nimi Adolf. Po chwili dołączyła reszta marynarzy, z Jean na czele. Jean przestał na chwilę bać się, i uśmiechał się od ucha do ucha. Tylko Leona nie było, oczywiście i tym razem sam się nie narażał. Poszliśmy molem. Miałem ochotę biec przed siebie, aby się znaleźć jak najdalej od okrętu, byle wyjść jak najszybciej z portu. Po paru minutach byliśmy koło bramy portu. Tu też stała policja i celnicy ale nie zatrzymywali nas. Zapewne ponieważ nie mieliśmy bagaży.

Za bramą zaczął się inny świat. Małą wąską uliczką zaczęliśmy piąć się w górę. Na ulicy były rozłożone stragany z owocami. Całe stosy pomarańcz, cytryn, daktyli, jarzyn, bananów. Przez szeroko otwarte drzwi jasnooświetlonej kawiarni widać było tłumy ludzi w egzotycznych strojach arabskich pijących kawę. Na progu Arab siedział w kucki i palił dziwną fajkę, której cybuch zanurzony był w naczyniu z wodą. Przypomniał mi się Konstantynopol, do którego zajechaliśmy z Adolfem kiedyś przed wojną. Z kawiarni dolatywały monotonne, skrzeczące dźwięki muzyki wschodniej. Mimo wieczoru ulica bejruckiego przedmieścia żyła. Tu już byliśmy z dala od Europy. Tu każdym szczegółem przemawiała do nas Azja. Zaraz obstapiła nas gromada obdartych wyrostków i bachorów wołających jeden przez drugiego: „Bakczysz, bakczysz!" Korsykańczycy odpędzali ich kopniakami rozdawanymi obficie i ze śmiechem. Adolf wyjął z kieszeni portmonetkę, i poważnie, jakby znajdował się na ulicy Akademickiej we Lwowie, zaczął rozdawać tej czeredzi jałmużnę. Tłum koło nas powstał odrazu nieprawdopodobny. Korsykanie z trudem pięściami utorowali nam drogę. Jean był wściekły. „Co on robi, przecież każden pozna zaraz, że to nie jest marynarz". Wyszliśmy na dość duży plac, który jak się potem dowiedziałem sta-

nowił centrum handlowe Bejrutu nosząc szumną nazwę „Place des Canons".

Wraz z marynarzami weszliśmy do nowocześnie urządzonej, pełnej ruchu kawiarni. Zajęliśmy miejsca przy stoliku. Teraz nadeszła chwila pożegnania z Korsykanami i uiszczenia ostatniej raty za przewóz. Poszedłem do toalety aby wypruć z bielizny zaszyte w niej tysiącfrankówki. Trwało to parę minut. Gdy wróciłem na salę, Leon już siedział przy stoliku i z radością mnie powitał. Adolf szepnął mi po polsku. „Był przekonany że ty już zwiałeś i że wystawimy go na dudka". Leon odprawił był już marynarzy do sąsiedniego stolika. Widocznie wolał, aby jego podwładni nie znali ceny przejazdu. (Jak się nazajutrz dowiedzieliśmy za udział w sztucznym tłoku zapłacił im po 20 fr.) Po czym do Leona odezwałem się mniej więcej tak:

— A więc Leonie chcieliśmy ci podziękować za udzieloną nam pomoc, tak dla nas jak dla wspólnej sprawy wygrania wojny z twymi wrogami Włochami i naszymi wrogami Niemcami. Pieniądze zaraz ci wręczę. Przedtem jednak chciałem ci przypomnieć, że w maszynowni zgubiliśmy 1000 franków, których nie odnaleźliśmy. To były nasze ostatnie pieniądze, poza opłatą za przejazd. Nie wiemy czy w tym mieście jest konsulat polski, czeka nas zapewne dalej przemycanie się o własnych siłach. Jako dżentelmeni oczywiście jesteśmy gotowi do wypłacenia ci pozostałych 7 tysięcy franków, mimo że grozi nam pozostanie bez grosza. Nie mniej proponujemy ci, byś postąpił również jak dżentelmen i zgodził się że wypłacimy ci tylko 6 tysięcy. Pozostały tysiąc — après la guerre finie!

Nie wiem czy Leon dał się wziąć na ambit, czy był tak uradowany że operacja szczęśliwie się udała i dobrze zarobił, dość że poklepał nas protekcjonalnie po ramionach i krótko rzekł:

— Ca va, gars, ça va!

W Beyrucie zabawiliśmy kilka dni. W Konsulacie brytyjskim otrzymaliśmy wizy wjazdowe do Palestyny. 17-go grudnia rano zajeliśmy miejsca w taksówce utrzymujacej regularną komunikację Beyrutu z Hajfą. Jeden z urzędników na granicy miał być uprzedzony o naszym przybyciu i miał nas przepuścić do Palestyny bez pisemnych formalności. Wiedzieliśmy, że w drodze z Beyrutu do granicy, biegnącej uroczo starym brzegiem fenickim, policja i żandarmeria wojskowa kilkakrotnie przeprowadza kontrolę dokumentów. Jak się potem okazało, oficer załatwiający nasz wyjazd zapomniał nam powiedzieć, że mamy się zgłosić po przepustki do granicy. Uważaliśmy za niegodne nas, podróżników „przez zielone granice" wielkiej klasy, aby nie dać sobie samym rady na trasie zaledwie 100 kilometrów. Przy pierwszym posterunku żandarmi długo oglądali nasze paszporty wystawione we Francji, z wizą wjazdową palestyńską, bez żadnej pieczątki Republiki Libanu. Wyjaśniliśmy, że z Francji jedziemy do Palestyny tranzytem. Gdybyśmy szli na piechotę, oczywiście by nas przymknęli, fakt jazdy taksówką, z grupą poważnych obywateli syryjskich z odpowiednią ilością bagażu, wpłynął na to że nas puścili. Następne posterunki uznały, że skoro poprzednie nas przepuściły, to sprawa jest w porządku. Na granicy urzędnik do którego byliśmy skierowani poprosił o oddanie mu przepustek. Gdy okazało się że bez nich dojechaliśmy, był wstrząśnięty stwierdzeniem, jak podle pracują licznie rozsiane po szosie posterunki bezpieczeństwa.

Z prawdziwym wzruszeniem wjechałem w granice Imperium Brytyjskiego, przedstawiecielami którego na granicy Palestyny

było kilku Żydów i kilku Arabów w mundurach policjantów i strażników celnych, w przykładnej zgodzie, wbrew przyjętej opinii, sprawujących swe funkcje. Dojechaliśmy do Hajfy. Jako doświadczeni żołnierze rozpoczęliśmy naszą działalność w tym kraju od zjedzenia spóźnionego, nie mniej solidnego obiadu, przy czym zaraz mieliśmy sposobność się przekonać, że język polski najzupełniej wystarcza dla porozumienia się z mieszkańcami tej części Azji. Potem weszliśmy do biura werbunkowego, które wielkimi transparentami wzywało ochotników. Jako jedynych interesantów, liczni urzędnicy biura przyjęli nas z nieukrywaną radością. Zapytano, czy wolimy służyć w oddziele arabskim czy w żydowskim. Odpowiedzieliśmy, że wolimy w polskim. Z wyraźnym smutkiem odesłano nas na gorę Karmel, gdzie ongiś urzędował prorok Eliasz, a obecnie dwójka brytyjska. Niestety z odpowiednim kapitanem rozminęliśmy się na schodach, właśnie z rakietą szedł na partię tennisa. Gdy wrócił, wziął nas w krzyżowy ogień pytań. Wynik był dla nas dobry, bo zgodził się odstawić nas do polskiej stacji zbornej, która znajdowała się pod Hajfą. Połączył nas z nią telefonicznie. Ze wzruszeniem usłyszałem po drugiej stronie drutu monotonnym głosem wyrecytowaną formułkę: „Polska stacja zborna Hajfa". Gdy przy stopniu i nazwisku wymieniłem jako oddział macierzysty, Brygadę Podhalańską, porucznik po tamtej stronie aparatu nie ukrywał swego zdumienia.

— Co, z Brygady Podhalańskiej przyjeżdżacie? Z Norwegii? Prosto? Znakomicie, nie mieliśmy tu jeszcze takich, bierzcie taksówkę i przyjeżdżajcie natychmiast, zapłacimy rachunek. Zaraz nam tu opowiecie jak w tej Norwegii biliście Niemców.

Po kwadransie wartownik z orzełkiem na czapce otwierał przed nami bramę obozu.

PROF. MANFRED KRIDL

O PIERWSZEJ SOWIECKIEJ OKUPACJI WILNA

Pamiętny był dla Wilna dzień 17 września 1939 r. Wczesnym rankiem tego dnia radio moskiewskie ogłosiło na cały świat, że armia sowiecka przekracza granice Polski dla zapobieżenia anarchii z powodu ucieczki rządu polskiego oraz dla wyswobodzenia Ukraińców i Białorusinów spod jarzma panów polskich... Gorzkie ziarna prawdy, zawarte w tym oświadczeniu (ucieczka nie tylko rządu, ale i wodza naczelnego, polityka wobec mniejszości narodowych), były jednym z cięższych policzków moralnych, wymierzonych społeczeństwu polskiemu za winy rządzącej nim kliki. Do tego świadomość, że teraz już naprawdę jest koniec i zaczyna się długa noc. Niesłychane zamieszanie, jakie zapanowało wśród władz i nielicznych formacyj wojskowych (a raczej ich dowódców), dawało w miniaturze obraz tego samego, co się działo w całej Polsce na większą skalę. I Wilno miało swoich „wodzów", którzy pierwsi uciekali samochodami, zostawiając żołnierzy bez broni, bez żadnej wskazówki, co mają robić, dokąd iść — miało swoich wojewodów, którzy zabierali pieniądze z kas państwowych bez pokwitowania — widziało sznury samochodów i pojazdów wszelkiego rodzaju, uwożących elitę obywatelską ku granicy litewskiej...

Później nadszedł niemniej straszny wieczór i noc z 17 na 18 września. Miasto, dotąd starannie zaciemniane od zmierzchu, oświetlono nagle rzęsiście, jakby dla okazania tym jaśniej całej naszej klęski i hańby. Już wieczorem oddziały sowieckie zajęły przedmieścia — na ich powitanie odzywało się z rzadka przez połowę nocy kilka karabinów maszynowych i j e d n a armata z góry Boufałowej. Taka była nasza obrona Wilna...

Wczesnym rankiem zachrzęściły na ulicach Wilna tanki sowieckie. Toczyły się długo nieprzerwanym sznurem, zapełniały główniejsze ulice, jakby dla pokazania potęgi armii czerwonej i jej bogatego uposażenia w nowoczesny sprzęt wojenny. Wychylały się z nich umorusane twarze żołnierzy, dobrotliwie uśmiechniętych, rozglądających się ciekawie po ulicach. Gdziekolwiek zatrzymał się taki tank, tam gromadziły się zaraz gromady gapiów i zaczynały się rozmówki. Z czasem przybrało to charakter tłumnych wieców i dyskusyj na najrozmaitsze tematy, głównie na temat: „jak jest w Rosji"; nie brakło jednak i dyskusyj bardziej filozoficznych, a nawet teologicznych, np. o istnieniu czy nieistnieniu Boga. Asystentka moja była świadkiem jednej z takich właśnie rozmów, takiej propagandy bezbożniczej. Młody ateista w mundurze wykładał grupie słuchaczy swoją (a raczej wyuczoną gdzieś) teorię. Używał przy tym argumentów dość pospolitych, srogo materialistycznych. Głównym z nich było twierdzenie, że ponieważ Boga nikt nigdy nie widział, a więc... Moja asystentka postanowiła zbadać zasób jego wiadomości i zdolność rozumowania i zapytała go, czy wie, co to są elektrony. Okazało się, że wiedział coś niecoś. Na zapytanie, czy je kiedykolwiek widział, odpowiedział uczciwie, że nie. Był jednak bardzo zdziwiony, kiedy mu powiedziano, że elektronów w ogóle nikt nigdy nie widział, a mimo to istnienie ich jest nie ulegającym wątpliwości, naukowo ustalonym faktem. Gdy w dalszym ciągu interlokutorka jego starała się mu uświadomić, że jednak istnieja rzeczy, których nie można zobaczyć i że „niewidzialność" nie jest dowodem nieistnienia, zamyślił się przez chwilę, po czym przyznał: „Da, eto nie dokazatielstwo". Na tym rozmowa urwała się i nie wiem, jakimi dowodami operował on później, skoro powyższy dowód uznał sam za niewystarczający.

Wykłady o życiu w Rosji obracały się w sferze bardziej kategorycznych twierdzeń, a wszelkie wątpliwości słuchaczy były wyjaśniane prosto, jasno i bardzo łatwo. Wypowiedzi te cechowała niesłychana pewność siebie, specjalnego rodzaju szowinizm sowiecki, niedostępny żadnej krytycznej myśli, zapamiętały i ślepy. Tutaj już czuć było zupełne zmechanizowanie umysłowe, wykucie na pamięć gotowych formułek, gotowych odpowiedzi i wyjaśnień. Rzecz szczególna, że nie są to cechy, wyróżniające specjalnie agitatorów. Młodzież sowiecka, przybywająca do Ameryki na studia, posiada je w tak wysokim stopniu, że wywołuje to zdumienie u starszego pokolenia liberalnych i postępowych Rosjan, żyjacych tutaj. Jeden z nich opowiadał mi, że za czasów carskich trudno było spotkać się wśród młodzieży rosyjskiej, nawet prawicowej, z tak zaciekłym i tępym nacjonalizmem, jakim odznaczaja się młodzieńcy, przyjeżdżający z Rosji Sowieckiej. Z tym łączy się, oczywiście, pogarda dla cywilizacji zachodniej i z gruntu niemoralny do niej stosunek: przyswajanie sobie jej zdobyczy, aby stworzyć z nich broń dla niszczenia jej podstaw: wolności myśli, swobody twórczej, poszanowania indywidualności, demokracji politycznej...

Wracając do armii czerwonej, okupującej Wilno, trzeba jej oddać sprawiedliwość. Nie wiadomo, czy cała ta armia wygląda tak, jak oddziały, które przybyły do Wilna, czy nie przysłano tam specjalnie dobranej „elity", ale stwierdzić trzeba bezstronnie, że żołnierze i oficerowie sowieccy zachowywali się przyzwoicie i kulturalnie. Widać to było i w owych rozmówkach i przy pilnowaniu porządku na ulicach czy w ogonkach. O dyscyplinie może świadczyć fakt, że nie zdarzyło się nikomu widzieć pijanego wojskowego sowieckiego, choć trunków było w Wilnie jeszcze pod dostatkiem (podobnie było i we Lwowie, jak słyszałem od uchodźców stamtąd). Uderzał przyjazny i koleżeński stosunek pomiędzy oficerami i żołnierzami, nic z „drillu" ani parady, nic z napuszoności i zarozumiałości oficerskiej, aż nadto dobrze nam znanej. Prości i skromni ludzie. Powtarzam, być może, że były to oddziały wyjątkowe, specjalnie kształcone w dobrych manierach i w umiejętnej propagandzie, którym nakazano zdobywać sympatie ludności (stąd też może liczne głosy, że przyszli nas bronić przed Niemcami, że idą na Niemców itd.) — ale fakty pozostają faktami.

Żołnierze polscy, których armia sowiecka zastała w Wilnie, a może i w dalszych okolicach, byli puszczani wolno po odebraniu im broni. Taka nie była zapewne ogólna polityka władz wojskowych sowieckich, skoro ponad sto tysięcy polskich jeńców wojennych znalazło się w obozach rosyjskich. W Wilnie jednak widziało się całe gromady tych biedaków, przybywali też stopniowo zwolnieni w innych stronach Kraju oficerowie rezerwowi, co prawda nieliczni. Był więc w tej sprawie jakiś chaos, może zwyczajny bałagan „słowiański", tak później charakterystyczny dla całej administracji sowieckiej. Cieszyliśmy się tymi zwolnionymi, ale równocześnie był to — jeżeli chodzi o prostych żołnierzy — widok rozdzierający serce, żywy i przygnębiony symbol naszej nędzy i upadku. Ci z nich, którzy pochodzili z Wileńszczyzny i w ogóle z okupacji sowieckiej, starali się, oczywiście, jak najprędzej dostać do domu, było jednak wielu z innych stron kraju, zajętych już przez Niemców. Tacy zmuszeni byli radzić sobie sami albo korzystać z pomocy ludzkiej. Opiekowano się nimi w Wilnie lub wysyłano na wieś do dworów polskich.

W ślad za wojskiem zjawiły się niebawem władze cywilne. W ich polityce wobec ludności można odróżnić pewne fazy i pewne odcienie, na ogół jednak była to polityka typowo i szablonowo sowiecka, nacechowana poza tym pewną prowizorycznością i dorywczością, brakiem planu i konsekwencji; być może, że już wtedy postanowiono oddać Wilno Litwie, więc nie opłacało się troszczyć się bardzo o nie. Pewna „troska" jednak z konieczności była, a ujawniała się w sposób bardzo charakterystyczny. Mot d'ordre dany z góry o wyzwolenie Białorusi oraz doktrynerska geografia polityczna pociągały za sobą przekonanie (czasami nawet szczere), że Wilno jest białoruskie, a przynajmniej w większości zamieszkałe przez Białorusinów. Stad wszelkie ogłoszenia i afisze oraz dziennik urzędowy w języku białoruskim (obok tekstu rosyjskiego). Ale stąd też zdziwienie i konsternacja wśród władz, że w Wilnie mało kto mówi po białorusku i że raczej język rosyjski jest tam bardziej znany, zwłaszcza wśród starszego pokolenia (tak samo i później, obałamucona młodzież litewska była bardzo stropiona, nie mogąc się w Wilnie po litewsku porozumieć; pewien oficer sowiecki ujął skomplikowaną sytuację wileńską, już po wejściu Litwinów w ten sposób: w Wilnie ludność jest polska, policja litewska, a rządy w rękach Sowietów). Niemniej

jednak ogólne nastawienie władz sowieckich nie zmieniło się do końca, choć ostatecznie tę „wyzwoloną Białoruś" oddano Litwie. Na czele władz cywilnych stanęli przeważnie Białorusini sowieccy z Mińszczyzny; utworzono coś w rodzaju „Rządu tymczasowego" a właściwie Zarządu miasta, do którego weszli również przedstawiciele miejscowych robotników i inteligencji polskiej. Ale wybory tych przedstawicieli odbyły się galopem i przez bardzo nieliczne zebrania, nie wiadomo przez kogo zwołane i z kogo się składające tak, że nie można było tego uważać za istotne przedstawicielstwo ludności Wilna. Zresztą było ono czysto formalne, bez żadnego wpływu na politykę tego „rządu". Reprezentantowi inteligencji np., którym został pewien nauczyciel, „przydzielono" jakieś sprawy aprowizacyjne, chodził po jatkach i sklepach spożywczych (przeważnie pustych), i to było całe jego zajęcie.

Wspomniawszy powyżej o typowości i szablonowości polityki sowieckiej, miałem na myśli nie tylko przesłanki ideowe, lecz również kompletny, bardzo „słowiański" brak zmysłu organizacyjnego. Potworzono mnóstwo urzędów, w których mieściły się tłumy urzędników; urzędnicy ci byli nastawieni bardzo „demokratycznie", t.j. przyjmowali przez cały dzień, bez ograniczeń ani oficjalnych godzin przyjęć, gromady interesantów i wysłuchiwali cierpliwie całymi godzinami ich spraw. Sam byłem świadkiem takiej rozmowy pomiędzy komisarzem oświaty, Klimowem, a obywatelem wyznania mojżeszowego, który przyszedł prosić o jakąś posadę. Petent opowiadał dosłownie cały swój życiorys od młodości, informował o swoich rozlicznych zawodowych kwalifikacjach, o okresach powodzenia i niepowodzenia, o braku uznania dla jego talentów w Polsce, mówił szybko, nerwowo, krzykliwie, zapuszczając się w długie dygresje, nic nie mające wspólnego z sprawą. Komisarz słuchał z spokojem i powagą, zadawał pytania o różne szczegóły i szczególiki, zachęcał do zwierzeń. Wreszcie i swadzie petenta przyszedł kres — zmęczył się i zamilkł. Komisarz przeczekał długą chwilę, po czym zapytał uprzejmie: „No, a co jeszcze ma mi Pan do powiedzenia?" Tymczasem i w pokoju, gdzie odbywała się rozmowa, i na korytarzu czekały tłumy innych interesantów... Rezultat tego przesadnie humanitarnego stosunku do publiczności był taki, że wprawdzie wysłuchiwano próśb i żalów, ale nie załatwiano niczego lub prawie niczego albo też załatwianie trwało bardzo długo, znacznie dłużej, niż przy innych systemach biurokratycznych. Pamiętam sprawę, którą miałem z tymże komisarzem Klimowem. Nadeszły mianowicie do Wilna wieści, że dwór w Jaszunach, dawna siedziba Śniadeckich, został napadnięty przez starowierców z jednej z pobliskich wsi i kompletnie ograbiony (podobno skutek dawnych porachunków pomiędzy dworem a tą wsią). Chodziło o to, aby można było szybko udać się na miejsce i zbadać co się stało z biblioteką jaszuńską i cennym zbiorem rękopisów, wśród których były listy Słowackiego, Jana i Jędrzeja Śniadeckich itp. Udałem się w tej sprawie do Klimowa i przedstawiłem mu konieczność uratowania z tych zbiorów, co się jeszcze da, i przewiezienia do Wilna dla zabezpieczenia przed dalszym zniszczeniem. Klimow, człowiek przyzwoity i kulturalny, zainteresował się a nawet przejął tą sprawą, obiecał wystarać się dla mnie i dla urzędnika Biblioteki Uniwersyteckiej o przepustki, dać nam samochód, a nawet asystę wojskową. Upłynęło jednak co najmniej jakichś dziesięć dni, zanim otrzymaliśmy przepustki, o samochodzie już nie było mowy, tym bar-

dziej o asyście wojskowej. Wynajęliśmy taksówkę i pojechaliśmy na własną rękę, nie zaczepiani zresztą i nie molestowani przez nikogo. W Jaszunach zastaliśmy kompletną ruinę wnętrza dworu, ogołocenie go ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość użytkową, a zniszczenie prawie wszystkiego, czego nie można było wynieść. Z bogatej biblioteki zostały tylko resztki. częściowo w na wpół rozwalonych szafach, których nie zabrano, bo były za ciężkie lub wmurowane, częściowo porzucone na podłogach wraz z całymi górami papierów. Powydzierane karty i sztychy starych książek walały się po trawnikach... Powyrzucane z biurek i szaf papiery przedstawiały kompletny chaos, gdzie bieżące rachunki gospodarskie, kwity itp. mieszały się z listami i dokumentami z końca XVIII i początku XIX wieku. Na jakie takie uporządkowanie tego wszystkiego potrzeba było kilku dni. Nie mając na to czasu, złożyliśmy wszystkie papiery i książki w dwóch pokojach, opieczętowaliśmy je i zlecili pilnowanie ich miejscowemu Komitetowi chłopskiemu. Co się stało później z tym zbiorem — dokładnie nie wiem. Przypuszczam, że po wejściu Litwinów, co nastąpiło niedługo potem, przewieziony on został, wraz z podobnymi szczątkami z innych dworów, do Biblioteki Publicznej w Wilnie.

Wiele dworów polskich na Wileńszczyźnie uległo podobnemu losowi, co Jaszuny. Stało się to bardzo szybko, na samą wiadomość o zbliżaniu się wojsk sowieckich, w okresie zupełnego chaosu i bezkrólewia. Chłopi nie tylko rabowali dwory, ale przede wszystkim podzielili pomiędzy siebie ziemię. Znalazłszy się wobec faktów dokonanych, władze sowieckie zastosowały postępowanie dwojakie: zgodziły się (chwilowo) na podział ziemi, zatwierdziły Komitety chłopskie, ale nie pozwalały zasadniczo na grabienie dworów. Tam, gdzie stało wojsko, istotnie grabieży nie było (przynajmniej nie wszędzie), tam jednak, gdzie zrabowano wszystko, władze nie próbowały nawet pociągać winnych do odpowiedzialności. W rezultacie więc usankcjonowano istniejący stan rzeczy, bo zakaz rabowania dworów, jako wydany już post factum. nie pomógł ograbionym. co najwyżej uratował tych nielicznych, którzy ocaleli.

W innych dziedzinach zachowywano na ogół dotychczasowy stan rzeczy, ale nalepiano nań etykietki sowieckie. „pryncypialne". Tak np. w szkolnictwie wszelkich stopni nie dokonano żadnych zmian ani w personelu nauczającym ani w programie, ale dla zasady zniesiono w szkołach powszechnych i średnich naukę religii i modlitwy. Klimow zaś zwoływał wiece nauczycieli (na które spóźniał się o parę godzin, dzięki opisanemu powyżej systemowi urzędowania) i wygłaszał do nich długie mowy propagandowe o stanowisku i roli nauczyciela w nowych warunkach. Uniwersytet zostawiono w spokoju. Klimow informował się tylko ogólnie o organizacji. programie. dacie rozpoczęcia wykładów itp. i zapewniał, że profesorowie i uczeni są w Rosji sowieckiej w wielkim poważaniu. Wykłady rozpoczęto rzeczywiście względnie „normalnie" z mocno przetrzebionym personelem profesorskim i studenckim i naturalnie w nastroju przygnębienia i niepewności. Już z początkiem października wiadomo było, że Wilno z okręgiem będzie odstąpione Litwie i wiadomo było również, czego możemy się spodziewać po szowinistyczno-faszystowskim rzadzie litewskim, który przez dwadzieścia lat żył tylko myślą o uczynieniu Wilna rzeczywistą, a nie tylko teoretyczną stolicą Litwy. Staraliśmy się mimo to pracować ile było można, pomagać studentom w ukończeniu studiów i otrzymaniu dyplomów...

Ta liberalna polityka nie dotyczyła, oczywiście, takich instytucyj publicznych, jak banki państwowe i prywatne, Pocztowa Kasa Oszczędności, w ogóle wszelkie instytucje, operujące, jakimiś kapitałami. Tu wcześnie naznaczeni byli opiekunowie w randze dyrektorów lub inspektorów, którzy faktycznie w instytucjach tych rządzili. Sprawdzano dokładnie bilanse i rachunki, domagano się szczegółowych sprawozdań z wydatków, dokonanych zwłaszcza w ostatnich dniach przed inwazją. Chodziło, oczywiście, o skonstatowanie, czy jakieś pieniądze nie zostały ukryte lub wywiezione. Za wszelkie braki i niedokładności groziła odpowiedzialność. Obawiając się takich konsekwencji zadał sobie śmierć dyrektor wileńskiego oddziału Banku Polskiego, nie mając pokwitowania na pieniądze, zabrane przemocą przez wojewodę. Jednak nawet wówczas, gdy wszystko było w porządku, kierownicy wszelkich instytucji finansowych, a nawet społecznych narażeni byli na bardzo męczące śledztwa i dochodzenia, prowadzone podejrzliwie i nieufnie. Zdarzało się, że „dla pewności" byli osadzani w więzieniach i ślad po nich ginął. Jaskrawym przykładem tej metody było aresztowanie prof. Kempistego (co prawda już za drugiej okupacji sowieckiej, ale to postaci rzeczy nie zmienia). Ponieważ nie brał on zupełnie udziału w życiu politycznym, nie zajmował się żadną działalnością społeczną, w ogóle nie był żadną urzędową „figurą" w Wilnie — istnieje silne podejrzenie, że niespodziewane aresztowanie go związane było z tym, że zajmował się on w czasie okupacji finansami jadłodajni profesorskiej, stworzonej dla ratowania profesorów i ich rodzin od przymierania głodem. Aresztowano go — i jak to często pod rządami sowieckimi — wpadł jak kamień w wodę. Dopiero po półtora roku dowiedziano się, że umarł w więzieniu, niedługo po aresztowaniu w tajemniczych okolicznościach. Widać z tego, że będąc nawet na bardzo skromnym stanowisku społecznym, można było przypłacić to głową.

Tu dochodzimy do działalności G.P.U. Instytucja ta pokazała, że nawet w krótkim czasie potrafi zdziałać dużo. Setki rewizyj nocnych, setki ludzi przesłuchiwanych i aresztowanych, mnóstwo wywiezionych podczas opuszczania Wilna przez władze sowieckie. Liczby wywiezionych nawet w przybliżeniu podać nie mogę, gdyż wiedziało się tylko o znajomych bliższych i dalszych. W każdym razie deportacyj masowych, jak w innych częściach Polski, nie było, przynajmniej nie z Wilna. Polowano głównie na osoby urzędowe, jak Prezydent miasta (dr. Maleszewski), wicedyrektor kolei, dyrektorowie banków, prokuratorzy, sędziowie itd. — oraz na przedstawicieli lewicy, głównie socjalistów. Ozon był mniej dotknięty, endecja i kler prawie wcale nie. Niektórzy z aresztowanych byli wypuszczani po krótszym lub dłuższym czasie i od nich wiemy, jak ich traktowano w więzieniu. Przytoczę dwie zgoła różne metody. Znany adwokat wileński, były członek socjalistycznych organizacyj rosyjskich, trzymany był w więzieniu tylko przez kilka dni, traktowany przyzwoicie, żywiony możliwie, zwolniony bez słowa wyjaśnienia, dlaczego go aresztowali i dlaczego wypuszczają. Inna osoba tego samego zawodu wyszła z kilkutygodniowego więzienia, jeżeli nie złamana psychicznie, to mocno nadszarpnięta. Stosowano wobec niej wszystkie metody Ochrany carskiej, tylko jeszcze bardziej ulepszone: do ośmiu godzin trwające przesłuchiwania (z małymi tylko przerwami), godzinami ciągnące się siedzenie z twarzą tuż przy ścianie, oświetlanie celi przez całą noc niesłychanie silnym, rażącym aż do nieprzytomności światłem elektrycznym — oto niektóre tylko ze sposobów skła-

niania do „szczerych wynurzeń”. Badania prowadzone były w sposób wyrafinowany, zmierzający do zupełnego psychicznego obezwładnienia ofiary, do wprawienia jej w stan, w którym powiedziałaby wszystko, czego by sobie oprawca życzył i zgodziła się na wszystko, nawet na współpracę z nim (takie propozycje były rzeczywiście robione). O torturach fizycznych nie słyszałem — ale trudno przypuścić, żeby ten równie tradycyjny i skuteczny środek nie był zupełnie stosowany, tylko ci, nad którymi się znęcano, nie mogli już tego nikomu opowiedzieć...

Rewizje nocne należą również do charakterystyczniejszych kart działalności G.P.U., niepozbawionych czasami momentów humorystycznych. Miały one również rozmaite „aspekty”. Dość pospolity był typ rewizyj powierzchownych i szablonowych; zjawiali się ci panowie oczywiście w nocy, ale gdy kogoś nie zastali w domu, w dzień go już przeważnie nie szukali, rzadko też kiedy zdarzała się rewizja powtórna. Pod nieobecność właściciela mieszkania dokonywano rewizji w obecności jego żony lub domowników. Ludzie więc spodziewający się rewizji lub ostrzeżeni o niej (były na to sposoby) chodzili na noc do znajomych, a rano wracali do domu, a nawet do zajęć, a wieczorem znowu szli spać gdzieindziej. Rano pomiędzy godziną siódmą a ósmą można było widzieć na ulicach sporo ludzi z zawiniątkami lub walizeczkami, wracających z tych noclegów. Można ich było wtedy łatwo wyłapać — gdyby się komu chciało. Przypuszczalnie jednak tego rodzaju „przestępcy” nie stanowili dla policji sowieckiej zbyt wielkiej atrakcji. Przy rewizjach zdarzały się sceny komiczne. Oto np. takie przedstawienie w domu pewnego profesora Uniwersytetu. On sam nocuje na mieście, policję przyjmuje żona. Przedstawiciele władzy zachowują się grzecznie i uprzejmie (co sobie później każą potwierdzić na piśmie), pytają o pozwolenie palenia papierosów, przyjmują obojętnie wiadomość, że profesor widocznie przeoczył godzinę policyjną i został na noc u znajomych, i zabierają się do roboty. Szukają głównie w komodach, szafach, biurkach; pomagają pani w otwieraniu szuflad, wyciąganiu i składaniu rzeczy. Natrafiają na kasetkę z fotografiami — szukają podobizny profesora. Zainteresowanie ich wzbudza fotografia pisarza francuskiego, Mauriaca. Pytają, czy to jest Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Na wyjaśnienie, że to jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy francuskich, znany zapewne i w Rosji, odpowiadają z dumą: „My takich pisarzy nie czytamy, mamy swoich własnych!” Inna scena: w pewnym mieszkaniu widzą w przedpokoju kasę ogniotrwałą, sprzęt nieznany im widocznie, bo pytają, co to takiego. Służąca odpowiada po rosyjsku: „Eto takaja pieczka” (piec). Informacja ta przyjęta jest z dobrą wiarą, co ratuje ukryte w kasie pieniądze, kosztowności i dokumenty. Zabierają się do rewidowania kredensu — natrafiają na paczkę migdałów. Znowu nie wiedzą, co to jest i nie znają nawet rosyjskiej nazwy tego smakołyku („mindali”). Jak u dzieci, błyszczą im się oczy do każdego świecącego metalu, wszystko biorą za srebro i złoto. Lubią wymysły zgniłej cywilizacji zachodniej — w mieście wykupili szybko wszystkie zegarki, jedwabne pończochy, bieliznę damską, zabawki dziecinne. Jedną z największych przyjemności oficerów było poddawanie się wszelkim operacjom fryzjerskim, do manicury włącznie.

To był jeden typ rewziyj, nie pociągający za sobą dalszych konsekwencyj. Bywały, oczywiście i inne, gdzie zabierano właścicieli mieszkań, często na zawsze, konfiskowano pieniądze i kosz-

towności, przewracano całe mieszkanie do góry nogami, wywożono wszelkie papiery, czekano całymi godzinami na powrót pana domu, wpadano następnej nocy powtórnie itd.

W dziedzinie aprowizacyjnej trudności zaczęły się od pierwszego dnia okupacji i szły crescendo aż do zupełnego prawie wygłodzenia Wilna w przeciągu pięciu tygodni. Jedynie zaopatrywanie w chleb najczarniejszy szło jako tako. Litwini zastali miasto zupełnie ogołocone ze wszystkiego. Chcąc okazać całą swoją wyższość aprowizacyjną, a może zjednać sobie część ludności, zasypali Wilno masłem, słoniną, wędlinami, mąką, jajkami itp. i sprzedawali niektóre z tych produktów nawet po zniżonych cenach.

Rekwizycje dotknęły głównie zakłady przemysłowe i maszyny wszelkiego rodzaju. I tak wywieziono np. całą fabrykę radioodbiorników „Elektrit", jedną z najlepszych w Kraju, zatrudniającą 5 tysięcy robotników; zaproponowano im przeniesienie się do Rosji, ale mało kto z tego skorzystał. Zabrano dalej sporo maszyn drukarskich, linotypów itp., niszcząc tym sposobem całe warsztaty pracy, m. i. pięknie rozwijającą się drukarnię Turskiego. Ale i tu nie było niemieckiej systematyczności; np. maszyny „Kuriera Wileńskiego" zostawiono dzięki energicznemu sprzeciwu robotników. Dopiero gdy postanowione już było ostatecznie odstąpienie Wilna, rekwizycje przybrały charakter bardziej masowy. Wywożono wszystko, co się dało z instytucyj publicznych (aż do stołków i garnków) i z sklepów, których właściciele byli nieobecni. Takiemu losowi uległ np. dom handlowy braci Jabłkowskich. Ponieważ gotówka banków była od początku pod nadzorem, więc z pewnością też została zabrana. Niepowetowaną stratą było wywiezienie około trzech czwartych Archiwum Wileńskiego, i to dokumentów najcenniejszych. Trudno zrozumieć cel tego barbarzyńskiego rabunku, bo chyba wyższe władze sowieckie zdawały sobie sprawę z tego już wówczas, że prędzej czy później, pod taką lub inną formą obejmą na nowo rządy w Wilnie, stolicy sowieckiej republiki litewskiej. Dokonywano tego w pośpiechu, gwałcie, nie dbając o jakie takie zabezpieczenie dokumentów, zrzucano je wprost z okien na ulicę, gdzie ładowano byle jak na samochody ciężarowe. Były później wieści, że samochody te stały pod Wilnem na słocie, otwarte, niektóre przewrócone, a cała ich zawartość w błocie. Przypomina się wywożenie Biblioteki Załuskich z Warszawy po trzecim rozbiorze. Przykro powiedzieć, że w tym dziele haniebnym brało udział kilku Polaków — byłych wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego.

W ciągu tego całego czasu napływały do Wilna setki uchodźców z środkowej i zachodniej Polski. Dla zajęcia się nimi powstał zawiązek Komitetu pomocy uchodźcom, który później, za czasów litewskich, rozwinął się w dużą instytucję, zatrudniającą kilkudziesięciu pracowników, utrzymującą jadłodajnię, internaty, bursy dla młodzieży, starającą się o pracę, chleb i dach nad głową dla wszystkich tych nieszczęsnych. Niespożyte zasługi około założenia i rozwoju tej instytucji położyły szczególnie dwie osoby, których nazwiska powinny być zapamiętane przez społeczeństwo polskie. Byli to mecenas Ignacy Z a g ó r s k i, człowiek ewangelicznej dobroci, zacności i bezinteresowności, zapobiegliwy przy tym tak, że nawet zdołał wydobyć subsydium na Komitet od władz sowieckich — oraz dr. Maria P e t r u s e w i c z o w a, żona znanego adwokata wileńskiego, świetna organizatorka, energiczna a zacna przełożona, pełna inicjatywy i niespożytej energii. Dzięki tym dwojgu i ich współpracownikom wiele, wiele dobrego zrobiło się w tych ponurych czasach...

Oto krótka historia pięciotygodniowych rządów sowieckich w Wilnie. Gdy się na nie patrzy z perspektywy tego, co się działo później w Wilnie, a zwłaszcza tego, co się dzieje obecnie, wydaje się ten okres czasu tylko jakby wstępem, jakby przygotowaniem rzeczy, które miały nadejść. Wówczas jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jeszcze wierzyliśmy w rychłe zwycięstwo aliantów, ludzie mieli jeszcze jakieś zapasy, dach nad głową, możność pracy i jakiego takiego zarobkowania. Nie mogli ani zrozumieć, ani przewidzieć, co ich czeka, patrzyli na ówczesny stan rzeczy, jako na coś przejściowego, chwilowego. Dopiero powoli, stopniowo z biegiem miesięcy a później lat zaćmiewał się horyzont, gromadziły się coraz cięższe chmury, spadały coraz dotkliwsze ciosy. W chwili obecnej — jak wszyscy wiemy — Wilno i ziemia wileńska nie może mieć nawet tej pewności, która zdawała się dawniej niewzruszona, że zwycięstwo Aliantów przyniesie im wyswobodzenie i wolność...

DOROTA FALSKA

„MACHIAVELLIDZI“

James Burnham jest autorem teorii o „managerial revolution”. Teorię tę można sprowadzić do kilku bardzo prostych myśli: klasa kapitalistyczna — powiada Burnham — nie potrafi utrzymać swego panowania; klasa robotnicza zaś nie potrafi zdobyć władzy. Jeśli ją zdobywa to szybko wyrzeka się jej i powraca do roli biernego przedmiotu rządów. Walka między kapitalizmem a socjalizmem, która wypełniała życie polityczne wieku XIX-ego, w pierwszej połowie wieku XX-ego doprowadziła niejako do nierozegranej. Rzeczywistością walk politycznych naszej epoki nie jest jednak — powiada Burnham — alternatywa kapitalizm — socjalizm, lecz rewolucja „managerów”, czyli tej warstwy ludzi, którzy odgrywają rolę kierowniczą w nowoczesnym przemyśle. Nietrudno w tej rewolucji „managerów” odnaleźć echa rewolucji technokratów, o której przed kilku laty wiele mówiło się i pisało w Stanach Zjednoczonych.

Rewolucja „managerów” jest w ujęciu Burnhama niejako koniecznością dziejową. Pod tym względem autor amerykański, który kilka lat temu był pisarzem lewicy socjalistycznej, pozostaje na pozór wierny determinizmowi historycznemu. Traktuje on swą „managerial revolution” tak, jak niektórzy marksiści traktują rewolucję socjalistyczną — jako cel, ku któremu ludzkość zdąża „nieuniknienie”, świadomie czy nieświadomie, dobrowolnie, czy też wbrew swej woli. U kresu wszystkich walk społecznych i przewrotów bieżącej epoki Burnham odkrywa „managerial society”, co z pewną dozą nieścisłości można przetłumaczyć jako społeczeństwo technokratyczne. Jest to jak gdyby wspólny mianownik — powiada Burnham — wszystkich na pozór sprzecznych zjawisk doby. „Managerial society” tryumfuje w Niemczech, gdzie jest produktem przewrotu narodowo-socjalistycznego. W Rosji z rewolucji antykapitalistycznej, z pozornej budowy socjalizmu, również wyłania się dyktatura kierowników życia przemysłowego. W kapitalistycznej Ameryce „new deal” daje jakby początek

tej samej tendencji. Różne izmy, programy i dążenia są w ujęciu Burnhama tylko złudzeniami mas, stronnictw, a często i przewódców politycznych. Celem, ku któremu różnymi okrężnymi drogami zbliża się ludzkość ze wszystkich kierunków to „managerial society". „Żelazna konieczność dziejowa" jest w koncepcji Burnhama niemniej „żelazna i nieubłagana" jak w wywodach niektórych socjalistów. Prowadzi ona jednak nie ku upadkowi kapitalizmu i ku społeczeństwu bezklasowemu, lecz ku nowej hierarchii społecznej, ku nowemu przetasowaniu grup społecznych na niezmiennym tle nierówności gospodarczej i politycznej.

Nowa książka Burnhama pod tyt. „The Machiavellians" — „Machiavellidzi" zawiera jak gdyby dalsze rozwinięcie teorii „managerial revolution". Autor musiał sobie, rzecz oczywista, postawić pytanie jak się odbywa tego rodzaju rewolucja i umieścić ją w pewnej perspektywie historycznej i socjologicznej. Socjaliści twierdzą, czy też twierdzili, że historia to dzieje walki klas. Jeśli walka klas jest jednak tylko pozorem, za którym ukrywa się ruch ku „managerial society" to cóż wypełnia historię? Na to pytanie stara się odpowiedzieć Burnham w swojej nowej książce, szukając dla siebie pewnej tradycji ideowej i socjologicznej w przeszłości. Można od razu powiedzieć, że książka jego o Machiavellidach jest znacznie mniej efektowna i ciekawa aniżeli „Managerial Revolution". Jest ona jednak jej logicznym uzupełnieniem. Autor bowiem wysnuwa tu wnioski, które w pierwszej jego książce były niejako między wierszami, stawia kropki nad i, dopowiada niedopowiedzenia i nie pozostawia żadnej wątpliwości co do ogólnego charakteru swych teorii. Ujawnia się w tej drugiej książce Burnhama bardzo bliskie pokrewieństwo duchowe z ideami hitleryzmu, faszyzmu oraz innych teorii „elitarnych"

Charakterystyczne dla wywodów autora jest motto, które umieszcza na czele swej książki. Jest to motto z Peryklesa:

„Panie, dziwuję się jak też te ryby żyją w morzu?

Pierwszy rybak: Cóż, jak ludy na ziemi. Większe zżerają mniejsze".

Pod pozorami naukowości w nowej książce Burnhama znajdujemy właściwie kult zoologii, apoteozę siły, robioną na zimno, czysto „intelektualistycznie". Walki ideowe, hasła powszechne, ruchy mas, ofiarność w walce, wynikają ze złudzeń i są tylko materiałem eksploatowanym przez silnych dla zgnębienia lub pożarcia słabszych. Nie należy tego — wywodzi Burnham — ani potępiać ani usprawiedliwiać. Należy to po prostu przyjąć do wiadomości jako fakt niezmienny, górujący nad wszelkimi przemianami historycznymi i przewrotami społecznymi. Inaczej narażamy się na śmieszność, a w socjologii stajemy na sentymentalno-idealistycznym stanowisku Dantego, którego autor nie wiadomo dlaczego traktuje jako najbardziej typowego przedstawiciela nienaukowej myśli politycznej, poświęcając obszerny, żmudny i zgoła zbyteczny rozbiór jego rozprawie p.t. „De Monarchia".

Antytezą Dantego jest Machiavelli, na którego Burnham powołuje się jako na swego protoplastę ideowego. U progu epoki nowożytnej Machiavelli pierwszy sformułował zasady naukowej polityki, zasady nauki o władzy. Imię Machiavelliego było przez wieki otoczone pogardą i oburzeniem moralnym, jako synonim podstępu i podłości w walce politycznej. Jest to — powiada Burnham — ocena niesłuszna i krzywdząca Machiavelliego. Jedyną winą autora „Księcia" jest to, że odrzuca on idealistyczne pozory, a bada mechanizm walki politycznej. Podobnie jak klasycy eko-

nomii stworzyli pojęcie homo economicus, to jest człowieka dla celów analizy naukowej odartego ze wszelkich cech moralnych, uczuciowych, estetycznych a reagującego tylko i wyłącznie w sposób ekonomiczny, podobnie Machiavelli bada właściwie twór który można nazwać homo politicus, czyli człowieka, którego ja jest całkowicie wypełnione walką o władzę i którego wszystkie reakcje i odruchy są chemicznie czystymi przejawami tej walki.

W poemacie Marlowe „The Jew of Malta" Machiavelli sam siebie charakteryzuje w sposób następujący:

Chociaż niektórym wstrętne moje imię,
Lecz wielbiciele moi walcząc z potwarcami
Tłumaczą słusznie, że ja Machiavelli
Nie nazbyt ceniąc ludzi i słów ich nie cenię.
Wielbią mnie właśnie ci co nienawidzą
I choć potępią jawnie moje księgi,
Jednak je czytać będą, by tą drogą sięgać
Do Piotrowego stolca, bo bez moich nauk
Padną struci przez uczniów moich pnących się do władzy.
Religia dla mnie dziecinną zabawką
I nie masz grzechu, sądzę, prócz niewiedzy.
O morderstwach przeszłości niechaj ptaki skrzeczą
Ale mnie wstyd wsłuchiwać się w te głupstwa.
Wielu zapyta was o tytuł do korony:
Lecz jakież prawo Cezar do cesarstwa miał?
Przemoc czyniła królów i prawo w moc rosło,
Gdy jak drakońskie niegdyś krwią było pisane.

„Książę" Machiavelliego — „lew i lis" — jest oczywiście najidealniejszym okazem homo politicus. Jest on pełen pogardy dla sentymentów i ideałów a jedynym jego zainteresowaniem jest technika władzy i walki o władzę.

„Można wywodzić — pisze Burnham — że wielu ciemiężycieli i tyranów uczyło się od Machiavellego sztuki skutecznego zmierzania do swoich celów, i że to usprawiedliwia ogólne potępienie jego poglądów. Prawdą jest, że Machiavelli był nauczycielem tyranów niemal już za swego życia. Tomasz Cromwell na przykład, gminnego pochodzenia kanclerz, któremu Henryk VIII oddał tę godność, gdy Tomasz Moore nie chciał uczynić ze swego sumienia narzędzia interesów swego władcy, nosił zawsze, jak powiadają, w kieszeni egzemplarz książki Machiavelliego. Za naszych czasów Mussolini pisał dysertację na temat Machiavelliego. Lecz wiedza pod tym względem zachowuje niepokojącą neutralność. Nie winimy analityka, który rozwiązał tajniki chemiczne trucizny, jeśli morderca wyzyska jego odkrycie. Nie winimy badacza stopów metalowych, jeśli przy pomocy formuł jego rozbije się kasę ogniotrwałą, ani też nie winimy chemików czy fizyków z powodu eksplozji bomb padających na Warszawę czy Czung-King". Podobnie — wywodzi Burnham — nie można winić Machiavelliego za użytek jaki zeń czynili tyrani i dyktatorzy różnych epok. Potępianie Machiavellizmu w gruncie rzeczy służy interesom jego uczniów, władców, którym zależy na tym, by swą walkę o władzę drapować idealistycznie i przystrajać w motywy altruizmu, wzniosłości itd. „Dlatego też władcy i ich rzecznicy — „oficjalni" myśliciele, prawnicy, filozofowie, kaznodzieje, demagodzy, moraliści, dziennikarze, muszą zniesławiać Machiavelliego. Machiavelli powiada, że władcy kłamią i nie dochowują wiary. Dowodzi to tylko, że zniesławia on naturę ludzką. Machiavelli powiada, że ludzie ambitni walczą o władzę. Jest to oczywiście obrona opozycji, nieprzyjaciela, i podważanie zaufania do

nas, to znaczy do tych, którzy prowadzą was dla waszego własnego dobra i dobrobytu. Machiavelli powiada, że nalezy bacznie czuwać nad urzędnikami i podporządkować ich prawu. Zachęca on do wywrotowości i do utraty jedności narodowej. Machiavelli powiada, że nie należy ufać żadnemu człowiekowi u władzy. Widzicie, że czyni on zamach na waszą wiarę i ideały".

W tym wywodzie na temat Machiavelliego argumentacja Burnhama jest dość przekonywująca, choć autor amerykański w swej ocenie Machiavelliego nie jest zdaje się ani odosobniony ani oryginalny. Inaczej nieco przedstawiają się jego wywody, gdy przechodzi do analizy teorii Machiavellidów, to jest tych pisarzy, których uważa za naukowych badaczy polityki. Galeria Machiavellidów, z którą spotykamy się w książce Burnhama, jest zresztą nieliczna. Wymienia on tu trzech czy czterech pisarzy politycznych XX-ego wieku: Gaetano Mosca, Roberta Michels, oraz Wilfredo Pareto. Z pewnymi zastrzeżeniami Burnham zalicza do tej szkoły również teoretyka syndykalizmu francuskiego Jerzego Sorela. Wydaje się rzeczą co najmniej dziwną, że w literaturze politycznej czterech wieków, które minęły od śmierci Machiavelliego Burnham nie znajduje żadnej ciągłości w rozwoju myśli machiavellowskiej. Jest to oczywiście luka dość sztuczna. Inną rzeczą charakterystyczną jest to, że trzej Machiavellidzi, których dzieła streszcza i analizuje w swej książce — to dwaj Włosi i jeden Niemiec, wszyscy prekursorzy totalistycznych teorii. Szczególnie Pareto był podobno dość popularny w Polsce wśród niektórych kół pisarskich, hołdujących zasadom elitaryzmu.

Dorobek myślowy tych Machiavellidów, którymi zachwyca się Burnham, nie jest w gruncie rzeczy zbyt imponujacy. Trudno na przykład dopatrzeć się wielkiego odkrycia naukowego — jak to czyni Burnham — w dość elementarnym twierdzeniu pisarza włoskiego Mosca, że na przestrzeni całych dziejów władzę sprawowała zawsze mniejszość. Mosca krytykuje dwa, zdaniem jego, najpowszechniejsze błędy myślenia politycznego. Jeden z nich polega na przypuszczeniu, że tyran czy dyktator rzeczywiście sam rzadzi i panuje. Mosca wskazuje na to, że żadna jednostka nie byłaby w stanie narzucić swej woli społeczeństwu, gdyby nie miała do swej dyspozycji grupy ludzi podzielających tę wolę i gotowych do narzucania jej innym. Drugi błąd to przypuszczenie, że większość potrafi sama sprawować władzę. W błędzie tym Burnham wraz z Machiavellidami widzi najbardziej typowe i najgłębiej zakorzenione złudzenie demokracji. To odkrycie wypowiadane jest z tak poważną miną naukową, że czytelnik czuje się po prostu rozbrojony. Czy rzeczywiście Burnham przypisuje zwolennikom rządów demokratycznych czy ludowych aż tak naiwne złudzenie? Fakt, że dziesiątki milionów ludzi nie mogą same sprawować władzy oznacza po prostu, że społeczeństwo nie może składać się z samych urzędników, że ktoś musi orać, wydowywać węgiel i żelazo, budować maszyny, produkować płótno, uczyć w szkołach itd., itd. Cechą demokracji nie jest i nie była nigdy aż tak naiwna dążność do władztwa ludu. Władztwo ludu na tym polega, że większość deleguje do funkcji sprawowania władzy grupę swych przedstawicieli. Nieprawda — odpowiada na to Machiavellida. To nie większość wybiera swych przedstawicieli, lecz grupy rządzące pozwalają się wybierać przez większość. Historia zaś nie jest ani historią mas, ani historią ruchów masowych, ani historią klas, lecz przede wszystkim historią grup panujących, a polityka — wiedza o tych grupach, o ich pochodzeniu, rozwoju, składzie i metamorfozach. W łonie grup rzadzą-

cych odbywa się ciągła walka nie o byt, lecz o wpływy. Wszelką zaś grupę rządzącą cementuje jedność formuły politycznej, stanowiącej jej credo. Takimi formułami politycznymi są łaska boża, mit rasistowski, lub wola ludu. Formuła polityczna zmienia się w zależności od ducha epoki, lecz trwałość i ciągłość formuły jest warunkiem trwałości i ciągłości grupy rządzącej. Stąd waga i siła tradycjonalizmu w obyczajowości i życiu tych grup. „Rzym, Japonia, Wenecja — wszystkie podobne wiekowe państwa bardzo tylko powoli zmieniały stare formuły i uświęcone czasem metody, sposoby i rytuały. Były one zawsze surowe wobec racjonalistów, którzy dążyli do skompromitowania ich. Na tym w gruncie rzeczy polegała zbrodnia, za którą Ateny skazały Sokratesa na śmierć. Z punktu widzenia swego przetrwania Ateny prawdopodobnie miały prawo tak uczynić".

Wprawdzie Mosca przyznaje, że grupy rządzące mogą się kierować dwiema „zasadami" — autokratyzmem lub liberalizmem. Przyznaje też, że grupy rządzące, które kierowały się „zasadą liberalną" rządziły lepiej, że okresy panowania tych grup są to okresy największego rozkwitu kultury ludzkiej i rozwoju indywidualności, podczas gdy metoda autokratyczna hodowała sykofantów i ducha niewolniczego wśród kandydatów do grupy rządzącej. Lecz mimo to wpływ większości na rządy Mosca uważa za pozór, a dzieje grup rządzących traktuje jako samowystarczalny motyw rozwoju ludzkości.

Tę samą teorię rozwijają dalej Michels i Pareto. W teorii Michelsa nie wiele znajduje się elementów nowych. Na uwagę tu zasługuje jedynie określenie Bonapartyzmu jako głównego współczesnego typu kierownictwa elitarnego. Cechą Bonapartyzmu jest to właśnie, że opiera on rządy wąskiej grupy na podstawach suwerenności ludowej. „Utożsamianie Bonapartyzmu z innymi formami despotyzmu jest poważnym błędem historycznym. Bonapartyzm nie jest tylko dyktaturą wojskową, nie jest on również tradycyjnym, dziedzicznym lub z łaski bożej wywodzącym się despotyzmem absolutnych monarchów. Nie jest też oligarchiczną władzą zamkniętej warstwy dziedzicznej. Dojrzały Bonapartyzm jest despotyzmem ludowym, demokratycznym, opartym na doktrynie demokratycznej i przynajmniej w zaczątkach swoich związanym z formą demokratyczną. Jeśli Bonapartyzm w rzeczywistości raczej niż w teorii przeczy demokracji, to przeczy jej przez doprowadzenie demokracji do pełni".

Wszelka organizacja prowadzi do usamodzielnienia się grupy rządzącej, co Michels a za nim Burnham nazywa żelaznym prawem oligarchii. Analizuje on z kolei formy reakcji i samoobrony przed tym prawem oligarchii i wywodzi, że wszystkie typy tych reakcji cechuje bezsilność. Referendum lub plebiscyt przeważnie utwierdza tę oligarchię u władzy. „Wyrzeczenie się" czyli dażność do wytworzenia ubogiej i nie korzystającej z przywilejów grupy rządzącej w praktyce zawodzi. Syndykalizm czyli dążenie do wyeliminowania polityki na rzecz interesów zawodowych, jest buntem przeciwko oligarchii politycznej, który kończy się kapitulacją przed oligarchią rzadzącą w organizacjach zawodowych. Wreszcie najkonsekwentniejszym buntem przeciwko żelaznemu prawu oligarchii jest anarchizm, który nigdy jednak nie zdobył sobie realnego wpływu na życie społeczne i polityczne.

Nowoczesny Machiavellizm znajduje swego najbardziej typowego teoretyka w Pareto. Jest on autorem teorii o t.zw. cyrkulacji elit, czyli grup rządzących, które powstają drogą stopniowej

selekcji. Jest to w gruncie rzeczy socjologia mafii i nie jest może kwestią przypadku, że powstała ona we Włoszech, ojczyźnie mafii. Ruchy i programy społeczne są w tej teorii tylko nędznymi rekwizytami, na których tle dokonuje się proces najważniejszy: cyrkulacja elit. Ideałem Pareta jest t.zw. wolna cyrkulacja, czyli swobodna selekcja elit. Z reguły jednak w łonie każdej elity powstają przeszkody i obstrukcje wobec swobodnej selekcji. Są to jak gdyby skrzepy powodujące zaburzenia w cyrkulacji. Gdy skrzepy te nabierają zbyt wielkich rozmiarów, stara elita nie potrafi dłużej utrzymać się u władzy i następuje moment rewolucji. Lecz stara elita nigdy nie zostaje naprawdę zniszczona. Ulega ona wchłonięciu przez elementy organizujące nową elitę rządzącą.

Trudno nie dziwić się zachwytom jakie budzi w autorze amerykańskim odkrycie naukowe Pareto. Teoria jego w gruncie rzeczy wywiera wrażenie próby „naukowego" analizowania obiegu krwi w głowie ludzkiej „w oderwaniu" od obiegu krwi w całym organiźmie. Że ruchy masowe, klasy, warstwy społeczne wyłaniają z siebie grupy, które dzięki swej aktywności, energii, czy też wiedzy odgrywają rolę przodującą w życiu swych środowisk społecznych, temu trudno zaprzeczyć. Lecz trudno traktować jako objawienie naukowe teorię, dowodzącą organicznej samowystarczalności tych grup i analizującą te grupy w oderwaniu od ich środowisk społecznych. Do tego zaś sprowadza się ostatecznie mądrość polityczna Machiavellidów, do których z dużym nakładem cytatologii i pseudonaukowego rytuału przyłącza się nasz pisarz amerykański.

Można jednak zadać pytanie co doprowadza byłego lewicowca do tych zachwytów nad elitaryzmem. Odpowiedź jest dość prosta. Jest to owa „managerial revolution", czyli rewolucja kierowników przemysłu. Rewolucje dotychczas odbywały się na tle wielkich ruchów masowych. Managerowie jednak w żadnym społeczeństwie nie stanowią siły masowej. Są oni niewątpliwie elitą techniczną społeczeństw przemysłowych. Burnham mianuje ich elitą polityczną. Ponieważ jednakże brak im tego co charakteryzuje przewódców politycznych, a mianowicie ruchów masowych, więc dla usprawiedliwienia swej perspektywy na temat „managerial revolution" Burnham zmuszony jest sięgnąć do teorii cyrkulacji elit. Epoka starej elity kapitalistycznej — oświadcza on — ma się ku końcowi. Wobec rozwoju techniki i roli przemysłu w życiu społeczeństw współczesnych stara elita musi ulec odnowieniu lub metamorfozie. Skrzepy w cyrkulacji elity doszły do punktu krytycznego. Przełamać je potrafi tylko zwycięskie wtargnięcie technokracji do świątyń władzy.

„Nowa lub odnowiona elita (jak widzieliśmy stara elita nigdy nie bywa całkowicie zmieciona) musi zawierać w sobie ludzi zdolnych do sprawowania kontroli nad współczesnym przemysłem masowym, masową siłą roboczą i ponadnarodowa formą organizacji politycznej. Oznacza to zastąpienie prywatnych właścicieli, biegłych w manipulowaniu zysków i strat finansowych na rynku, oraz starego typu polityków parlamentarnych przez tych, których nazywamy managerami — przez zarządców produkcji i organizatorów procesu przemysłowego, urzędników wyszkolonych w manipulowaniu wielkimi organizacjami pracy..." Po to, by ustrój „managerski" mógł funkcjonować należycie, struktura gospodarcza społeczeństw musi ulec zmianie. Własność prywatna musi ustąpić własności państwowej a idee suwerenności państwowej winny być zastąpione ideami szerokich organizacji kontynentalnych.

Burnham jest ciekawym przykładem pomieszania pojęć wynikającego z sytuacji, którą Koestler tak lapidarnie określił jako „tradition decayed and Utopia betrayed". Z kart jego książki bije niewiara w przyszłość ustroju kapitalistycznego i równie silna niewiara w masowe ruchy lewicy. Doświadczenia rosyjskie a zwłaszcza sformowanie się elitarnego systemu w Rosji leży u źródeł rozczarowań autora. Lecz w trakcie buntu przeciwko elitaryzmowi sowieckiemu pada on jak gdyby na kolana przed ideą elitarną w ogóle. Pozbawia to jego krytykę Sowietów siły przekonywującej a zarazem całej koncepcji nadaje przykry posmak tendencji faszystowskiej.

H. S. DOMINIK

PODRÓŻ MIĘDZY WOJOWNIKAMI

Książka Ewy Curie „Journey among Warriors" jest inteligentnie napisana, pełna ciekawych szczegółów i niecodziennych opisów. W literaturze każdego kraju znalazłaby poczesne miejsce. Powinna się znaleźć w ręku każdego inteligentnego człowieka który pragnie wiedzieć co się na świecie dzieje.

Jest to książka o wojnie. Reportaż z podróży podczas której autorka przebyła w ciągu paru zaledwie miesięcy 40.000 mil. Zwiedziła Egipt, Syrię, Persję, Rosję, Burmę (ostatnim pociągiem wyjechała z Rangoonu), Chiny i Indie (podczas pobytu Sir Stafford Crippsa). Inteligentny reporter — a Ewa Curie jest zarówno inteligentna jak utalentowana — wyniesie z takiej podróży mnóstwo spraw godnych opowiedzenia i godnych wysłuchania.

Jednak ważność jej książki leży w czymś innym. W niesłychanym mnóstwie szczegółów. Nieobciążona balastem zawodowej rutyny widzi rzeczy i sprawy odmiennie niż zawodowi reporterzy. Jej analiza polityczna czy strategiczna wypada może nieco słabo, ale zyskuje za to strona ludzka. A to przecież ludzie walczą i giną w tej straszliwej wojnie maszyn i organizacji. Pracowicie i niestrudzenie notuje Ewa Curie rozmowy z najprzeróżniejszymi ludźmi. Zna i wymienia nazwisko każdego towarzysza podróży. Przeważnie oficerów, lotników, urzędników jadących w jakichś służbowych sprawach. Ta wielka ilość nazwisk nuży czytelnika ale daje książce znamię autentyczności. Napchana datami, faktami, nazwami miast i ludzi których spotkała — znanych, sławnych, najsławniejszych, to znów szarych, nikomu zda się niepotrzebnych, najzupełniej anachronicznych w tej książce o wielkich wydarzeniach, w tej podróży „among warriors" nie „among soldiers" — ma ta książka charakter dokumentu. Ewa Curie miała dwie drogi do wyboru. Mogła szukać ludzi wielkich lub ludzi małych. Wybrała drugą drogę. Ale i tu miała dwie możliwości. Mogła szukać maluczkich: żołnierza, chłopa, robotnika lub tych mniej małych: oficera, urzędnika, inteligenta. Znowu wybrała drugą drogę. Trzeba to wyraźnie podkreślić zanim przejdziemy do analizy tego co widziała. Oglądała bowiem świat we wojnie oczami ludzi należących do pewnej warstwy społecznej (nawet w Rosji). Jej obraz będzie zatem równie niekompletny jak obraz Willkiego, który kolekcjonował największych. Nie jest to błąd. Jest to sposób podejścia. Ponieważ jednak zasięg geograficzny tego co widziała jest olbrzymi i ponieważ kusi on

do stwierdzenia, że widziała wszystko, przeto należało to podkreślić.

I jeszcze jedno. Ewa Curie jest przejęta wojną. Jej kobieca, nieco naiwna egzaltacja jest niewątpliwie szczera. Nie jest to sprawozdanie cwaniaka-reportera, który wszystko wie lepiej i który jest zblazowany wojną i własną przemądrzałością, a który jeśli używa patosu to tylko jako figurę retoryczną. Ewa Curie pamięta Francję lata 1940 roku. Przez całą książkę przewija się motyw tragedii jej ojczyzny. Jest jedną z tych, którzy nie zapomnieli. Pięknie wyrazi się to w rozmowie z Ghandim, gdy ta młoda kobieta zbija doktrynerski pacyfizm starca argumentem doświadczenia.

* * *

Pierwszym etapem podróży jest Egipt. Charakterystyka Egiptu czasów wojny jest trzeźwa. Przykro trzeźwa. Bez brytyjskiego kompleksu imperialnego i bez polskiej tromtadracji. „La clarté de l'esprit latin" działa na czytelnika jak tusz zimnej wody. „Sądzę, że rozwiązanie które zadowolniłoby wielu Egipcjan byłoby, aby Anglicy wygrali wojnę ale aby ponieśli na drodze do zwycięstwa jak najwięcej porażek i upokorzeń". Albo opis francuskich okrętów wojennych zakotwiczonych w Aleksandrii. Boli ją ten widok. Chciałaby widzieć swą Francję męską i walczącą. Jak ów dywizjon francuskich Blenheimów lecący nad pustynią libijską. „Ponieważ widziałam te samoloty francuskie na niebie, ja na ziemi poczułam się nagle silniejsza i mniej samotna". Okręty francuskie pod wodzą admirała René Emile Godefroy wybrały mniej godną postawę: wyczekiwanie. „Oficer francuski miarowo chodził tam i z powrotem po pokładzie swego okrętu. O tym okręcie wojennym powiedział pewien Anglik: „Wydaje mi się, że popłynąłby z nami gdyby tylko ktoś go popchnął". Tak, ale kto zechce go popchnąć? Z pewnością nie Anglicy... Aby przejść z okrętami na stronę gen. de Gaulle'a internowani oficerowie i marynarze musieliby się „zbuntować" przeciwko rządowi w Vichy. Czy wolno marynarzowi się „buntować"? Oficerowie Royal Navy nie potrafiliby powiedzieć, tak... Wierzyli oni, że flota jest swego rodzaju zakonem, w którym „bunt" był rzeczą której się nie robi".

Jednak nie zawsze ta łacińska przejrzystość myśli znajduje swój wyraz. Kontrastem jest ocena gen. de Gaulle'a. Kompozycyjnie niepotrzebna w reportażu. Bardzo kobieca w swym entuzjazmie, ale brzmiąca przez to fałszywym patosem jak maniera mówców francuskich monotonnie skandujących napuszone frazesy. Jeśli tak szczerze przejęta demokratycznymi sloganami autorka wpada w ton idolatrii wodza, to do głosu doszedł nie „ésprit latin" ale chyba słowiańska połowa jej intelektu.

* * *

Najciekawsze z całej podróży są wrażenia z Rosji. Aktualność tematu; drobiazgowa szczegółowość opisu, owo kobiece podejście, które każe jej zauważyć, że „urzędniczka na lotnisku w Baku miała ciemne oczy, bladą zmęczoną twarz, grubą spódnicę, wełniany żakiet i podniszczony beret, który ukrywał jej krótkie czarne włosy. Wargi miała z lekka karminowane, ale twarz jej nie była pudrowana..."; fakt, że nazwisko matki torowało jej drogę tam gdzie inni reporterzy potykali się o rosyjską podejrzliwość i nieufność; duży talent pisarski i bardzo żywa inteligencja — to wszystko daje w wyniku obraz Rosji dość wyraźny aby zezwolić czytelnikowi na wysnucie wniosków i na urobienie opinii.

Z przeogromnego bogactwa materiałów, oto parę punktów które charakteryzują zarówno książkę jak też podejście autorki do tematu.

1) Ewę Curie uderza kontrast pomiędzy zaopatrzeniem armii a zaopatrzeniem ludności cywilnej. Widzi w tym kontraście dowód patriotyzmu rosyjskiego i wolę zwycięstwa (— sprawy, których brak tak boleśnie odczuła we Francji w 1940 r. —). Czego nie widzi czy nie wie jest, że kontrast ten nie jest typowy dla Rosji ale, że jest cechą powszechna wszystkich krajów ubogich. Kontrast pomiędzy luksusem angielskich milionerów a szarością angielskich mas, jest kontrastem między ekstrawagancją a normalnością. Kontrast społeczny w Polsce, Rosji, na Bałkanach i w Europie Środkowej jest kontrastem pomiędzy normalnością a brakiem wszystkiego. Nędza stwarza apatię. Ową bierność która nie rozumie, że może być w ogóle inaczej. Rzecz jasna, że jest w tej postawie ludu rosyjskiego także patriotyzm ale życie nie jest ani tak prostolinijne ani tak ograniczone aby jedno uczucie czy jedno określenie rozwiązywało wszystko. Kobiety ustawione w ogonku przed sklepem widzą wóz pełen mięsa jadący na front. Ewa Curie podziwiała ich patriotyzm, gdyż żadna z kobiet nawet nie podniosła głowy na ten widok. Ale czy jest pewna, że bez podniety patriotyzmu kobiety te postąpiłyby inaczej? Dziecko zazdrości zabawki drugiemu dziecku, ale nie będzie zazdrościło pieniędzy dorosłemu!

2) Kwestię religii i swobody religijnej w Rosji — która tak bardzo pasjonuje naszych anglosaskich przyjaciół — tłumaczy jasno i rzeczowo. Znowu „esprit latin". Nie ma prześladowania kościoła w Rosji. „Bitwę z kościołem wygrano, a zwycięzca może sobie pozwolić na zawieszenie broni" zwłaszcza „jako koncesję dla swych chrześcijańskich sprzymierzeńców".

3) Sztuka rosyjska, po wyskokach rewolucyjnego modernizmu powraca do starych, klasycznych wzorów. „Zawiły indywidualizm wielu współczesnych dzieł, ich subtelność, ironia i egotyzm nie mogły same przez się zadowolić narodu, który widział przed sobą zadanie wymagajace nieograniczonych zasobów wiary. Od obywatela sowieckiego wymagano aby pracował w czasie pokoju jako pionier w najtwardszych warunkach. Podczas wojny spodziewano się po nim, że będzie walczył jak bohater i — jeśli będzie trzeba — że będzie ginął jak bohater. Niewieie współczesnych książek czy utworów muzycznych jest dość prostych, silnych, namiętnych i nieprzemądrzałych aby mogły mu w tym dopomóc, aby umiały się doń dostosować". Brzmi to bardzo ładnie ale nieco osobliwie w ustach pisarki tak mocno związanej z kulturą francuską.

Podczas przedstawienia w operze, Liuba Mieston, porucznik armii sowieckiej i „anioł stróż" czuwający nad szczęśliwością Ewy Curie w Rosji, powiedziała do niej: „Ta scena rozgrywa się w domu Tatiany w Petersburgu. Za tymi oknami widać rzekę. Zamarznięta Newę. — „To było wszystko co mi powiedziała, ale ja czułam, że wszyscy na sali przypomnieli sobie nagle wojnę. Każdy myślał o groźnej teraźniejszości, o oblężeniu Leningradu". Znowu literatura. Bo oto parę stron dalej czytamy dlaczego nie dopuszczono jej do Leningradu: „Wiem, że dotychczas nie dopuszczano cudzoziemców do Leningradu, ale eksperci rosyjscy powiedzieli mi, że lot nie był w rzeczywistości ani trudny ani naprawdę niebezpieczny. Pułk. Boltina był sam przekonany, że byłoby ważne abym parę dni spędziła pomiędzy milionami ludzi zamkniętych w wielkim mieście i abym mogła obserwować jak toczą cierpli-

wie walkę w przeraźliwych warunkach. Ale tego właśnie „wysoki urzędnik" nie chciał abym widziała. Myślał sobie zapewne, że życie jest zbyt twarde w oblężonym mieście aby oczy człowieka z zachodu mogły na to patrzeć. Było tam zbyt wiele cierpienia i zbyt wiele głodu. W Leningradzie było bohaterstwo w łachmanach. Silniejsze niż choroba i nędza. Silniejsze niż zniechęcenie. Silniejsze niż śmierć. A to byłoby zbyt brutalnym widokiem dla cudzoziemca, który przybył z krajów w których istnienie ludzkie ceni się nad miarę. To było bohaterstwo, które Rosjanie pragną zachować dumnie dla siebie, jako tajemnicę".

Obedrzeć to zdanie z frazesu a bohaterstwo Rosji staje przed nami w całej swej potężnej, przejmującej do szpiku kości, straszliwej grozie. I wbrew obawom „wysokiego urzędnika" nic na tym nie traci. Przeciwnie. Przypomina nam jako żywo inną grozę i inne bohaterstwo: Warszawę. Warszawa także nie była na pokaz. Ale czy naprawdę oczy człowieka Zachodu by tego nie wytrzymały? Nie umiem na to odpowiedzieć. Czasami wydaje mi się, że spokojna rzeczowość Anglików, która przeszła próbę wielkości jesienią 1940 r., jest chyba gwarancją, że Anglik 1944 r. nie jest tym samym który na strusi sposób witał w 1938 r. Chamberlaina przywożącego na lotnisko w Croydon „peace in our time".

4. Znamy i podziwiamy wszyscy bohaterstwo i poświęcenie żołnierza sowieckiego i sowieckiego ludu, ale gdy czytamy patetyczne dytyramby Ewy Curie mimo woli — par l'esprit de contradiction — pytamy się: „Cóż inne mieli robić?" W Londynie grają obecnie sztukę norweskiej autorki Helge Krog p.t. „On Life's Sunny Side". Bohaterka sztuki, biedna dziewczyna tłumaczy dlaczego wyszła za mąż za bogatego właściciela ziemskiego. Miłość jej była szczera i prawdziwa, ale dziewczyna nie może powiedzieć, że motywy jej były zupełnie bezinteresowne. Ci którzy z racji urodzenia czy posiadanego majątku sa „on life's sunny side" nie rozumieją tego, że prawdziwa miłość może się zrodzić z bardzo materialnych pobudek. Ewie Curie wydaje się, że bohaterstwo Rosji musi mieć czysto ideowe podłoże, że musi być bez skazy. Tym razem to chyba nie „l'ésprit latin" ale słowiańska egzaltacja. Ciekaw jestem co o tym myślą jej marksistowscy przyjaciele w Rosji.

5. Karmelkowaty opis Kujbyszewskiej ambasady polskiej ostudza naszą wiarę bądź w zdolności obserwacyjne, bądź w szczerość Ewy Curie. Życie i ludzie nie składają się z samych plusów. Gdy czytamy o sprawach obcych, o obcych krajach i obcych ludziach możemy porwani pięknym stylem zapomnieć o tym. Gdy czytamy o sobie, i jeśli nie jesteśmy zepsuci zarozumiałością lub szowinizmem, to taka słodzona prawda smakuje fałszem. Jest dużą wadą tej świetnej książki, że autorka — z jednym bodaj wyjątkiem Ghandiego — chwali wszystkich swoich rozmówców bez wyjątku. Począwszy od gubernatora miasta Kazvin w Persji p. Nasratullal Mustashari (znajomość języka polskiego powinna była ostrzec autorkę przed powtarzaniem nikomu niepotrzebnych nazwisk) a skończywszy na Chiang Kai-sheku.

* * *

Burma. W tej olbrzymiej podróży nie zapominamy ani na chwilę o wojnie, choć droga wiedzie zarówno przez krajobrazy bitewne jak i spokojne. Bitwa przeplata się z pokojem w niesamowity gorgonowy warkocz. Opis walki wręcz z Japończykami w dżungli burmańskiej, groźna rozprawa pierwotnych ludzi przy użyciu współczesnej broni, a tuż obok opis podzwrotnikowej puszczy, majestatyczny w swym niemal pogodnym prymitywie.

Ta cała daleka wojna rzucona na tło mapy świata wydaje się jakąś sprawą z nieprawdziwego zdarzenia. Tak dziwną, że myślimy o niej już dzisiaj kategoriami eposu i pieśni ludowej.

* * *

Ustęp o Chinach powinien przeczytać każdy Polak. Nie tylko z powodu analogii z ...Jugosławią. Chiang Kai-shek i komuniści nawzajem się zwalczający, walczą równocześnie ze wspólnym wrogiem zewnętrznym. (Jak świetne w swej pikanterii jest określenie: „The Chinese Communists, my dear, are somewhere to the right of Mr. Roosevelt".)

„Niebezpieczne myśli... Jak źle, jaką zbrodnią są „niebezpieczne myśli" w wolnych Chinach. Komunizm jako taki był ostro prześladowany przez Chiang Kai-sheka. Rozpoznany komunista nie mógł służyć w regularnej armii chińskiej. Jednak w ciągu pięciu lat swej wojny, generalissimo stale otrzymywał pomoc materialną od Sowietów". „Rozmawiałam w Chungkingu z chińskimi konserwatystami, z komunistami i z liberałami. Natknęłam się na paru prawie-faszystów, którzy powiedzieli mi, że Chiny muszą zapożyczyć powagę i gruntowność od Niemców a wizję i siłę od Rosji. A paru młodych ludzi mówiło do mnie o przyszłej demokracji według amerykańskiego wzoru... Entuzjasta wolności byłby niewątpliwie rozczarowany widząc rzeczywiste Chiny: demokratyczne na zewnątrz, totalistyczne od wewnątrz. Jednak sam fakt, że cudzoziemiec mógł spotkać w ciągu paru tygodni tak wielu ludzi o rozmaitych poglądach, którzy otwarcie wyrażali swe zdanie, świadczy o tym, że totalizm chiński nie jest zbyt bezwzględny. W Rosji nie dyskutowałam a n i r a z u na temat rządu sowieckiego z obywatelami ZSRR. Nie było po prostu obywatela który by chciał lub który by śmiał dyskutować na temat rządu sowieckiego z cudzoziemcem".

Odkrywamy nowe, niekonwencjonalne Chiny. Chiny wstydliwie ukryte za zasłoną dymną „power politics". Prawdziwe Chiny, tak jak prawdziwa Polska, to nie jest bezmyślnie jednolity kraj kroczący za Chiang Kai-shekiem („The Piłsudski of China"). To kraj targany walką wewnętrzną. Kraj który stać na więcej niż jedną myśl i na więcej niż jeden patriotyzm.

* * *

Rozdział o Indiach jest najbardziej wszechstronny choć nie najobszerniejszy. Ewa Curie umiała się w Indiach porozumieć z wszystkimi przewódcami politycznymi bez tłumacza. Angielski punkt widzenia znała z oświadczenia Sir Stafford Crippsa, z prasy, z książek. Hinduski pogląd usłyszała od Ghandiego, Nehru, Rajagopalachari, od dziennikarzy hinduskich i znajomych. Rozmawiała z przewódcą Moslem League Mr. Jinnah. Ambaras de choix źródeł informacji politycznej. Może dlatego zapomniała o kraju. Ewa Curie która w Rosji widziała małych ludzi i mniejsze sprawy, wpłynęła tu nagle na wartkie i zdradliwe wody wielkiej polityki. Poszła drogą najmniejszego oporu, tak jak drogą najmniejszego oporu szła w Rosji gdzie dotrzeć do sedna myśli politycznej było trudniej niż patrzeć (— przy pomocy tłumaczy i usłużnych przewodników —) na ludzi i rozmawiać z tymi których pozwolono jej dojrzeć. Nie jest to krytyka rosyjskiej części książki. Pokazała nam nieznane i ciekawe fragmenty życia rosyjskiego i pokazała je dobrze. Jest to krytyka jej doświadczeń indyjskich. Z Indii nie pokazała nam niczego o czym przeciętny europejski pożeracz gazet by nie wiedział.

* * *

„Jeden z naszych towarzyszy odezwał się: — Świat jest mały! — Mały? Kto powiedział „mały"? Dlaczego ten bezmyślny, bez końca powtarzający się frazes. Świat był olbrzymi i rozmaity. To prawda, że parę tysięcy osób mogło przelecieć w ciągu tygodnia z Miami do Indii. To prawda, że parę milionów żołnierzy wysyła się właśnie na dalekie pola bitew... Ale nawet to nie znaczy, że świat jest mały. Niezliczone masy ludu: białych, brązowych, czarnych i żółtych nie podróżują clipperami. Narody nie przeprowadzają się... Spotkałam w Burmie pilota amerykańskiego urodzonego w Illinois, który zwykł był latać z szybkością 300 mil na godzinę. Przez cały wieczór wypytywał mnie o życie w ZSRR. Rosja była dla niego tajemniczym, nieznanym Imperium..."

Książka Ewy Curie przez swoje mnóstwo szczegółów tłumaczy i uzmysławia nam skomplikowanie i wielkość współczesnego świata. Jak ów lotnik w Burmie, i my którzy przewędrowaliśmy cały glob, szukamy wytłumaczenia rzeczy i spraw najbardziej koniecznych. „Świat jest mały!" Znamy aż do znudzenia slogany i frazesy. Symplifikacje w rodzaju: wszystkiemu są winni Żydzi, masoni, bolszewicy, Mikołajczyk, Roosevelt — ukazują się na tle tej „Journey among warriors" ze swej najprawdziwszej strony. Nieinteligentnego, nierzeczowego, małego prowincjonalizmu.

WŁADYSŁAW STANKIEWICZ

JAMES CHRICHTON OF ELIOCK — SCOTUS ADMIRABILIS

W murach uniwersyteckiego St. Andrews trwa legenda o Crichtonie — czternastoletnim „Artium Magister". Na rogu North Street, jednej z trzech głównych arterii miasta, i Butts Wynd, zaułku, biegnącego pod uniwersyteckimi murami, w pogodne dni pełnego ciepłych słonecznych plam i chłodu cieni, a zawsze napełnionego ostrym wiatrem, powstającym w widnym z daleka błękicie morskim, w powietrzu niesłychanie przejrzystym, stoi studencki Union, budowla stara i niepokaźna, o bramie zapadniętej w ziemię, o maleńkich oknach, pełna korytarzyków i przejść wąskich i krętych, labiryntów schodów, o murach grubych niezmiernie.

Gdy jest noc ciepła i parna w porze Whitsunday Term'u, a przyległy „Diner" szumi muzyką, brzmi wielobarwnymi młodymi głosami, jaśnieje od świateł i powodzi czerwonych tóg — wymknijmy się z tłumu i gwaru, by przez opustoszałe korytarze podążyć do starego domu. Chłód sączy się z murów i cisza jest pod sklepieniami. W domu Crichtona, w którym on, jako „undergraduate" zamieszkiwał w latach siedemdziesiątych szesnatego wieku, na kamiennych ławach, na rzuconych na nie togach, których plamy są barwne mimo mroku, oddajmy się wypoczynkowi. Usypiający, przemożny spokój. Marzenie spływa jak sen niezwalczony, rodzi się z nastroju wieczoru, z radości, pełnej uśmiechów chwili, uroku momentu, w którym czyjaś obecność jest niepokojąco wyczuwalna... Na tle ciemnym i niematerialnym, jakby wyjętym z wczesno-renesansowego płótna — postać, mieniąca się gamą pasteli. Za chwilę będziemy z Crichtonem sam na sam.

W St. Andrews po wielokroć idziemy w poszukiwaniu nieistniejących tropów. Poznajemy filozofię życiową tego, który sobą nie był nigdy. Był jednostką tak złożoną, iż przekraczającą ramy osobowości — był sumą ludzkich wrażeń, instynktów, przeczuć, filozoficznych syntez, ubranych w szaty poezji i paradoksu — przepływających nurtem nieustannym. „Saisis l'instant!" — temu hasłu usiłował nadać znaczenie nowe, wyniósł je ponad wszelkie inne i kazał mu przyświecać swym krokom. Przebywanie z samym sobą nużyło go często i niepokoiło jednocześnie.

Głosił:

„I am but a voice,
My life is but the life of
winds and tides
No more than winds and
tides can I avail"

lecz w duchu przeczył temu, po stokroć ufając wiarą mocną i niezachwianą w istniejący w podświadomości „secretum meum nihi". Otaczał się ludźmi, oczarowanymi kolorytem jego głosu, zasłuchanymi w mowę jego sofistyczną. Roztaczał przed nimi czar nieskończony bogactwa żywego słowa. Dławiły go skurcze śmiechu, — niby satyryka, który drwiną i kpiarstwem zabarwia nicość codziennych zdarzeń, gdy szyderstwu, ukrytemu pod maską obojętności, nadawał formy wyrafinowanego komplementu. Trzymał wtedy moment w swej władzy niepodzielnej.

Pieśniarz boski, jakby żywcem wyjęty z obrazu Lockharta „The Swineherd" — o twarzy i ramionach, barwionych słońcem na kolor oliwkowy i złoty, o oczach niebieskich przejrzyście, dmący w konchę, w prześwietloną seledynem przestrzeń. Pieśniarz boski. Dawał światu świadectwo swej przebogatej młodości, radosnej pogody, myśli jasnej i odwagi serca. Strach życia nie miał do niego dostępu, gdyż nie znał, co to załamanie, upadek, zwątpienie. Nieustanny entuzjazm, jako postawa wobec każdego z poczynań. Czyżby wyczuwał, że po wielekroć umierają ci, co żyć nie potrafią? A zatem pełnia życia w każdym jego momencie. Wrażenie chwili adoptowanej sobie bez reszty — radośnie i ufnie, potęgując się na wspomnienie chwil, już przeżytych, na myśl o momentach, jakie przyszłość wyznaczy w udziale.

Wartość życia ludzkiego nie jest proporcjonalna do jego długości. Des existences tres brèves exhalent parfois plus de parfum que de longues carrières dessechées.

Dwudziestoletni Crichton usuwał w cień najświetniejszych ze współczesnych sobie. Zachwycał całą Europę — uczonych bezsilnych wobec mocy jego argumentów, sugestii słowa; dwory, podziwiające jego biegłość we władaniu orężem, gdy w rycerskich stawał szrankach. Jest u szczytu sławy i powodzenia, gdy kończy dwudziesty rok życia. I nagle jego życie przerwane zostaje w sposób gwałtowny.

Docierają do nas melodie z utworu boskiego pieśniarza, który zdawać się może skończoną, doskonałą całością.

*

James Crichton, syn Lorda Advocate'a Roberta Crichtona, urodził sią w r. 1560. W wieku lat 10 wstąpił do St. Salvator's College. W r. 1573 uzyskuje tytuł Bakałarza Sztuk, w dwa lata później — Mistrza. Opuściwszy uniwersytet, Crichton studiuje przez trzy lata pod kierownictwem wybitnych uczonych, jak Buchanan, Rutherford i Hepburn, jedną gałąź wiedzy po drugiej, aż zgruntuje wszystkie.

„Nie ograniczył się do jednej dziedziny — powie o nim Buchanan — interesowały go wszystkie nauki, był młodzień-

cem wszechświatowej erudycji, nadzwyczajnych zdolności i pamięci... ćwiczył się w naukach politycznych, retoryce, to znów w filozofii lub teologii". Uczy się również języków, które przychodzą mu z łatwością zdumiewającą. Wkrótce będzie znał ich 12. Przez pewien czas przebywa w Stirling, jako towarzysz młodego Jakóba VI. Będzie to ostatni epizod jego życia w Szkocji.

Włoskie pamiętniki z r. 1581 (Imperialis Museum Physicum) wspomną o nieprzeciętnej powierzchowności Crichtona, określając ją, jako męską, inteligentną, piękną.

Od wczesnej młodości odznaczał się Crichton żądzą celowania we wszystkim. Pasja, z jaką zgłębiał jedną gałąź wiedzy po drugiej, ani się na tym kończyła, ani wyczerpywała. Jego wszechstronne uzdolnienia, przebogata natura nie mogła ograniczyć się do świata myśli. W wieku, w którym trwał kult rycerskości, zapewne nie w swej najczystszej formie z dni pieśni króla Artura lub wypraw krzyżowych, ale wciąż jeszcze istniejącej jako motyw w wychowaniu młodzieży szlacheckiej, jeszcze nie zanikła nuta romantycznej rycerskiej przygody. Działała ona na wyobraźnię młodzieńca, roztaczała obrazy dalekich krajów, nęciła obietnicą czynu. Crichton jest doskonałym jeźdźcem, biegłym szermierzem, celuje w elegancji manier i w tańcu, śpiewa i gra na wielu instrumentach.

Z tymi osiągnięciami, po latach studiów, które były jednym sukcesem, w siedemnastym roku życia, Crichton wejdzie w życie.

Porzuca kraj, w którym się wychowywał i odtąd żyje na kontynencie. Nie była to ucieczka Menalque'a, zmęczonego światem starym, poszukującego nowego z pustką w sercu, z wieczną gorączką, trawiącą duszę, błądzącego, by odnaleźć siebie. Nie była to jedynie postawa estetyczna, którą oczarowany posiadł Alcide.

Crichton żył w okresie Elżbietańskim, gdy żarzył się jaskrawy płomień religijnej nienawiści. Ojciec — Lord Advocate Robert Crichton sympatyzował z Reformacją i szedł z leaderami protestantyzmu, którzy, szukając władzy dla siebie, żądali szafotu dla królowej, zwiastowali nieuchronną wojnę domową . Hasło czystości wiary protestanckiej było pozorem pod którym kryła się żądza władzy i łupu. Religia była jedynie płaszczem, zarzuconym na ramiona łupieżców. Łaski Anglii, łatwość zemsty prywatnej oraz chęć należenia do strony silniejszej — oto inne przynęty, którym nie oparło się wielu spośród szlachty szkockiej. Nie oparł się i Sir Robert, do niedawna zwolennik Marii Szkockiej.

W rodzinie jego było sporo gorących przeciwników królowej, jak James Stewart czy Lord Lindsey, a poza tym — Lord Robert wolał majętność swą zachować w stanie nietkniętym. Przyłączył się do rebeliantów.

Lecz James Crichton pozostał wierny religii i królowej i... stał się ofiara i bohaterem swoich czasów. Konsekwencją jest zerwanie stosunków z ojcem. Nie przestając być katolikiem opuszcza wyspę. Porzuca Szkocję, miotaną uczuciami religijnych nienawiści z postanowieniem pogłębienia studiów na uniwersytetach francuskich i włoskich, z chęcią nabycia doświadczenia wojskowego, a także z nietajonym życzeniem zabłyśnięcia erudycją już nabytą.

Pierwszy postój wypadł w Paryżu, gdzie, stosownie do panujących zwyczajów, każe rozlepić afisze z wezwaniem na publiczną dysputę w kolegium Nawarskim na dowolny temat z zakresu wszystkich nauk i w dowolnym z 12 wymienionych

języków. Według świadectwa Urquharta tłumy schodzą się pokaźne i przyglądają się z niedowierzaniem młokosowi, który śmie stawiać czoła uznanym autorytetom myśli. Lecz argumenty jego okażą się niebywale rozsądne, odpowiedzi szybkie i mądre i dysputa skończy się gratulacją ze strony rektora. Świat naukowy wyrazi Crichtonowi swe uznanie, cały Paryż — podziw, i przekazywać pocznie z ust do ust opowieść o sukcesach Szkota, który w dyskusji nie ustępuje autorytetom nauki a jednocześnie zdobywa palmy pierwszeństwa na rycerskich turniejach, na łowach, zawsze obecny na zabawach, festynach i balach i przy grach, którymi żył dwór Henryka III.

Z Paryża pojedzie Crichton zaciągnąć się pod sztandary armii francuskiej, a po dwu latach, porzuciwszy służbę, znajdzie się w Genui jako żołnierz doświadczony—„soldato a tutta botta".

W r. 1580 ogląda go Wenecja. Przyjedzie do niej ze świeżo ukończonym poematem łacińskim „In suum ad Urbem Venetam appulsum", pisanym hexametrem i dedykowanym słynnemu wydawcy i uczonemu Aldusowi Manutiusowi. Podbija również i innych czarem swej osobowości. Pisze ody — jedną ku czci Lorenzo Massa, sekretarza republiki weneckiej, drugą ku czci Giovanni Donati, uczonego i polityka. Manutius odpowiada w formie arcypochlebnego panegiryku, który zwróci na nieznanego dotychczas Szkota oczy całej Wenecji.

...„Jest on biegły w filozofii, teologii, matematyce i astrologii i utrzymuje, że rachunek, jakim się obecnie posługujemy, jest fałszywy... Posiada gruntowna znajomość kabały. Jego pamięć jest tak zadziwiająca, iż nie wie, co oznacza zapomnieć; po jednorazowym wysłuchaniu mowy jest natychmiast gotowym do jej dosłownego powtórzenia. Wiersze łacińskie pisze od ręki i gotów jest zawsze bez przygotowania powtarzać je od końca..."

Raport Aldusa o Crichtonie, wydany w formie ulotki stwierdza, że oddalił się on obecnie z miasta w wiejskie zacisze, by przemyśleć dwa tysiące kwestii (Sic!), na temat których dysputować będzie publicznie. Mając doskonałego impresario, mógł Crichton pracować spokojnie w swej „wielkiej willi".

Wiedział że nowe przedstawienie wyaranżerowanym będzie z pompą teatralną, że uczestniczyć będą doża i uczeni, a tłum będzie bił oklaski. W tym też okresie odda się całkowicie studiom; stanie się myślicielem, zanim przyjdzie mu być aktorem. Wsłuchując się w napiętą ciszę własnych myśli, może niejednokrotnie zapomni o aplauzie tłumów, które zbiorą się uwielbiać Wspaniałego Crichtona.

Lecz po cóż pogrążać się w naukę, gdy wiedza przychodzi tak łatwo, po cóż ślęczyć nad książkami, jeśli po jednorazowym przeczytaniu można recytować rozdziały, po cóż spędzać bezsenne noce, jeśli zna się na wylot starych filozofów, jeśli można wyliczać ich błędy, dyskutować nad fałszywością współczesnych nauk ścisłych. Po ośmiu tygodniach Crichton znajdzie, iż roli studiować nie trzeba, że zna ją na pamięć i recytować może z zamkniętymi oczyma.

Pośpieszy tedy ukazać się tłumom. Istną rozkosz sprawia mu uczucie, iż daje poznać Wenecji, że pochwały Aldusa czczymi nie były. Reakcja jest jednogłośna i spontaniczna. Uczony jest bohaterem dnia, ośrodkiem zainteresowania, bożyszczem tłumu. Wobec życia, które przychodzi doń z otwartymi rękami nie zawaha się na chwilę. Chwila obecna, pociąga, upaja, kusi nieodparcie. Nie jest się przecie niewolnikiem

książek, doktryn czy ludzi. Crichton ma właśnie dwadzieścia lat. Żyje teraźniejszością, olśniewającym powodzeniem, nieustanną pasją przodowania innym. Bawi się i śmieje śmiechem swobodnym. Czerpie życie pełnymi dłońmi. Żyje intensywnie każdą chwilą swego istnienia — w jednym, płonącym gwałtownie, namiętnym uniesieniu.

Wymiana myśli, kontakty z ludźmi jaknajszersze, są solą jego życia. Wciąż mając nienasyconą żądzę rozgłosu, szuka okoliczności, przy których wystąpienia jego stają się widowiskami dla setek, sukcesy — opowieścią dla tysięcy. Godnego przeciwnika nie znajdzie, dopóki nie napotka Giacomo Mazzoni, uczonego równie uniwersalnego, o wiedzy niewątpliwie głębszej. Przed nim schyli czoła, mówiąc, że jest wpierw żołnierzem, a później — myślicielem. Gest ten jest znamienny, charakteryzujący Crichtona-aktora.

W marcu 1581 impresario Aldus zawiedzie go do Padwy, ułatwi spotkanie z ludźmi, zapozna z Giacomo Cornelio Aloisiusem, patronem literatów, który z kolei zajmie się organizowaniem dysput. W czerwcu Crichton wraca do Wenecji, i niezwłocznie obwieszcza nowe wezwanie. Dysputa, w kościele św. Jana i Pawła, trwa trzy dni i Crichton wychodzi z niej niepobity. Uporczywie broni swej tezy, że filozofia Arystotelesa roi się od błędów, iż następcy mistrza pojęli ją fałszywie. Znajduje również doskonałą okazję do pogrążenia matematyków i astronomów — których wiedzy i osiągnięć wysoko nie ceni. Przeciwnikom Crichtona brak argumentów, on zaś mówi pewnie i śmiało, cytuje obficie na poparcie swych wywodów, i mówi tak przekonywająco, że nie sposób mu zaprzeczyć. Zostaje bezapelacyjnie zwycięzcą sceny.

W lutym 1582 jeszcze raz zmienią się dekoracje — tym razem po raz ostatni. Tłem do ostatniego aktu, jaki przyjdzie odegrać Crichtonowi, jest dwór księcia Mantui. Wstępnym bojem zdobywa na nim sławę rycerską, zabijając w szrankach pewnego niepokonanego awanturnika *). Projektuje fortyfikacje miasta, które książe aprobuje. Wreszcie pisze rodzaj dramatycznej satyry, ośmieszającej poszczególne zawody i... sam ją na dworze wystawia, odgrywając samodzielnie wszystkie poszczególne role — kapłana, filozofa, polityka, żołnierza itp.

Gdy zapadła kurtyna na koniec sztuki Crichtona autora, reżysera i aktora, koniec sztuki jego życia był bliski. Zginął w noc lipcową na mantuańskiej Piazza Purgo pod sztyletem Wincentego Gonzagi, syna księcia Mantui. Może był to mord, może tragiczna przypadkowa zwada.

*

Cóż pozostało po Crichtonie Wspaniałym? Śmierć zniweczyła, przekreśliła cały epos jego życia, które należało do epoki, oddane było wyłącznie chwili. Śmiertelne szczątki Crichtona na cmentarz mantuański odprowadzał jedynie jego sługa, — z tłumu rozlicznego, otaczającego Crichtona rojnie jeszcze onegdaj i wybuchami podziwu i szmerem uznania go witającego nie znalazł się nikt, kto by zatroszczył się o jego pamięć. Crichton odszedł, jak przyszedł — nieznany ziemi włoskiej. Pamięć o nim ginęła niemal momentalnie, wraz ze śmiercia. W jego kraju rodzinnym był niemal nieznany: opuścił go wszak w wieku lat 17, nie mając większej okazji dania wyrazu swemu geniuszowi. Dopiero w wiele lat później poczęła rosnąć legenda; narodziła

---

*) według Urquharta.

się ze świadectw osobistych przyjaciół Crichtona, których poznał podczas swych kontynentalnych wędrówek. Uczeni Manutius i Sperone Speroni nie kryli w swych pismach podziwu dla geniuszu Szkota. Kroniki uniwersyteckie w Paryżu i Padwie przechowały relacje dysput, na których olśniewał i zdumiewał James Crichton Artium Magister. W r. 1606 Johnston w swym dziele „Heroes Scoti" nazwie Crichtona „Admirabilis", a w pół wieku później Sir Thomas Urquhart wyśpiewa pean na jego cześć, pisząc pierwszy szkic biograficzny. Dokoła książki tej — „The Jewel", napisanej stylem fantazyjnie kwiecistym, urośnie w wiekach późniejszych legenda, w której żywot Crichtona zatraci cechy realności. Przestanie on być człowiekiem z krwi i kości, stanie się błędnym rycerzem, trubadurem, poszukiwaczem przygód, postacią romantyczną i nierealną. Przypisane mu zostaną zdolności nadprzyrodzone, czyny cudowne, których dokonać niezdolny był nigdy. Nieuniknionym następstwem będzie odbronzowienie bohatera, zaprzeczenie wartości, którymi tak nieopatrznie szafowano. Czasy obecne przyniosą koniec mitu bohatera.

*

Żywoty aktorów qua aktorów rzadko bywają długie. Trwają dopóki z desek scenicznych są aktorzy zdolni oddziaływać na wyobraźnię współczesnych, przemawiać do uczuć estetycznych widowni, olśniewać grą, patosem niekłamanych wzruszeń. Życia ich są krótkie, rozwijają się i trwają w słońcu teatralnych reflektorów, giną z zapadnięciem kurtyny. Wielki aktor grający w sztuce Shakespeare'a nazywany jest wielkim nie tylko z powodu jakości jego gry lecz też, że gra w sztuce Shakespeare'a. Wielkość talentu mierzona jest też wielkością tematu, roli, która talent wynosi i uświetnia. Aktorzy cieszą się nieraz wielką sławą wśród teatralnej publiczności, która idzie zobaczyć lub usłyszeć tego lub innego aktora, W istocie jednak chodzi się do teatru dla sztuki samej, którą aktorzy pomagają nam zrozumieć i wchłonąć, którą dają nam przeżywać i która dają nam się cieszyć. Ona bowiem jest wartością trwałą i niezniszczalną.

Crichton zabłysnął i zgasł wraz z zapadnięciem się kurtyny na mantuańskiej widowni. Zapomniano o nim rychło jak o wielu innych, jak o cudownym Ferdynandzie z Cordovy czy Stanisławie Niegoszowskim.

Zapomniano, bowiem okruchów opowieści i legend, które tułały się przez wieki, pamięcią nazwać nie można. Zapomniano, bowiem Crichton był aktorem, żył chwilą i należał wyłącznie do współczesności.

Zdolności uczyniły go eklektykiem, życie — hedonistą. Gromadził zapas wiadomości, które przychodziły mu z minimalnym wysiłkiem — i spalał się w płomiennej intensywności życia, niezdolny pojąć że błędem jest żądza aktywności jaknajszerszej, że rozpraszając się w dziesiątkach kierunków zmuszeni jesteśmy minać się z celem wniesienia do życia momentów pozytywnych.

Młode życie Crichtona upłynęło w spazmach gorączkowej działalności — znamiennej w swej gorączkowości. Czyżby to było przeznaczenie, które skazywało jednostkę ludzką na pełne dawanie siebie światu zanim przyjdzie przedwczesny koniec? Czyżby natura rozkwitała najbujniej w obliczu kresu?

I jeszcze jeden moment, który może tłumaczy dlaczego rozwiała się pamięć legendy. O dziełach Wilde'a powiedziano, że są jak piękne pałace przez nikogo niezamieszkałe. Estety-

ka jest zbyt płytką by być mogła filozofią życiową. Podobnie u Crichtona żądza działalności najszerszej nie była filozofią życiową. Żył on niejako pomimo siebie. Przepływał przez niego nieustanny strumień życia, którego może, wbrew pozorom, był nieświadom i który rozkazywał mu dawać światu radosne świadectwo bujnej młodości.

Życie Crichtona jest ciekawym tematem literackich dociekań. Pociągają nas jego nieprzeciętne zdolności, jego śmiałe przygody, jego tragiczna, przedwczesna śmierć. Lecz analiza tej genialnej sylwetki nie może dotyczyć jej samej i dokoła niej się zamykać. Studiując dzieje Crichtona zagłębiamy się w złoty okres papiestwa Grzegorza XIII i odkrywamy rozpalający się jaskrawie płomień kultury Europy XVI wieku, która wyszedłszy ze scholastycznych powijaków średniowiecza i zachłysnąwszy się wiosennym powiewem humanizmu, rozmiłowanym okiem śledziła ludzi nauki i sztuki splendoru jej dziejom nadającym, hołdowała sztukom wyzwolonym głosząc wyższość wolnej myśli filozoficznej i gromiąc wiedzę ścisłą, która trwała wciąż w swym okresie pierwotnym. Odkrywamy kulturę młodą i błyskotliwą, istniejącą na tle średniowiecznego dziedzictwa, ciemnoty, zabobonu, pierwotności obyczajów, okrucieństwa, religijnych nienawiści. Im bardziej wnikamy w te ciemne dzieje ludzkości, tym bardziej błyszczącą wydaje się droga jej postępu kulturalnego — wtedy jakże płytkiego — bowiem zabobon czaił się za dogmatem a strach klątwy zabijał wolną myśl uczonego — ubogięgo, bowiem było rzeczą częstą, że uczony był zdolny posiąść całkowitą ówczesną wiedzę.

Czytając o Crichtonie wertujemy karty dziejów szkockiej Reformacji, które są ciekawym fragmentem burzliwej historii tego kraju, które ukazują fanatyzm narodu krwią rozstrzygającego religijne dysputy, które rzucają światło na stosunki Szkocji z Anglią i Francją, są odbiciem czasów elżbietańskich — ich ludzi i charakteru.

Idąc śladem Crichtona prędko napotykamy powyższe kwestie. W St. Andrews — mieście wczesnej młodości Crichtona, mieście jego czteroletnich uniwersyteckich studiów, przemówią one na każdym kroku. Owieje nas słony podmuch wiatru idący z dalekiego morskiego przestworu przeciętego smugami deszczu. Natura wyda się dziksza niż obecnie, ostrzejszy klimat, światło słoneczne bledsze, dzień zgaszony, zapadający w ciemność. Nabierzemy powietrza z atmosfery, którą oddychali Patrick Hamilton, protestancki męczennik palony przed bramą Uniwersytetu, Knox — morderca kardynała Beatona, Knox — galernik z pożądliwym utęsknieniem oglądający skały St. Andrews z morskiej dali, Knox — natchniony kaznodzieja z kaplicy św. Leonarda, Knox — prorok i władca tysięcy dusz, Knox — burzyciel świątyń, Knox wiodący nocne, cmentarne praktyki z diabłem w pobliżu katedry, której mury stoją w wiecznym pożarze.

Ujrzymy kościoły, którym wydarto posągi świętych, w prostocie nagich murów ujrzymy surowość purytanizmu, w patosie zgliszcz — wymowę barbarzyństwa, którym posługiwał się straszny Knox by protestantyzmowi zapewnić panowanie. Ujrzymy ludzki fanatyzm i ujrzymy rozbestwienie żądz, ujrzymy czasy, w których ludzkie życie było krótkie, pełne akcji, i rządzone brutalnością i siłą.

To tło szesnastego wieku uwypukla postać Crichtona, tłumaczy i usprawiedliwia jego zgon.

SPIS RZECZY

! !
JEZYK ANGIELSKI

Kursy korrepondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcyj angielskiego drogą korespondencji — również kursy dla zaawansowanych. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać: „Tutor" 64, Finchley Court, London, N. 3

JUŻ UKAZAŁ SIĘ TOM WIERSZY
ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO
p. t.
„WYBÓR POEZJI"
Cena 12/6

ROCZNIKI OPRAWNE „NOWEJ POLSKI"
za 1943 Rok
Cena z przesyłką i oprawą **£1.15.0**

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT
DECCA

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA
FRANCUSKA

LA COQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.
TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

3

popularne restauracje z prawem wyszynku

BERTORELLI

19, Charlotte Street, London W. 1
tel. MUSeum 4174

70-72, Queensway, London, W. 2
tel. BAYswater 3160

23, Shepherds Bush Garden,
London, W. 12
tel. SHEpherds Bush 2662

RESTAURACJA

CHEZ AUGUSTE

Kuchnia francuska
Kierownictwo francuskie

38, Old Compton Street, W.1,
tel. GER. 2655

otwarta w niedziele

POLACY!

Jeśli chcecie zjeść dobrze po polsku odwiedzajcie stale

JADŁODAJNIĘ POLSKĄ

66, New Cavendish Street,
London W. 1

Otwarta codziennie oraz w święta od 10 rano do 8 godz. wieczór.
Rozmaitość polskich potraw, smacznych i zdrowych po cenah umiarkowanych
Bufet zaopatrzony w polskie przekąski
Aromatyczna kawa i ciastka

OŚRODEK POLSKIEGO
ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

Uwzględnienia dla żołnierzy



ISTANBUL
RESTAURANT

12, FRITH STREET, SOHO, W. 1

TELEPHONE GERRARD 6115

CESKOSLOVENSKÁ RESTAURACE

61-63, Edgware Road, Marble Arch, London, W. 2 tel. PADdington 3710
OBIADY I KOLACJE. Najlepsza czeska kuchnia. Wyszynk wina i piwa.
Autobusy: 1, 6, 8, 15, 16, 60

3/-

Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY)
83-91 Great Titchfield Street London W 1

3/-

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 3-4

JÓZEF WITTLIN
MARIA PAWLIKOWSKA
MARIAN CZUCHNOWSKI
KSAWERY PRUSZYŃSKI
KAROL ESTREICHER
TEODOR PARNICKI
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI
DOROTA FALSKA
ZYGMUNT HAUPT
FLORIAN SOKOŁÓW
EUGENIUSZ CĘKALSKI
MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

LONDYN
MARZEC—KWIECIEŃ
1944



Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami
Kuchnia i ciastka domowe
Orkiestra kontynentalna
Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1
Tel. MAYfair 0826

VANĚK'a

krawiectwo i futra na zamówienie cieszą się uznaniem międzynarodowym ze względu na doskonałe materiały i znakomity krój. Jego wyjątkowe doświaczenie, zdobyte w Londynie i na kontynencie, daje mu możność wykonywania pierwszorzędnych kreacyj. Przerabia, farbuje i przechowuje futra.

**4, WILLIAM STREET,
KNIGHTSBRIDGE, S.W. 1**

a także w Bournemouth

FUTRA

czyści, odnawia i przerabia według najnowszych modeli po cenach przystępnych

**CHARLES
TANUR**

**48-50 Mortimer Street
London W. 1.**
Tel: MUSeum 2789

Dom zastawny
i jubiler

**B. BOSHER
& SONS**

**464, Edgware Road,
London, W. 2**
tel. PADdington 1482

Pożyczki na futra i biżuterie
Kupno i sprzedaż używanych futer
Przechowywanie i konserwacja futer

! !

**JĘZYK
ANGIELSKI**

Kursy korrepondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcyj angielskiego drogą korespondencji — również kursy dla zaawansowanych. Powodzenie zapewnione.
Proszę napisać: „Tutor"
64, Finchley Court,
London, N. 3